

CZY PANI MIESZKA
SAMA ?...



Magdalena
Samozwaniec

MAGDALENA
SAMOZWANIEC

CZY
PANI
MIESZKA
SAMA?

POWIEŚ
SATYRYCZNA
O WARSZAWIE

ILUSTROWAŁ
GWIDON
MIKLAŚZEWSKI



Rozdział I

— Czy pani mieszka sama?

— Tak — odparła Xenia i bokiem spojrzała na swojego towarzysza, ażeby zobaczyć, jakie to na nim zrobiło wrażenie. — Dostałam pokój SŁUŻBOWY!

— Trzeba mieć szczęście — rzekł młodzieniec i zasepił się.

— Służbowy — bo przeznaczony dla pomocnicy domowej, maleńka kajutka koło kuchni. I w dodatku nie na długo. Tylko do czasu, kiedy moja ciotka nie znajdzie, zamiast dochodzącej, stałej pomocy domowej do sprzątanía, gotowania i... narzekania.

Młodzieniec rozchmurzył się.

— No, ale przynajmniej pani sypia sama...

Zaczęła się śmiać długo i hucznie.

— Tak by się wydawało na pozór, ale tuż za ścianą mieszka moja ciotka ze swoim wnukiem, który prowadzi „życie nocne”, z nimi razem moja kuzynka, która po nocach płacze ze szczęścia, że ją Bóg obdarzył synkiem. Drugi zaś pokój zajęty jest przez sublokatorów, młode małżeństwo, które ma sobie „dużo do powiedzenia” — czyli że się kłóć od rana do wieczora.

Młody człowiek idący obok niej z każdym jej słowem stawał się weselszy; był w takiej samej sytuacji jak ona: mieszkał kątem u swojego warszawskiego kolegi i również szukał pokoju.

— Ale mimo wszystko Warszawa jest kochana, a życie piękne! — rzekł.

— Życie nie jest piękne — roześmiała się młoda dziewczyna — ale ma w sobie coś takiego, że da się lubić.

— Otóż to... — podchwycił jej towarzysz — tak jak niektóre kobiety... Czy pani wie, że mnie na przykład nigdy nie podobały się kobiety ładne, ale miłe i inteligentne...

— No, to w takim razie ja nie mogę się panu podobać.

— Dlaczego? Właśnie pani.

— Kiedy ja siebie uważam za ładną.

— To jest oczywiście rzecz gustu. — Czuł, że się zaplątał, więc szybko zapalił papierosa i postanowił zmienić temat. — A gdy ciotka znajdzie pomocnicę i odbierze pani tę kajutkę, to co pani zrobi?

— Stanę się znów biednym krakowskim podrzutkiem, którego sobie moje warszawskie znajome będą nawzajem podrzucać, gdy się mną znudzą. Sypiałam już różnie: na fortepianie, w wannie, w koszu od bielizny. Wówczas podałam mojej rodzinie w Krakowie adres: Koszykowa 13.

— Pani to ma humor! — rzekł młodzieniec z podziwem.

— Humor to mój wierny pies — roześmiała się. — Nie opuszcza on mnie nawet w najbardziej krytycznych momentach życia.

— Zazdroszcze pani tego psa.

— A poza tym — humor to gest, to postawa wobec życia! Nie każdy jednak posiada te zdolności. Gdy się humoru nie ma, to się mówi na przykład osobie, która powiedziała, że uważa się za ładną: „To rzecz gustu”.

— Pani mnie wyraźnie tępi!

— *Tempi passati* — było tak kiedyś, ale dziś mi się nawet tego nie chce.

— Nie wiem doprawdy co zrobić, żeby... żeby się pani podobać...

— Niech mi pan znajdzie pokój!

— Kiedy ja sam jestem w tej sytuacji.

— Przecież panu jako mężczyźnie nie powinno być trudno znaleźć sublokatorski pokoik. Wszędzie, gdzie byłam w tej sprawie chcą „samotnego mężczyzny”.

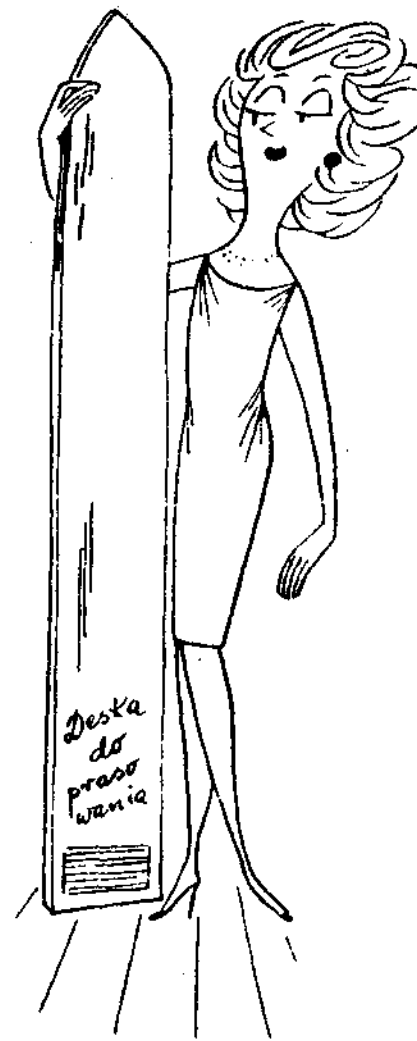
— Tak pani powiada?

— Rzecz jasna. Mężczyźni nie gotują, nie piorą, nie myją się...

— Och, przepraszam, co do mycia...

— Eee, znam to wasze mycie. Uważacie się za rodzaj rasowych kotów lub psów, które sparszywieją, gdy się je wrzuci do wody... No, ale muszę się już z panem pożegnać, nadjeżdża właśnie mój autobus.

Wysoka, zgrabna, trochę za wysoka i za płaska, jak na kobietę, ubrana w rodzaju: „dzielnie na piechotę”, bez kapelusza,



z rozwianą czupryną i rozpiętym płaszczem, przedstawiała do-
datni typ nowoczesnej, wysportowanej dziewczyny. Tylko trochę
za inteligentna jak na kobietę do podobania — pomyślał młody
człowiek.

Westchnął, uklonił się i odszedł w swoją stronę.

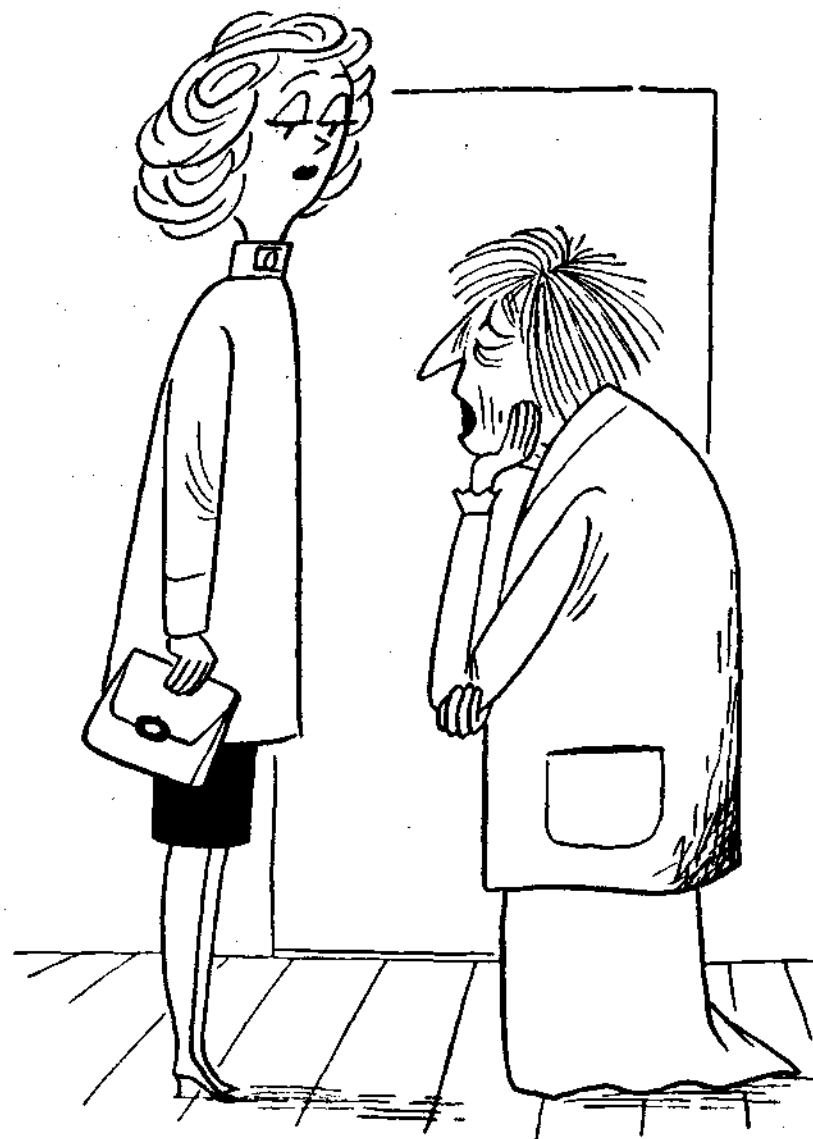
Xenia znalazła w autobusie miejsce siedzące, wyciągnęła
z torebki puderniczkę z lusterkiem i z surową miną sędziego
poczęła studiować swoją twarz. Rzeczywiście, ten idiota miał
rację, nie była ładna. A przede wszystkim bardzo mało kobieca.
Duży nos, duże usta, duże, zdrowe zęby... Trochę wystające kości
policzkowe.

— Trzeba będzie wyzyskać ten męski typ urody — pomy-
ślała — i obciąć sobie krótko włosy; to nawet tego roku bardzo
modne. Wtedy przynajmniej będzie imponować i wzbudzać
zazdrość w kobietach drobnych, okrągłych i bardzo babskich.

Ciotka mieszkała daleko na Pradze. Z autobusu trzeba było
jeszcze iść duży kawałek drogi piechotą albo też przesiąść się
do tramwaju. Xenia wolala iść piechotą. Nie miała do czego tak
bardzo się spieszyć.

Skończyła rok temu szkołę dziennikarską i wkrótce potem
otrzymała w Warszawie, którą kochała jak kogoś najbliższego,
posadę dziennikarki w pewnym poczytnym piśmie codziennym.
Była początkującą satyryczką i jej dział humoru rozwijał się
zupełnie dobrze. Właśnie ostatnio pisała felietonik pod tytułem:
„Czy mężczyzna jest człowiekiem?” W samym już tytule mściła
się za nastawienie mężczyzn do kobiet (oczywiście niektórych)
i za ich niepewność, czy kobietę można w ogóle nazwać czło-
wiekiem. Miała kiedyś narzeczonego. Ten naręczony mówił o suczce
„pies”, o kotce „kot”, ale nigdy o niej nie mówił „człowiek”.
Westchnęła i pomyślała, że w czasach pokojowych być mężczyzną
to wcale niezły fach.

Mogą być brzydzy, bo i tak będą się kobietom podobać,
a ich szefom nic to nie będzie przeszkadzało... Nie muszą, tak
jak biedne kobiety, wciąż myśleć o pończochach i o „łapaniu
oczek”. Łatwo mogą znaleźć w stolicy sublokatorski pokój, jeśli
nie są takimi niedorajdami, jak ten poczciwy Józek Ofermacz,
z którym przed chwilą rozmawiała. Mówią o dziecku, które
przecież nie oni urodzili, lecz kobieta (co, jak wiadomo, nie



należy do przyjemności): „Urodził mi się syn!” Niecee, stanowczo powinno się być mężczyzną i wtedy życie może być rajem.

Jej posłuszna para butów „na słoninie” niosła ją po kocich łbach praskiego bruku wprost do mieszkania ciotki. Zatrzymała się przed brzydką, pozbawioną wszelkiej kokieterii kamienicą. Para butów-kasztanków pogalopowała żywo po starych drewnianych schodach i po chwili ich właścicielka znalazła się w przedpokoju mieszkania, które wyglądało jak wiele takich samych mieszkań. W kącie stał dziecienny wózek z typu „sportowych” i oparte o ścianę na pół stłuczone lustro. Nad lustrem wisiał oleodruczek przedstawiający myśliwskiego psa i unoszące się nad nim stado dzikich kaczek, wszystko razem owiane mgiełką sinoróżową.

Z kuchni uderzył w nos smrodek gotującej się kapusty. Każdy, kto by wszedł do tego mieszkania, wiedziałby od razu, że szczęście tak nie mieszka! Może mieszkać w małym, jasnym pokoiku na poddaszu, może przebywać w jakiejś pracowni lub warsztacie, w małym sklepiku z kaszą, jarzynami i bułkami — wszędzie, tylko nie w takim mieszkaniu na pozór nawet komfortowym, z łazienką i osobnym klozeczkiem. Mieszkały w nim natomiast — i to też wiedziało się na pewno — kwasy, klótnie, płacz ze złości, wrzaski źle chowanych dzieci, nudne choróbska, jakieś przewlekłe grypy i zaatakowane woreczki żółciowe, mieszkały zawody życiowe i troski, a gdy już się zobaczyło właścicielkę owego mieszkania, panią Helenę Prababską, to się było o tym przekonanim na sto procent. Wyglądała na matkę wszelkich trosk i strapiień, na matkę szarzyzny życia i beznadzi. Wystarczyło na nią spojrzeć, ażeby z góry wiedzieć, że nie może ona mieć dla nikogo nigdy dobrych wiadomości, że zaraz po przywitaniu powie:

— Czy wiecie, że wiatr wyrwał szybę? — Wyobraź sobie, że woda nie cieknie, widocznie coś się zepsuło w rezerwuarze! — A może piec gazowy się zepsuł? — Aha, czy wiesz, że przyszło do ciebie zawiadomienie z Urzędu Podatkowego? — Kot od sąsiadów wpadł do kuchni i zrobił w twoim pokoju nieporządek... itp.

Taka osoba, jak ta biedna ciotka Helena, nie była stworzona do tego, żeby powiedzieć: „Wyobraź sobie, że ktoś przysłał ci duży bukiet goździków” albo: „Przyszła do ciebie paczka...”, albo też: „Przekaz pieniężny jest dla ciebie do odebrania na poczcie...”

Takie rzeczy nie zdarzały się w tym mieszkaniu przeczącym wszelkiej urodzie życia! Nie mogły się zdarzyć tam, gdzie królowała taka osoba, jak pani Helena Prababska. Szarobury kaftanik, którego nigdy z siebie nie zdejmowała, uszyła jej na pewno Kuma Troska; jej nieokreślonego koloru rzadkie włosy cesał jej fryzjer Strapiień, a fartuch wiązała na jej chudych biodrach stara panna — Melancholia.

— Czy wiesz, moje dziecko — rzekła spotkawszy Xenię rozbierającą się w przedpokoju — że Acuś znów trochę gorączkuje?

— Eee — rzekła Xenia — nie smarkaczowi nie będzie...

— Naturalnie — zauważyła z goryczą pani Helena — dla ciebie to jest nic, coż ciebie nasze troski obchodzą?

— Moja ciociu — odparła Xenia — już tam na pewno ciocia mnie nie przekona, że moim obowiązkiem jest się martwić. W naszej kamienicy ciocia jest od tego. Każdy ma w życiu swoje zadania i swój przydział. Ja otrzymałam od losu przydział na dobry humor i żadne ludzkie siły nie będą w stanie mi go zepsuć...

— Babuluuuu! — odezwał się z pokoju kwik „chorego”.

— Idź do niego, błagam cię — zajęczała pani Helena — ja muszę gotować obiad...

Xenia wzruszyła ramionami i wyszła z przedpokoju. Udała się do swojej norki, postawiła maszynę do pisania na własnej walizce, która jej służyła za stolik, i szybko zaczęła wystukiwać swoje myśli. Nie upłynęło jednak ani dziesięć minut, kiedy w drzwiach stanął mały domowy tyran, ukochanie babci — Acuś. Wpił swoje wielkie niebieskie oczy w jej ciemne źrenice, bez mrugnienia i bez słów.

— Acusiu, nie wolno wstawać z łóżeczka. Idź, połóż się.

Starła się nadać swojemu głosowi tony opiekuńcze i łagodne. Uczucie niechęci, które ją nieraz ogarniało w stosunku do nieznośnego smarkacza, ustępowało czasem pewnemu rozczuleniu i rozrzewnieniu. Był taki śliczny i włosy miał z jedwabiu, a oczy z szafirów.

— No powiedz, czego chcesz, Acusiu?

A smarkacz nic, ani słowa. Przybliżył się tylko bardziej do jej zaimprovizowanego stolika i gapi się. Xenia postanowiła nie zwracać na niego uwagi i tworzyć dalej. Litera jednak myliły jej się, a myśli uciekały.

— Acusiu, idź, podokazuj trochę...

Ale chłopak stał dalej i wciąż tylko patrzył wielkimi, nieruchomymi oczyma. — Cóż za wyrafinowany sadyzm — pomyślała Xenia z rozpaczą.

O pisaniu nie było już mowy. W końcu, nie mogąc tego wytrzymać nerwowo, wybuchnęła bardzo niepedagogicznie:

— Błagam cię, Acusiu, najdroższy, hałasuj, bądź niegrzeczny, bębni, rób co chcesz, tylko mi tutaj tak nie stercz bez słowa!

Ponieważ jednak i to nie poskutkowało, więc wstała i pobiegła do kuchni.

— Ciociu! — zawołała od progu. — Błagam, niech ciotuchna weźmie Acusia! Stoi w mojej kajucie, nic nie mówi i gapi się, a ja mam terminową robotę do odrobienia.

Ciotka klasnęła w ręce.

— Wiesz, moja droga, że ty jesteś skończona histeryczka! Gdy dziecko jest niegrzeczne, płacze i grymasi, ty się na nie złościsz; gdy jest grzeczne, spokojne i nic nie mówi, też cię to drażni. Rzeczywiście, trudno ci dogodzić!

W przedpokoju odezwał się dzwonek i Xenia otworzyła drzwi. Do mieszkania weszła młoda i ładna kobieta. Miała długie włosy w lokach i jakiś głupkowaty mały kapelusik, nasadzony na tył głowy. Ruchem zniechęconym ściągnęła go, płaszcz rzuciła na krzesło, a siebie na tapczan.

— Czy to jest życie? Powiedz mi tylko, moja droga! Czy to można nazwać życiem?

— Co się stało? — spytała Xenia z niepokojem.

— Właśnie, że się nic nie stało, co dzień to samo... Więc cię jeszcze raz pytam: czy to jest życie?

I wówczas zza ściany odezwał się płaczliwy głos kobiety:

— Ja tylko pytam: czy to jest życie?

Xenia roześmiała się i spojrzała ironicznie na kuzynkę.

— Widzisz, tam też o to pytają! — zauważyła.

Kamilla zwinęła się w kłębuszek na tapczanie, ciężkie westchnienie podniosło jej klatkę piersiową.

— No, bo powiedz sama: człowiek haruje, pracuje w tym biurze i co z tego ma?

Xenia spojrzała na jej nogi obciążone nylonami, na jej nową szkocką spódnicę, na świeżą „trwałą” i odrzekła:

— A to wszystko, co sobie za swoją pracę sprawiłaś, to nic? A to, że co dzień chodzisz sobie do kawiarni i spotykasz się ze znajomymi — to również nic nie znaczy? Wspomniałaś mi też, że dostałaś przydział na lipiec do Ustki — czy to także uważasz za dopust boży?



— Tak — odparła Kamilla — ale to wszystko nie jest życie.

— Powiedz po prostu, że chodzi ci o życie we dwoje z mężczyzną. Odkąd się rozeszłaś z tym twoim Jasiem, melancholizujesz bez przerwy. Znajdź sobie kogoś i przestań jęczeć!

Zza ściany znów odezwał się rozedrgany bólem głosik kobiety:

— Zobaczysz, że jak się nic nie zmieni, to ucieknę, wyjdę z domu i więcej mnie nie zobaczysz. — Przecież to nie jest życie!

— Nie jestem urodzony pod taką dobrą gwiazdą, ażebyś rzeczywiście miała mnie raz na zawsze opuścić — odezwał się głos mężczyzny.

— Chcesz? — padła zza ściany groźba.

— Marzę o tym!

— Dobrze, ale gdzie ja się biedna podzieję, do kogo pójdę? Do mojej matki? Umariałabym prędzej ze wstydu, niżbym się jej miała przyznać do mojego nieszczęścia. Tak mnie, biedna, ostrzegła przed małżeństwem z tobą!

— Wynoś się do diabła!

— Nie znam żadnego...

— To mi daj pracować w spokoju.

Zza ściany odezwał się tym razem histeryczny szloch.

— Zobaczysz, że wyskoczę z okna!

— Obiecujesz — i co z tego? Takie jak ty nie wyskakują z okna... Męczą człowieka przez całe życie!

— A właśnie, że tym razem spełnię groźbę!

— Złaż natychmiast! Widzisz, coś narobiła? Wywróciłaś doniczki! Nie, doprawdy, teraz ja powiem, że takiego życia dłużej nie zniosę!

Do pokoju, w którym obie siedziały zasluchane w tę audycję słowno-muzyczną, wszedł Acus. Był jak zwykle bardzo poważny, w rękach trzymał trzy długie kawałki niebieskiej wełny.

— Mój szalik! — krzyknęła Kamilla. — Co on zrobił!

Pociął mój najładniejszy szalik na kawałki! Poczekaj, zbiję cię!

— Był jeden salik — odparł w formie tłumaczenia Acus. — a teraz som trzy saliki. Jeden dla Babuli, długi dla Mamuli, a teci dla cioci Seni!



Xenia aż się wywróciła na tapczan ze śmiechu, choć czuła, że nie było to zbyt pedagogiczne. Kamilla spojrzała na nią z furją:

— Dobrze ci się śmiać — krzyknęła. — Gdyby pociął twój szalik, tobyś się tak nie śmiała!

— Na pewno! — przyznała Xenia dobrodusznie.

Acuś widząc, że jakoś obyło się bez bicia, zaczął galopować po całym pokoju, powtarzając: „Tsej kłólowie Monochlowie”, „Tsej kólulowie Monochla-mo-no-wie”, „Tsej kłólowów Monach-lowów”, „Tsej kólowie...” i tak bez przerwy.

— Jezus Maria! Ja oszaleję! Weźcie ode mnie tego bachora! — ryczała Kamilla. — Mam! Mamusi! Proszę zabrać Acusia, bo stanie się jakieś nieszczęście!

Do pokoju wpadła pani Helena.

— Co tu się dzieje?! — zawołała od progu. — Kto tutaj dokucza mojemu dziecku? Obiad muszę gotować, a dzieckiem nie ma się kto zająć! Co się takiego stało? Czemu ty płaczesz, Kamillo?

— Bo on nie tylko że mi pociął szalik na pasma — mówiła wśród łkań młoda matka — ale w dodatku biega po pokoju i powtarza „Trzej królowie Monarchowie”. Zobaczysz mamusia, że wyjdę z domu i już nie wrócę albo... nie wiem... wyskoczę z okna!

— „Tsej kólowie Mo-na-cho-mo-lo-wie” — wykrzyknął Acuś.

Babka porwała chłopca w objęcia.

— Zamiast się cieszyć — rzekła — że masz takiego inteligentnego synka, to ty na niego. Biedactwo ty moje, sierotka biedna! — zaczęła obsypywać go pocałunkami. — No, powiedzcie, czy to nie jest zupełnie niezwykle dziecko? Raz tylko zaśpiewałam mu kolędę pod tytułem „Trzej królowie Monarchowie” i on sobie to tak dobrze zapamiętał.

— Niech go mamusia zabierze do kuchni — szepnęła konającym głosem Kamilla.

Pani Helena założyła ręce na brzuchu:

— Wiesz — rzekła — to przechodzi już wszelkie pojęcie. Więc ja mam i obiad gotować, i jednocześnie zajmować się twoim synem? Dwie jesteście, nie macie nic do roboty, baki zbijacie...

— Ach, żeby to było wolno! — z komiczną powagą zauważyła Xenia. — Gdyby mi było wolno „baki zbijać”, to by Acuś dostał takie lanie, żeby je sobie zapamiętał!

— Głupie i niestosowne żarty! — odparła obrażonym głosem pani Helena. — Całe szczęście, że nie masz swoich dzieci, bo ładnie by biedactwa wyglądały. — Ale teraz wiecie, co wam powiem? Ja mam tego wszystkiego dosyć! — Zaczęła drżącymi z pasji rękami odwiązywać fartuch. — Wyjeżdżam dziś jeszcze do Wrocławia, do mojej siostry, a wy radźcie tu sobie same. Tak, już mam tego wszystkiego dosyć! Nie tylko muszę spełniać funkcje kucharki, do czego nigdy nie byłam przyzwyczajona, ale jeszcze każesz mi być niańką i boną twojego dziecka. To nie jest życie, tylko jakaś katanga! I moja wytrzymałość ma pewne granice! Wyjeżdżam dziś jeszcze i do tego piekła nie wrócę.

Usiadła, wyciągnęła chustkę i zaczęła płakać.

— Żeby na stare lata musiała się tak męczyć! I żeby chociaż jaka wdzięczność za to!..

Wówczas Xenia wstała z tapczana, wyprostowała się i rzekła stanowczym głosem:

— Z was wszystkich tylko ja naprawdę odejdę! Dłużej tej atmosfery ogólnego nieszczęścia nie zniosę. Jestem wolnym ptakiem!

— Gęsią, gęsią! — mruknęła przez łzy pani Helena.

— Jestem wolna, nie mam ani mieszkania, ani żadnych obowiązków, ani słodkiego Acusia — ciągnęła dalej Xenia. — Pójdę sobie byle gdzie, byle jak najdalej stąd!

— A czy cię kto zatrzymuje, moje dziecko? — odparła pani Helena. — Pomocy z ciebie nie ma żadnej, moralnej podpory również... Idź, jeśli tylko znajdziesz dla siebie jakieś locum... Nikt cię nie zatrzymuje — powtórzyła.

— Znajdę dla siebie pomieszczenie, zobaczycie! — odparła Xenia. — Przecież to, co my tutaj prowadzimy, to nie jest życie. To nie jest nawet zbliżone do życia! Żegnaj was, moje panie!

Zarzuciła na siebie płaszcz i nie oglądając się za siebie wybiegła z mieszkania.

Rozdział II

Xenia wertowała co dzień wszystkie okazje mieszkaniowe w „Drobnych ogłoszeniach” „Życia Warszawy”. Pewnego ranka wpadło jej w oczy ogłoszenie, które brzmiało następująco:

SUBLOKATORSKI pokój za miesięcznym czynszem do wynajęcia od zaraz. Aleja 3 Maja 5, m. 86.

Może tym razem się uda — pomyślała. — Jest po pierwszym, pieniądze mam, mogę od razu zapłacić za miesiąc z góry.

Wsiadła do autobusu pełna nowego zapału do życia i dobrych przecuć.

Gdy dzwoniła do drzwi mieszkania nr 86, serce biło jej gwałtownie. Drzwi otworzyła jej tęga, beczułkowata dama z mocno uczernionymi oczyma w kawowych obwódkach, z wielką, siwoczarną czupryną, przypominającą karakułową mufkę. Obrzuciła gościa niechętnym spojrzeniem i zapytała:

- Pani w jakiej sprawie i do kogo?
- Ja... w sprawie pokoju do wynajęcia.
- Czy pani przychodzi z czyjegoś polecenia?
- Przeczytałam ogłoszenie w „Życiu Warszawy”...
- Niech pani wejdzie do środka.

Karakułowa dama wpuściła ją do swojego pokoju, w którym królował, jak trumna, wielki czarny fortepian; stały na nim różne fotografie w ramkach, leżały haftowane serweteczki, sabot z porcelany i muszla.

— Udzielał lekcji muzyki — rzekła osoba — z tego utrzymuję dziecko i siebie. Uprzedzam, że ponieważ to i tak ledwo

wystarczy, więc cena pokoju nie będzie niska. Poza tym pani płć nie była przewidziana. Chciałyśmy mężczyzny...

— Jeśli chodzi o cenę, to zarabiam nieźle i mogę płacić, a co do płci — to przyrzekam, że się będę zachowywać jak mężczyzna. To w końcu dzisiaj taka mała różnica... — rzekła Xenia z zapalem.

— To zależy — odparła dama z powagą.

— Wszyscy pracujemy — ciągnęła żywo Xenia. — Przestałyśmy być niezaradnymi istotami, które mężczyźni utrzymywali. Jesteśmy ludźmi.

W tym momencie przypomniała sobie Kamille i sąsiadkę za ścianą i dodała w duchu: „No, nie wszystkie...”. Wzrok jej padł na ścianę, na której wisiał w złotych ramach portret właścicielki mieszkania z jej młodych lat. Była w balowej sukni i trzymała w ręce wachlarz.

— Prawda, jaka byłam wówczas piękna? — rzekła karakułowa pani idąc za jej wzrokiem. — Kochali się we mnie na zabój: Śliwiński, Paderewski, Petri.

— I teraz pani jest jeszcze piękna — skłamała Xenia dyplomatycznie.

— Cóż, mój Boże, dzisiaj to są resztki, „les beaux restes”. Dawniej to nie mogłam przejść spokojnie przez ulicę.

Wzrok Xeni spoczął na jednej fotografii, na której karakułowa dama przebrana była za Colombinę. Rzeczywiście musieli się za nią ludzie na ulicy oglądać — pomyślała.

Druga fotografia, na której paniusia miała kapelusz z papugą większy od niej samej, zdawała się potwierdzać to mniemanie.

— A co pani robi? Jakie jest właściwie pani zajęcie? — zapytała właścicielka mieszkania patrząc na gościa smutnym wzrokiem starego ptaka.

— Jestem dziennikarką.

— Czy to znaczy, że pani ma kiosk z dziennikami?

Xenia roześmiała się:

— Skądże! Pracuję w redakcji „Głosu Prawdy”.

— Aha, wiem już, wiem, pani jest dziennikarką, to znaczy taką pośledniejszą pisarką. Gdyby pani u mnie zamieszkała, to by mnie pani na pewno opisała... — Dama uśmiechnęła się uka-

zując zęby w rodzaju: „zab, poczekaj chwilę — zab, poczekaj chwilę — zab, poczekaj chwilę...” itd.

Te zęby i ten ironiczny ton zdenerwowały Xenię.

— Sądzę, że nowelki o pani nikt by ode mnie nie kupił — odparła złośliwie. — Temat nie na czasie...

— O tak — podchwyciła dama — całkiem nie na czasie... Nie pasuję do dzisiejszych czasów i one do mnie... Ale skoro pani pisze, to zapewne i... pije. Wszyscy ludzie pióra piją.

— Tylko wodę! — skłamała Xenia kładąc rękę na sercu.

— Będzie się pani włóczyła po nocach z kolegami, wracała o Bóg wie której...

— Ja nigdzie się nie włóczę po nocach, prowadzę życie samotne, skupione, nieomal klasztorne...

— Czy to znaczy, że pani się głośno modli po nocach i śpiewa kantyczki? Pytam się o to wszystko, bo ja i dziecko stałyśmy się po wojnie takie nerwowe, że każdy hałas nas budzi.

— Niech pani będzie uprzejma i pokaże mi ten pokój — przerwała bezowocną dyskusję Xenia.

— Czemu nie? — odparła damula. — To przecież do niczego nie obowiązuje.

Pokoik, do którego wprowadziła gościa, wyglądał jak jakiś warsztat stolarski. Krzesła stały jedne na drugich, łóżko bez nogi kulało na jedną stronę, dębowe biurko miało część sukna zerwanego, a na częściach całych — wielkie plamy z atramentu. Na biurku stało popiersie Księcia Reichstadtu z obtłuczonym nosem.

— Ach, jakie piękne popiersie! — zawołała Xenia pełna wciąż dobrej woli, ażeby ten pokoik wynająć.

— Niestety, nie ma nosa — rzekła właścicielka mieszkania. — Nos zaginął podczas wojny! Pokój jest obecnie w okropnym stanie. — Starala się go Xeni obrzydzić. — Meble poniszczone, a na naprawę nie mamy pieniędzy. A tu — wskazała ręką ściany — widzi pani? Dziecko nad tym rozpacza, ale co zrobić?...

— Pluskiewki! — zawołała Xenia ochoczo. — A cóż to szkodzi? Obecnie są tak znakomite środki do tępienia robactwa domowego...

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanęło w nich jakieś młode stworzenie, blade, z ognistymi czarnymi oczyma, które wpilo w Xenię z wyrazem wstrętu i oburzenia.



— Czego ta pani sobie życzy? — zapytała niegrzecznym tonem.

Matka zmieszała się mocno.

— Ta pani?... Ta pani?... Nic... tak... przyszła sobie obejrzeć ten pokój.

— Po co mama ludzi w błąd wprowadza? Mama wie dobrze, że żadnej babie tego pokoju nie wynajmiemy. Albo mężczyzna, albo nikt! — dodała mocnym i zdecydowanym tonem.



— A cóż pani biedne kobiety uczyniły złego, że pani ich tak nienawidzi? — zapytała Xenia z wyrozumiałym uśmiechem.

— Co? Chociażby to, że urodziły nas kobiety!

— Mężczyzn również.

— Ale w jakiej proporcji? Na jednego mężczyznę wypada w Polsce po wojnie półtorej kobiety, w co ja zresztą nie wierzę, bo wypada o wiele więcej. U nas na anglistyce siedzi na jednej ławce dziesięć kobiet i dwóch mężczyzn.

— Może Polki są większymi entuzjastkami Anglii niż Polacy... — zauważyła Xenia z lekką ironijką.

— Więc niech pani zrezygnuje z pokoju, bo z tego i tak nic nie będzie.

— Pani jest jeszcze bardzo młoda — starała się do niej mówić po ludzku Xenia. — Nie zna pani mężczyzn, a to kupa „zimnych drani”.

— Jak pani śmie tak się o nich wyrażać! — panna histeryzowała już na dobre. — Nie wynajmiemy pokoju żadnej babie i już! Mamo, nie zatrzymuj pani dłużej...

Matka spojrzała na nią z bolesnym wyrazem oczu, rozłożyła ręce bezradnie i przeniósła wzrok z córki na Xenię. Młoda brunetka uspokoiła się, usiadła na kulawym łóżku i rzekła:

— A najlepszy dowód, jak mało jest mężczyzn w Warszawie, to fakt, że odkąd daliśmy ogłoszenie do „Życia Warszawy”, żaden mężczyzna jeszcze się do nas nie zgłosił. Zaś baby — co dzień, po kilka sztuk! A może — dorzuciła łagodnie, z prośbą w głosie — może pani ma wśród swoich znajomych jakiegoś młodego, przystojnego samotnego pana, który by dla siebie potrzebował pokoju?

— Proszę pani — rzekła Xenia rozglądając się za swoimi rękawiczkami i torebką — przede wszystkim gdyby był młody i przystojny, toby nie był samotny, po drugie: nie jestem biurem matrymonialnym, a po trzecie: gdyby był młody i przystojny, to panie nie miałyby prawa brać od niego komornego, ale jeszcze powinny by mu dopłacać przynajmniej jakieś pięćset, sześćset złotych miesięcznie... zależnie od jego wyglądu!

Rzekłszy to szybko wyszła. Zza drzwi doszły ją jeszcze słowa, które pod jej adresem wypowiedziała młoda brunetka:

— A cóż to za bezczelna i ordynarna lafirynda!

Uśmiechnęła się do siebie z bolesną ironią, odemknęła drzwi wejściowe i szybko zbiegła na dół. I znów Warszawa, rozbiegana, pracowita, rozkopana i odbudowywana, miła i bliska sercu każdego Polaka — porwała ją w swoje tryby.

Wśród samochodów, autobusów i tramwajów przewijała się instynktem czysto ludzkim, którego w stosunku do zmotoryzowanych pojazdów nie posiadają psy, dające się przejeżdżać tak często. Ten wyrobiony w ludziach od kilkudziesięciu lat instynkt niewpadania pod auta wstrzymał ją już nieraz w ostatniej chwili, kiedy miała zostać potrącona przez rozpedzoną taksówkę.

Szła do przystanku tramwajowego szybko, ze spuszczoną głową i nosem zwieszonym na kwintę. Powietrze, które łykała, miało smak octu. Musiała znów wracać do przebrzydłego locum na Pradze. Do zmęczonej ciotki, zhisteryzowanej kuzynki Kamilli i domowego króla i tyrana, Acusia. Dreszcz przerażenia wstrząsnął nią na myśl o tym kochanym dziecku i postanowiła kupić mu coś, ażeby się wkraść w jego łaski. Przechodząc koło księgarni z zagranicznymi książkami ujrzała czeską książkę dla dzieci z kolorowymi obrazkami. Smarkacz nie umie i tak czytać, więc wszystko jedno, w jakim języku napisana jest książka... Weszła do księgarni, kupiła tę niedrogą książeczkę i już w lepszym humorze wsiadła do autobusu.

Ciotuchna przyjęła ją ironiczno-triumfującym uśmiechem.

— Czy przyszedł po swoje rzeczy? — zapytała.

Xenia postanowiła być słodka i uprzejma; ostatecznie ciotka dawała jej dach nad głową i podłogę pod stopami.

— Mam już śliczny pokoik — skłamała z uśmiechem — ale mogę się tam wprowadzić dopiero za miesiąc, gdy się pokój opróżni. Przemile gospodynie domu, komfort, żadnych dzieci, śródmięście, centralne ogrzewanie...

— Jednym słowem wszystko, tylko że pokój zajęty... — zarechotała ciotka nie bez złośliwej satysfakcji.

Była zadowolona, że Xenia pozostanie nadal u niej, bo przywiązana była, biedactwo, do wszystkich swoich kłopotów, trosk i niewygód. Zbędni współlokatorzy, z których nie było żadnych korzyści, tak jak Xenia, wrzaski Acusia, nieszczęścia córki Ka-

milli, kłótnie sublokatorów za ścianą — wszystko to stanowiło jej życiowy przydział, z którego nie miała zamiaru zrezygnować.

— Czy nie widziałaś gdzie kluczyków od piwnicy i strychu? — spytała wprowadzając ją tym zapytaniem z powrotem w dawny tryb życia.

— Nie! — odparła Xenia, również zadowolona, że wszystko jest po dawnemu, tak jak co dzień, i dla przyzwoitości poczęła rozglądać się wokoło za kluczykami.

— Muszę bieliznę porozwieszać na strychu, bo przecież tego za mnie nikt nie zrobi! — W tym zdaniu był maleńki przytyk do Xeni, która nie miała nigdy ochoty pomagać jej w zajęciach domowych.

— Szukam tych kluczyków po całym domu od dwóch godzin i... jak w wodę wpadły!

Xenia bardzo szybko zrezygnowała z szukania kluczyków. Wiedziała z doświadczenia, że należały one do przedmiotów tak zwanych „gubnych”, podobnie jak szklane cygarniczki do papierosów (odznaczające się niesłychaną ruchliwością i żywotnością), jak zapalki i rękawiczki. Położyła się na tapczanie w bawialni, która była zarazem sypialnią ciotki i „przędzalnią”, gdzie stara pani snuła najgorsze prognozy na przyszłość, oraz „marzeniarnią” Kamilli, marzącej na razie beznadziejnie o pięknym cudzoziemcu, który by ją pokochał i... wywiózł. Ściana, przy której stał tapczan, sąsiadowała z pokojem sublokatorów. Ich audycja południowa z cyklu „Normalne pożycie małżeńskie” była właśnie w pełnym toku.

— Ślicznie wyglądasz! — odezwał się męski głos. — Przejrzyj się w lustrze.

— Wiesz, jesteś naprawdę bardzo miły...

— A ty taka kochana, wyrozumiała...

— Takiego męża jak ty — to naprawdę ze świecą szukać...

— Cóż to? — pomyślała Xenia z pewnym zawodem. — Zwalniali czy co? Mówią sobie komplementy? Co im się stało?

— A ty? Ideał żony! Dobra, piękna, nie wygadana, no a przede wszystkim taka szalenie inteligentna...

— Czy przestaniesz nareszcie — załkał nagle głos kobiety. — Powiedz! Bo jak nie przestaniesz, to wyjdę z domu i już nie wrócę!

Xenia roześmiała się z zadowoleniem. To, co wzięła początkowo za czułą małżeńską rozmówkę, pełną pochlebstw i komplementów, było tylko wstępem do małżeńskiej sceny. Dlaczego — zastanawiała się — gdy małżeństwa mówią sobie przyjemne rzeczy, to tylko w formie ironicznej? A wszystkiemu winien jeden wspólny pokój. Gdyby ta pani za ścianą mogła wyjść do drugiego pokoju i zatrzasnąć za sobą drzwi, kłótnia by się momentalnie skończyła. A tak nie mają innego wyjścia: albo kłócić się dalej, albo uciec na miasto...

Za ścianą odezwał się histeryczny szloch kobiecy, a potem słowa mężczyzny, które rozbawiły Xenię.

— Czy ja kiedy marzyłem o podobnym nieszczęściu?

Do pokoju wszedł Acuś. Miał na sobie jakieś tyrolskie ubranko krajowego wyrobu, był świeżo umyty i szalenie poważny. Swoim ponurym zwyczajem stanął przed Xenią i zaczął jej się przyglądać wielkimi niebieskimi oczyma, natchnionymi myślą jakiegoś nowego figla. Xenia pobiegła do przedpokoju, wzięła paczkę z książką i wręczyła mu ją.

— To dla ciebie — rzekła z dumą.

Chłopak wziął książkę do ręki, nie podziękował, bo dzisiejsze dzieci nie mają zwyczaju dziękować, i zaczął oglądać obrazki. Do pokoju weszła na tę scenę pani Helena i z adoracją w oczach przyglądała się wnukowi.

— Po czemu? — zapytał nagle chłopiec.

— Jak to: po czemu? — zdziwiła się Xenia. — Nie pamiętam, ile zapłaciłam za tę książeczkę. Zresztą, co cię to obchodzi?

— Po czemu? — zapytał znów, już groźniejszym tonem, podsunął książkę Xeni pod nos i wskazał palcem litery.

Babka klasnęła w ręce z podziwu.

— Widzisz, co to za genialne dziecko! On się pyta „po czemu”, czyli „po jakiemu” jest pisana ta książka. Nie umiając czytać odróżnia obcą pisownię od naszej.

Chwyciła go w objęcia i zaczęła obsypywać pocałunkami.

— Po czesku, po czesku, skarbie mój...

Ale chłopak wyrwał się z jej objęć i stanął znów w zaczepnej pozie, z surowymi oczyma przed Xenią.

— Po czemu? — powtórzył pytanie.

Zaległo milczenie pełne zdziwienia ze strony obu pań.



— Przecież ci już powiedziałam, aniołku, że to jest pisane po czesku... Cześi, widzisz Acusiu, to taki naród jak Polacy, tylko trochę inni... No, czy zrozumiałeś teraz?

I wówczas Acuś powiedział wreszcie, o co mu chodzi:

— Po czemu mi kupujesz książeczki, kiedy ja chcem NOZA?!

Babka zaczęła się tak śmiać, że aż musiała zdjąć zaizawione okulary.

— A cóż to za dziecko! I do czego to Acuchna potrzebuje nożyka? Do krajania jabłuszek czy babki?

— Babki — powtórzył ponury facet — i cioci Seni.

Xenię przeszedł dreszcz zgrozy: A może to jest wariat „w zaraniu”, który przyjdzie w nocy skaleczyć mnie jakimś ostrym narzędziem? I żyj tu, człowieku, dalej w takim otoczeniu!

Tymczasem odezwał się dzwonek; po specjalnym kaszelku, który brzmiał jak wyrzut w stosunku do losu, zrozumiała, że to z biura wróciła Kamilla. Zeszła z tapczana, aby się z nią przywitać. Koło nóg Kamilli plątał się paskudny czarny piesek. Nierasowy ratlerek to już chyba największa nędza i brzydota, jaką natura może stworzyć. Biedny pokurcz kościstymi łapkami drapał w podłogę i miauczał, bo dźwięk, który wydobywał z siebie, trudno było inaczej nazwać.

— Mam coś takiego w sobie — rzekła Kamilla zdejmując płaszcz — że zawsze ktoś się do mnie musi przyczepić: to jakiś nieznajomy, który gwałtem chce mnie do domu odprowadzić, to bezdomny kot... lub pies.

— I co myślisz robić z tym kundlem? — zapytała Xenia z niepokojem.

— Będę go chować... Biedactwo, nie ma na świecie prawdopodobnie nikogo.

— Ale któż się będzie nim zajmował, wyprowadzał go na dwór?

— Kto? Ty chociażby!

Xenia aż poczerwiała ze złości.

— Jaaa? O, moja droga, nie łudź się co do tego! Nie mam ani ochoty, ani czasu, żeby niańczyć cudze psy, i to w dodatku nierasowe!

— A ty myślisz, żeś taka szalenie rasowa? — odcięła się Kamilla.

W tym momencie wyszła z kuchni pani Helena i zobaczywszy czarne paskudztewko załamała ręce z rozpacz.

— A cóżes ty przyprowadziła najlepszego? Proszę mi zaraz wygnać tego psiaka. Nie życzę sobie w domu psów!

— Mieszkanie jest zapisane na moje nazwisko — rzekła Kamilla butnie — i tylko ja będę decydować, kto ma prawo tu przebywać, a kto nie! (mówiąc to spojrzała na Xenię).

— W takim razie ja się od razu z domu wynoszę! — odparła matka. — Albo pies, albo ja.

— Ja chcem piesa! — zaskrzeczał na to Acuś. — Ja chcem piesa!

— Widzi mama! — rzekła już łagodnie Kamilla. — Acuś chce, żeby piesek był w domu. Będzie miał towarzystwo i zabawę. Znajduś! Znajduś! Chodź do swojej pani!

— Żeby mnie jeszcze to nieszczęście musiało spotkać! — załkała pani Helena. — Nie dość tego, że jestem niańką twojego syna, ale jeszcze skazujesz mnie na to, abym się opiekowała takim wstrętnym kundlem. Doprawdy, że już nikt w tym domu nie ma nade mną litości!

A tymczasem „Znajduś” przebiegł truchcikiem po pokojach, obwąchał krzesła i stół, po czym podniósł z tępą miną tylną nóżkę i zrobił to, co zwykle robi pies, gdy podniesie nogę.

— Tego tylko brakowało! — jęknęła tragicznie pani Helena.

— No, cóż mama chce — starała się go wytłumaczyć Kamilla — nawet królowie... a cóż dopiero... pies!

— O, mamelko! — ucieszył się Jacuś. — Staw! Acuś będzie puscać na nim okłębiki z papieru!

Z właściwą sobie przytomnością umysłu Xenia wzięła ścierkę i zaczęła wycierać „mokrą robotę” kundelka. Ale w tym momencie Acuś począł ją z całej siły kopać nogami w plecy.

— Zostaw to, ty cholelo! Nie pozwalam! Acuś chce mieć staw! — zarzyczał.

I wówczas Xenia, nie wytrzymawszy już nerwowo, porwała „rodzinny skarb” i zaczęła okładać klapsami tylną część Jego Tyrańskiej Mości.

Ale już babcia była przy nim i wyrwała jej skarb z rąk.

— Jak śmiesz bić mego wnuka? Kto Xenię do tego upo-

ważni! Do karcenia dziecka jestem ja albo jego własna matka! I żeby mi się to więcej nie powtórzyło!

— Ktoś przecież musi wychować tego smarkacza! — rzekła Xenia w swojej obronie.

— Ty w każdym razie jesteś najmniej do tego powołana...

— A to wszystko zazdrość, że nie ma swojego dziecka — rzekła kwaśno Kamilla. — Wszystkie stare panny nie cierpią dzieci!

Xenia nic już na to nie odpowiedziała; wzruszyła ramionami, które miały ochotę w tym momencie zadusić Kamillę, włożyła płaszcz i kapelusz i wyszła na miasto.

Tego popołudnia zwiedziła jeszcze dwa mieszkania, gdzie były pokoje do wynajęcia. W jednym właścicielka spojrzała na nią z łagodnym wyrzutem i zapytała:

— Czy pani jest kobietą?

— Moje przyjaciółki mówią, że tak — odparła Xenia z najuprzejmiejszym uśmiechem — ale znów moi przyjaciele zarzucają mi, że jestem zanadto męskim typem dziewczyny... Poza tym, badając kiedyś morfologię krwi, dowiedziałam się, że mam więcej czerwonych ciałek, niż przeciętnie miewają kobiety... Można więc powiedzieć, że nie jestem stuprocentową niewiastą...

— Ponieważ mimo to jest pani kobietą — ciągnęła dalej właścicielka mieszkania — więc... pani rozumie...

Przybliżyła się do Xenii i wzięwszy ją serdecznie za obie ręce rzekła:

— Nie cierpię kobiet. Mam z różnych powodów „kobiecowstręt”... Pani mnie rozumie?...

Xenia zrozumiała ją doskonale i również w tym momencie poczuła „kobiecowstręt”. Pożegnała się szybko i znów znalazła się na ulicy.

W drugim mieszkaniu, na końcu Żoliborza, rozmowa prawie już dochodziła do punktu, w którym strona wynajmująca mówi: „No, to w takim razie jutro się wprowadzę. Oto zadatek!”. Ale wszystko rozbiło się o... wodę.

Xenia przysięgła już, że nie będzie prac, gotować i prasować.

— A kąpać się? — zapytała podstępnie właścicielka mieszkania.

Xenia zawahała się przez moment, po czym rzekła szybko:

— Mogę kąpać się u znajomych na mieście!...

— Nie wierzę! — odparła właścicielka i krytycznym spojrzeniem obrzuciła jej domytą twarz. — Miałam tu już taką jedną, co mi przysięgała, że się nie będzie kąpać, a potem... Jezus, Maryjo! Co się nie działo! Rano zajmowała łazienkę, wieczorem. Musiała być osobą złego prowadzenia, kiedy się tak chlapała! Bo „takie” to... zawsze... Niech mi pani da słowo honoru, że się pani nie będzie kąpać, to pani pokój wynajmę, inaczej nie!

— Nie dam! — wrzasnęła wówczas Xenia, wyprowadzona z równowagi. — Lubię się myć i chlapać. O co do „prowadzenia”, to lubię mężczyzn wodzić za nos — i to wszystko! No, więc co: odnajmie mi pani pokój czy nie?

— Nie! — odparła dama wyniosłe i otworzyła przed nią drzwi wejściowe.

Rozdział III

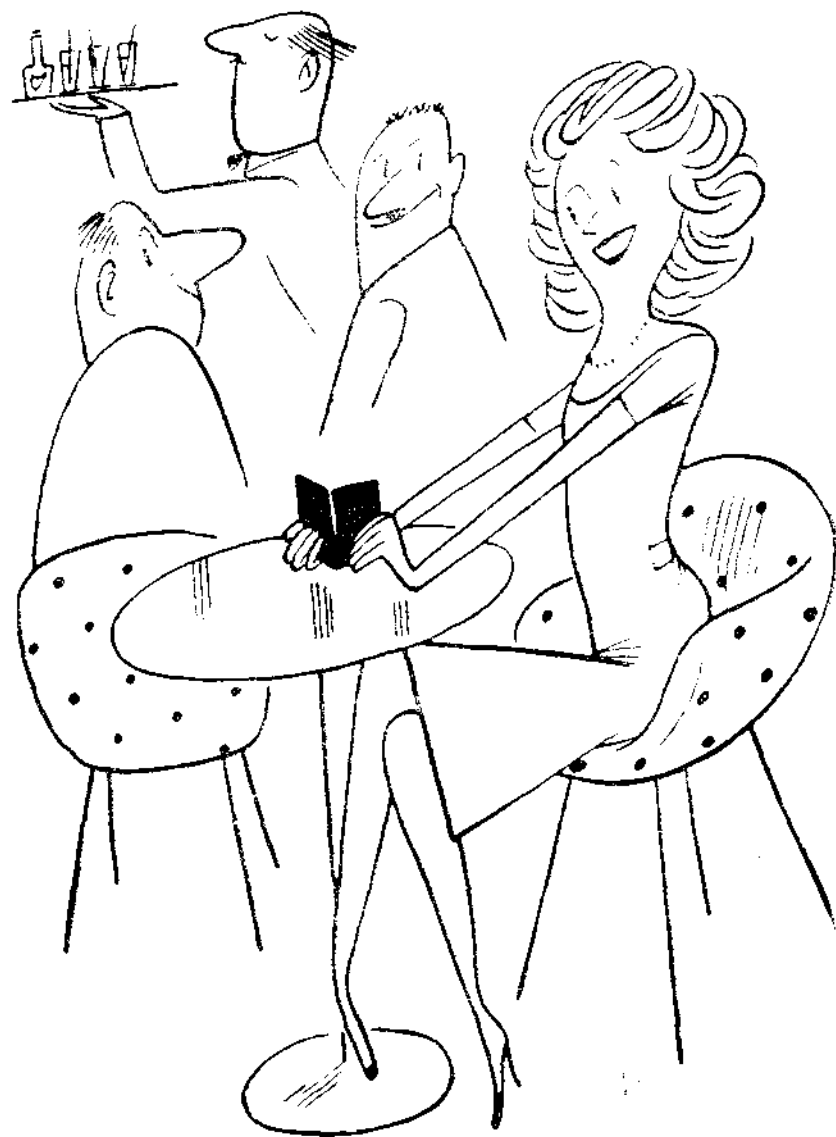
Sytuacja była beznadziejna. Dalej mieszkała u ciotki, która zatrzymała fałszywego ratlerka na wyraźny rozkaz Acusia. Piszczął i szczekał po nocach, drapał w drzwi, w ogóle zachowywał się jak najbardziej rasowy spaniel. Małżeństwo obok kłóciło się lub puszczało radio na pełny głos. Kamilla głośno marzyła o pięknym cudzoziemcu. Ciotka odprawiała swoje godzinki, czyli utyskiwała na los, a Acus dalej tyranizował wszystkich.

Któregoś dnia, idąc do redakcji, Xenia ujrzała tuż przed sobą leżący na chodniku jakiś czarny przedmiot. Podniosła go. Był to skórzany portfel z prawdziwej, ale dość przyniszczonej skóry. Włożyła go do kieszeni płaszcza. Ponieważ miała jeszcze chwilę czasu, więc wstąpiła do jakiejś małej kawiarenki i kazała sobie podać kawę. Przeczytała dzienniki, po czym przypomniawszy sobie o znalezionym portfelu sięgnęła do kieszeni, wyjęła go i poczęła badać jego wnętrze. W portfelu znajdowało się sto złotych, trochę pogniecionych dwuzłotówek oraz legitymacja.

Legitymacja wystawiona była na nazwisko niejakiego Kasprowego Hektora. Hektor Kasprowy, data urodzenia: rok 1930, miejsce zamieszkania: Kraków, ul. Czarodziejska nr 13, zawód: dziennikarz.

Przyjrzała się fotografii. Wiadomo, że zdjęcia do legitymacji robią z każdego człowieka, nawet przystojnego, „małpę à la minute”.

Nic więc dziwnego, że i właściciel legitymacji, którą znalazła, miał w fizjonomii mało cech ludzkich. Twarz bardziej po-



ciągnęła niź pociągająca. Nos i usta — od ucha do ucha. Roześmiała się do siebie, bo przyjrawszy się bliżej owej twarzy, odkryła, że była ona w karykaturze trochę podobna do jej własnej. Usta w kształcie zbliżone do jej ust, niski zarost włosów... Przejrzała się w lusterku od puderniczki. Rzeczywiście — jakieś podobieństwo było. Kiedyś uliczny fotograf zrobił jej zdjęcie na tle kartonowego samolotu: miała na nim takie zamglone spojrzenie nieboszczyka...

Schowała portfel do kieszeni postanawiając dać ogłoszenie do „Głosu Prawdy” o znalezionej zgubie. Szkoda, że nie jestem szoferem taksówki — pomyślała. — Dostałabym trzysta lub czterysta złotych znaleźnego.

Z ponurą, nie zachęcającą do rozmowy miną usiadła przy swoim biurku w redakcji i zaczęła przeglądać korespondencję. Przy sąsiednim biurku siedział ów młodzieniec, z którym rozmawiała na ulicy tydzień temu, a który niedawno zaczął tu pracować.

— Dzień dobry! — powiedział i zaraz spytał, czy znalazła już pokój.

— Nie! — odparła krótko i zagłębiła się w papierach.

— A może by pani miała dla mnie jakieś odpowiednie locum?

— Miałabym — odrzekła — ale tam chcą tylko i jedynie mężczyzny.

— No to właśnie... — zdziwił się. — To ja bym mógł tam się zgłosić.

— Wcale nie takie „właśnie”... Pan się do tego mieszkania nie nadaje.

Zamilkli oboje. Kolega spojrzał na nią, wzruszył ramionami i zaczął coś pisać.

— Pan pracował w Krakowie w „Echu”, prawda? — zapytała po chwili.

— Pracowałem.

— Czy pan nie zna przypadkiem Hektora Kasprowego?

— Hektora z Kasprowego?... Nie. Miałem kiedyś piękną charcicę Dianę... — rzekł z pewnym rozmarzeniem w głosie.

— Pan mnie zawsze musi rozśmieszyć, nawet wówczas, kiedy jestem wściekła! Chodzi mi o dziennikarza, którego nazwisko brzmi Hektor Kasprowy.

— Nie znam...

— Znalazłam na ulicy jego legitymację.

— No, to trzeba mu ją oddać, napisać do gazety ogłoszenie. Oczywiście do naszego „Głosu Prawdy”.

— Właśnie. Czy pan wie, że on jest do mnie podobny?

— Niech pani pokaże! — Wstał od swojego biurka i oboje pochylili się nad znaną legitymacją.

— Może... Coś w oczach...

— Ale ja jestem o wiele przystojniejsza, prawda?

— Owszem. I starsza.

— Idiota! — mruknęła Xenia i schowała legitymację do szuflady biurka.

Zacząła znów przeglądać listy czytelników, na które powinna była odpowiadać w rubryce pod tytułem „Odpowiadam za to”, po czym nagle wstała i zbliżyła się do biurka kolegi.

— Panie Józku — zaczęła — czy pan jest moim przyjacielem?

Józek Ofermacz zaczerwienił się.

— Chciałbym nim zostać.

— Ale czy pan mógłby być moim przyjacielem na wszystko, nawet na kant?

— Na życie i... na kant! — odparł kładąc rękę na sercu. — Tylko nie na kant pieniężny — dodał od razu.

— O, mój panie Józku! To się stanie naszą słodką tajemnicą. Będzie o niej wiedziała tylko właścicielka mieszkania, gdzie mam zamiar się wprowadzić, pan i...

— I?...

— I oczywiście ja!

— Czuję, że mnie dzisiaj coś niezwykłego spotka — ucieszył się Józek — lewe ucho mnie swędziało.

— Więc niech pan słucha! — W tym momencie przyciszyła nieco głos. — Od jutra dla tych trojga osób, a raczej dla czworga, bo jeszcze wchodzi w grę córka właścicielki mieszkania, jestem...

— ?...

— Jestem Hektorem Kasprowym.

— Cooo? — szepnął młodzieniec i zsunął się z krzesła na ziemię.

— Tak! — rzekła Xenia i podniosła dumnie głowę. — Przebieram się za chłopaka, obetnę sobie włosy krótko, kupię na ciuchach amerykańską kurtkę, podszytą fałszywym jagnięciem, kolorowy szalik i okulary... Będzie chłopaczek jak ta lala!

— Czy pani zwariowała, panno Xeniu? — jęknął Józek Ofermacz siadając z powrotem na krześle.

— Wcale nie. Tylko mam już dosyć tego pokazywania mi drzwi przez wszystkie właścicielki pokoi do wynajęcia dlatego tylko, że jestem kobietą. Jako chłopak mogę sobie wybierać. Mam już zresztą upatrzony fajny pokoik w Alei Trzeciego Maja, gdzie właśnie chcą koniecznie młodego, przystojnego pana. Chcą, niech mają! — roześmiała się lobuzersko.

— Ale... przecież każdy pozna, że pani jest kobietą.

— Zobaczy pan, że nie. Jestem wyższa od pana na przykład, mam duże ręce i nogi. Mam męski rozum...

— No, co to, to nie... — zaoponował.

— Właśnie, że co to, to tak. Gdybym go nie miała, to nigdy bym nie wpadła na taki genialny pomysł.

— Dobrze, ale co powiedzą wszyscy pani znajomi i koledzy redakcyjni?

— Powie się im, że mam kuku na muniu i już! Ale pan mnie nigdy nie zdradzi, prawda, panie Józiu? Za to będzie pan jedynym moim kolegą, któremu pozwolę na odwiedzanie mnie w moim nowym mieszkaniu.

— Fajno jest! — ucieszył się Józek. — Przyniosę kiedyś wódeczkę, pani przygotowuje zakąski!... Wie pani, panno Xeniu, że ja nieraz sobie myślałem, że pani jest takim nieudanym chłopcem.

— Doskonała nazwa dla kobiety, to się panu udało! Ale wie pan co? Ażeby się nie mylić co do tego „pan”, „pani”, wypijemy na ty.

— Marzyłem o tym od dawna! Ale czym wypijemy tego brudzia?

— Na razie wodą sodową.

Nalała jemu i sobie po szklance wody, stuknęli się, wypili i zamienili przyjacielski pocałunek.

— Józef -- rzekł Ofermacz.



— Hektor! — rzuciła z całą powagą Xenia.

Roześmieli się i uścisnęli sobie dłonie.

— No dobrze — rzekł po chwili — ale co będzie, jeśli ten prawdziwy Hektor dowie się o tym? Nieomal kryminalna sprawa... Sąd... Rozprawy...

— Będzie cudowny temat dla Wiecha — uśmiechnęła się Xenia. — Więc mogę na ciebie liczyć, Józku, że mnie nigdy nie zdradzisz?

— Nigdy, kochanie, przysięgam!

— Tylko — rzekła Xenia — żadnych „kochanie”, „maleństw”, „dziubeczków”! Chłopcy tak do siebie nie mówią. Mówią natomiast: „stary żłobie”, „draniu”, „ofermo jedna”.

— Co? Co takiego?

— Nie, Józku, nie chciałam cię urazić; to nie był żaden przytyk do twojego nazwiska, wierz mi... No i po przywitaniu się ze mną możesz mnie łupnąć w plecy...

— Chętnie... Chociaż z drugiej strony...

— To właśnie jest druga strona. No i co jeszcze chłopcy robią? Powiedz, bo przecież ty wiesz lepiej ode mnie.

Chciał powiedzieć: „Chodzą na dziewczynki”, ale ponieważ byłoby to niecenzuralne, a Józek należał do bardzo przyzwolonych młodzieńców, więc rzekł:

— Tańczą z panienkami.

— O, co to, to nie. Jeśli pójdę kiedyś potańczyć, to gdzieś na mieście przebiorę się na powrót za kobietę.

Józek znów usiadł przy swoim biurku, ponieważ w sąsiednim pokoju odezwały się jakieś głosy. Chwilę dumał z podpartą głową, po czym rzekł:

— Czy ty nie myślisz, moja Xeniu, że w stosunku do tego nieznanego, bądź co bądź kolegi dziennikarza, to będzie skończone świństwo?

— Trochę będzie... — zaszepiła się. — Ale to nie na długo. Może po jakimś czasie znajdę taki pokój, gdzie właśnie będą chcieli mieć kobietę, a nie mężczyznę, i cała komedia się skończy.

— Wierzysz w to? *

— Nie bardzo. Ale powiedz, co mam robić? Sam los podrzucił mi tę legitymację. I ta nazwa ulicy: Czarodziejska! I numer trzynastka. Trzynastka — to moja szczęśliwa cyfra.

Było właśnie po pierwszym i Xenia miała jeszcze pieniądze. Razem z wierszówkami za felietony była tego spora sumka. Obudziła się nazajutrz rano wesola i podniecona. Powiedziała Kamilli, że ślicznie wygląda, ciotce Helenie, że zeszczupiała, Acusiowi, że go kocha. Pogiaskała nawet „Znajdka”, który od razu skoczył jej na kolana oblizując twarz z ferworem rasowego spaniela. Zaproponowała Kamilli, aby wybrały się koniecznie na „ciuchy”.

— Przynajmniej raz wymyśliłaś coś mądrego — odparła Kamilla. — Właśnie potrzebuję jakiejś szalowej spódnicy.

Po dłuższej jeździe tramwajem znalazły się na owej „ziemi obiecanej”, gdzie można było dostać wszystko to, co zamożni krewni z Anglii lub Ameryki, zamiast wyrzucić na śmietnik, posyłali w paczkach swoim ubogim rodzinom w Polsce. Były tam również luksusowe towary, nowe i bardzo drogie. Bezwstydną stanowczość, z jaką handlarki wymieniały ceny importowanych sweterków, kupionych „na lewo” w „Galluxie”, drażniła klientki; mimo to przykładały je sobie do biustów, do twarzy i albo z ciężkim westchnieniem odkładały na bok, lub też z jeszcze cięższym płaciły wygórowane ceny i skarb chowały do koszyczków. Ciuchy mają to do siebie, że to, co na bazarze jest zawrotnie piękne i „w sam raz”, w domu okazuje się ciasne, wypłowiałe i w ogóle do niczego. Działa tu magia siedzących w kucki handlarek-czarownic, które posiadają tajemniczą zdolność rzucania czarów na przedmioty.

— Paniusiu kochana, pani mówi, że ta sukienka jest noszona! Popatrz pani, prościutko z paczki, a guziczki oderwane, aby mniejsze cło zapłacić. Bierz pani za dwieście złotych, niech stracę!

Handlarki mają swoje agentki, te stają przed ofiarą, która waha się trzymając w rękach ciuch, i zaczynają wychwalać gatunek materiału i fason sukni.

— Jak na panią robione! — cmokają z zachwytem.

Kobiety na bazarze zachowują się jak muchy. Ciastko leży na talerzyku i żadna mucha się nim nie interesuje; usiądzie jedna — jest ich od razu kilka. To samo dzieje się z kieckami. Leży kreacja w krzyczących kolorach, wołająca swoją brzydota o pomstę do nieba, i nikt na nią nie zwraca uwagi.

Wystarczy, by jedna kobieta zainteresowała się nią, a po chwili jest wokół kilka innych; wydzierają sobie owo cudo, sprzeczą się, która była pierwsza, i w końcu jedna z nich kupuje je bez targów, aby potem w domu przeklinać chwilę kobiecej słabości.

Aby uspokoić wzburzone umysły i nerwy, znające naturę ludzką przekupki przywołują ludzi do porządku, zachęcając, by się napili gorącej herbaty, zjedli bigosiku lub parówek.

— Komu gorącej herbaty, komu? — Do bigosiku, do bigosiku! Do parówek, do parówek, paróweczki gorące komu?

Koło zagranicznych ciuchów wałęsają się „kociaki” z końskimi ogonami lub uczesane à la Ofelia wydobyta z wody, a koło nich chłopaki w wąskich spodenkach i trzyćwierciowych płaszczkach. Całe to młode towarzystwo jest grobowo poważne i skupione. Z rąk do rąk przechodzą amerykańskie spódnice dla ubogich Murzynek, sfilcowane sweterki, haftowane błyszczącymi paciorkami, zniszczone wiatrówki w kolorowe kraty. Największe brzydactwa, byle miały na sobie zagraniczną markę, wchodzi tutaj w rachubę. Z pogardą traktowana jest tylko konfekcja wykonana z krajowych materiałów.

— Co mi pani pokazuje za sukienkę, przecież to krajowy jedwab! — Dziewczyna w płaskich „trumniakach” wydyma pogardliwie blad różowe usta.

Handlarka zażenowana, że ją zdemaskowano, szybko wyciąga z worka zgniecioną spódniczykę.

— Za to ta spódniczka jest zagraniczna, niech pani szanowna spojrzysz na markę. A gatunek!! Dwieście złotych do zacenienia.

Kamilla, stary bywalec ciuchów, z góry zapowiedziała Xeni, aby niczego nie chwaliła, bo wówczas nic z ceny nie można utar-gować.

- Na wszystko wykrzywiasz się, pamiętaj!
- Jaka jest cena tego paskudztwa?
- Jak paskudztwo, to po co się paniusia pytasz?
- Bo jeśli cena byłaby niska, to kupiłabym tę spódniczkę dla córki mojej gosposi.
- Dwieście osiemdziesiąt do zacenienia.
- Dam osiemdziesiąt. Znoszone, wypłowiałe...
- Paniusia sama znoszona i wypłowiała.



Handlarka z furią wrywa spódnicę z rąk Kamilli i efektywnie rozkłada między innymi ciuchami. Potem zamyka twarz na cztery spusty i oczy zwraca w stronę innej klientki, mniej cwanej. Rozklapane usta odmykają się, zakwita na nich uprzejmy uśmiech.

— Co panusia uważa? Mam piękne zagraniczne towary.

Poszły dalej. Xenia dostrzegła wiatrówkę męską, podbitą kutnerkiem.

— Popatrz — zawołała — jaka porządna wiatrówka. Właśnie takiej szukam...

— Nie pozwolę ci kupować takiego świństwa. Chyba że cena byłaby bardzo niska — rzekła głośno Kamilla, tak aby to doszło do uszu przekupki.

— Jak świństwo, to proszę nie ruszać!

Xenia postanowiła opuścić kuzynkę, której duszyczka była tak zbliżona do dusz handlarek. Zagubiła się naumyślnie w tłumie i niedługo wpychała do teczki męską wiatrówkę podbitą kutnerkiem, „zupełnie nową”, granatowe wąskie spodnie „texasy” z czerwonym szwem, chłopięcą koszulę amerykańską w kolorową kratę, marynarkę z zagranicznego sztruksu na drobnego mężczyznę i brązowe czeskie trampki.

Kamille znalazła przy wyjściu. Cały jej koszyczek wypełniały kolorowe szmatki, z których była tak dumna jak myśliwy wracający z udanego polowania. Sweterki i spódnice wyciągała po kolei (jak króliki za uszy) i strzepując je szczyliła się nimi przed Xenią. Jakaś paniusia-sroka natychmiast rzuciła się na któryś z jej lupów.

— Ile pani chce za ten sweterek?

— To nie jest do sprzedania — odparła z godnością Kamilla wkładając skarby z powrotem na ich właściwe miejsce. — Ja jeszcze tam wrócę — rzekła do Xenii. — Chmurzy się; jak zaczniesz kropić, to wszystko potanieje.

Kiwnęły sobie głowami i Xenia poszła w stronę autobusu.

W śródmieściu zaszła do swojego fryzjera.

— Proszę mnie ostrzyć zupełnie po męsku, panie Romanie.

— Trochę loczków zostawimy na karczku?

— Żadnych loczków. Tak jak chłopcy noszą.



— Trwałą zrobimy? — zapytał fryzjer, gdy już cała podłoga uloczkowana była włosami Xenii.

— Nie! Gładko i do góry!

— Nie radziłbym faktycznie — sprzeciwił się pan Roman. — Pani szanowna chce się zrobić na jakiegoś „harpagona”, a ja bym wolał „chryzantemę”.

— Nie, nie, proszę pana, zupełnie po męsku — rzekła Xenia, z prawdziwą przyjemnością konstatując, że jej w tym męskim uczesaniu bardzo nie do twarzy.

— Brewki pani robi? — zachęcał pan Roman.

— Brewki? Za nic w świecie. I tak są za ciemne i za wąskie.

— Nie powiedziałbym faktycznie. Po całym czółku się rozbiegały, warto by było wycieniować.

— Za nic! Muszą takie pozostać.

— Manikir pani życzy? Panna Zosia jest właśnie wolna.

— Żadnego manikuru.

Wróciwszy do domu włożyła na siebie granatowe portki, które leżały jak ulał, kraciastą koszulę, i tak ukazała się ciotce.

— I cóżes ty z siebie zrobiła za czupiradło! Wyglądasz jak chłopak.

— Naprawdę? Och, moja cioteczna najmilsza! — Porwała wpół starszą panią i podniosła do góry.

— Jakaś ty silna — jęknęła pani Helena.

— Prawda? — ucieszyła się Xenia. — Bo ja się cioci przyznam, że jestem trochę chłopakiem.

— Eee, jaki ty tam chłopak. Taka sama baba jak wszystkie, tylko tyle, że masz na nogach portki, a w głowie fiolki.

— Ale gdyby mnie ciocia nie знаła, toby nie pomyślała, że jestem mężczyzną?

— Może i tak, ale z tego najgorszego gatunku „bikiniarzy”.

— No, to już dobrze. Dziękuję cioteczce. A gdybym nie wróciła na noc, proszę się nie martwić, bo to będzie oznaczało, że znalazłam pokój.

— W takim dziwnym przebraniu i w tym uczesaniu wyglądasz tak, że ci żadna szanująca się osoba nie wynajmie pokoju.

— A ja właśnie myślę, że przeciwnie.

— A możeś ty, moje dziecko, upadła na głowę i nie chcesz się ciotce przyznać?

— Nie upadłam na głowę, tylko wpadłam na pomysł. Do widzenia, ciociu!

Po wyjściu z domu miała wrażenie, że każdy przechodzień obrzuca ją ironicznym wzrokiem i ogląda się za nią. A może by sobie zapuścić wąsy? — pomyślała dość głupio. — Ciekawam, czyby mi wyrosły, gdybym zaczęła co dzień golić puszek nad górną wargą?...

Wskoczyła do autobusu, znalazła siedzące miejsce. Obok stała jakaś starsza kobieta. Xenia po krótkim namyśle wstała prosząc starszkę, żeby zajęła jej miejsce.

— Dziękuję panu bardzo! — odparła siadając siwa pani.

Xenia miała ochotę rzucić się jej na szyję i uściskać. A więc jednak wyglądała na chłopca!

— Proszę pana — rzekła po jakimś czasie starszka — czy to już most? Bo ja tak niedowidzę...

— Jeszcze nie — odrzekła Xenia martwym głosem.

Więc dlatego stara pani wzięła ją za mężczyźną, że miała zły wzrok... To okropne!

Z bijącym sercem wbiegła na schody domu przy Alei Trzeciego Maja. W drzwiach stała ta sama starsza dama w karakułowej fryzurze. Obrzuciła Xenię zdziwionym wzrokiem.

Pozna mnie czy nie?... — pomyślała Xenia i serce zabiło jej gwałtownie.

— Czym mogę panu służyć? — spytała pani domu.

Słowo „panu” zadźwięczało w uszach Xenii radośnie. Triumfujący uśmiech rozszerzył jej usta i ukazał dwa rzędy najprawdziwszych zębów. Gdy się uśmiechała, robiła się ładna i nawet uwodzicielska.

— Słyszałem — rzekła — że u pani jest pokoik do wynajęcia.

— Czy pan przychodzi z czyjegoes polecenia? — zapytała gospodyni.

Nie czekając na odpowiedź otworzyła drzwi i uprzejmym gestem zaprosiła Xenię, by weszła do bawialni.

— Proszę bardzo.

Xenia w porę przypomniała sobie, że jest mężczyzną i nie wypada jej wchodzić pierwszej; usunęła się chcąc przepuścić właścicielkę mieszkania, ale ta znów wskazała jej otwarte drzwi.

— Panowie pierwsi! — rzekła uśmiechając się czarno-złotym uśmiechem.

Gdy obie usiadły, Xenia zapaliła papierosa i powiedziała:

— Wspominała mi o tym pokoju moja siostra... Taka wysoka blondynka, podobna do mnie... Czy przypomina ją sobie pani? Była tu jakieś trzy tygodnie temu.

— Oczywiście, że sobie przypominam. Wykapany braciszek, tylko że nie tak przystojna. Owszem, miła, kulturalna osoba... Ale nie mogłyśmy jakoś dojść do porozumienia... Miała takie wymagania...

— Jak to baby — Xenia wydeła pogardliwie usta. — Z babami dojść do porozumienia...

— No właśnie! — podjęła ochoczo gospodyni — widzę, że jesteśmy tego samego zdania. Nie będzie nam trudno się zgodzić... Ale pan jest chyba o wiele młodszy od siostrzyczki?

— Nie, proszę pani, jesteśmy w tym samym wieku.

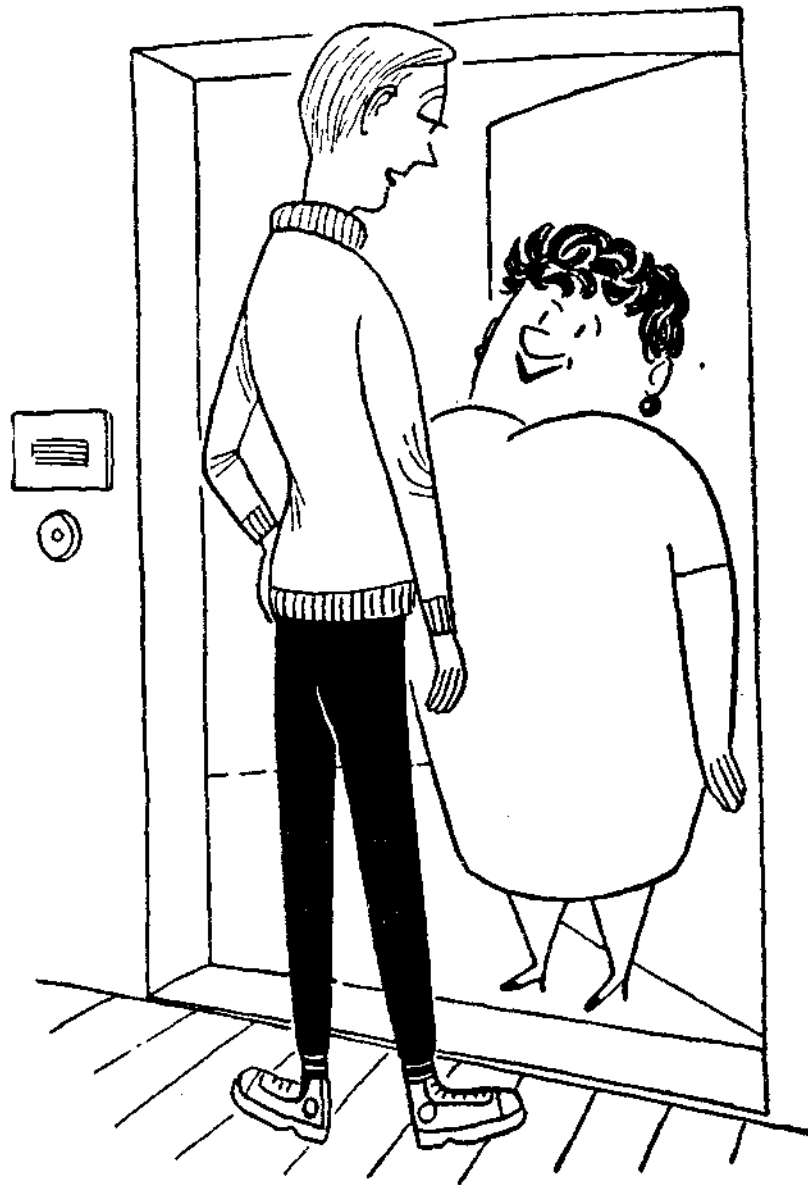
— Rozumiem: bliźnięta! — zarechotała damula. — Teraz to te bliźnięta rodzą się jak grzyby po deszczu.

— No, nie tak bardzo teraz! — sprostowała Xenia. — To było jednak dobrych dwadzieścia lat temu... Czy będzie można obejrzeć sobie ten pokoik?

— Proszę bardzo. Boję się tylko, czy się panu spodoba. Ale my go tak z dzieckiem urządzimy, że na pewno będzie pan zadowolony.

Xenia, ubawiona do żywego tą wręcz niezwykłą sytuacją, podażyła za gospodynią. Pokoik mało się zmienił od czasu, gdy go widziała. Wydał jej się tylko jaśniejszy, ponieważ wiosenne słońce wpadało przez okno pozbawione firanek i malowało ściany na złoty kolor. Ażeby podręczyć trochę starą „chłopomankę”, Xenia wydeła usta i skrzywiła się.

— Moja siostra mówiła mi, że pokój jest umeblowany, a tymczasem tu prawie nic nie ma. Łóżko z oberwaną nogą, koślawe



krzesła... Nie widzę szafy... Jakżeż będę mógł do takiej nory wprowadzić moich kolegów?

Na słowo „kolegów” gospodyni oblizwała usta.

— Wszystko zmienimy! — rzekła szybko. — Zaraz dzisiaj posłę po znajomego stolarza, wszystko pięknie ponaprawia. Szafę panu wstawię... Biurko objemy świeżym sukniem, mam nawet taki kawałek w domu... Firanki też zawiesimy.

— A co pani robi z... tym? — Xenia wskazała ślady po pluskwach na ścianach.

— Ach, proszę pana, pluskiewki dzisiaj, kiedy jest nasze kochane amerykańskie dedete, to sprawa do załatwienia w ciągu jednego dnia... Nigdy dawniej u nas czegoś takiego nie było... Dopiero gdy się tu wprowadziła pewna... kobieta, której się na szczęście szybko pozbyłam...

— Kobiety zawsze coś niepotrzebnego do domu wniosą! — podjęła sentencjonalnie Xenia.

— Widzę — zaśmiała się paniusia — że pan, podobnie jak my, nie jest przyjacielem „płci brzydkiej”...

— „Płci brzydkiej”? — zdziwiła się Xenia.

— My tak z córką nazywamy rodzaj żeński. Oczywiście myślimy w tym wypadku o stronie moralnej... Chociaż, jeśli chodzi o stronę fizyczną, to również z dzieckiem uważamy, że mężczyzna jest bez porównania lepiej i praktyczniej zbudowany niż kobieta... Więc pan też kobiet nie lubi? — Teraz w jej głosie zabrzmiała jak gdyby nuta niepokoju.

— Lubię kobiety młode i ładne — wypaliła Xenia, ironicznym wzrokiem mierząc przysadzistą postać gospodyni domu.

Twarz paniuli momentalnie się rozjaśniła.

— To w takim razie moje dziecko, moja córuchna będzie się panu podobać. Biedactwo trochę mi teraz mizernie wygląda, ale gdy pan u nas zamieszka, to się na pewno poprawi.

— Wątpię... — rzekła Xenia krzywiąc usta. — Ale nie ustaliliśmy jeszcze ceny... Jeżeli będzie zbyt wygórowana, poszukam sobie jakiegoś locum gdzie indziej...

Gnębienie „chłopomanki” bawiło ją niezmiernie: Poczekał, babo, dam ja ci teraz taką szkołę, że ci się mężczyzna odechce raz na zawsze! — pomyślała z dziką radością. — To za moją biedną Xenię!

— Dla kobiet lokatorek mamy inne ceny, dla panów inne. Mężczyźni nie używają tyle gazu, nie gotują, nie piorą...

— Pani się myli — rzekła oschłym głosem Xenia — jestem mężczyzną z lekka zniewieściałym, przyzwyczajonym do tego, aby wszystko koło siebie robić samemu. Chętnie sam przepieram sobie bieliznę, ceruję skarpetki, lubię też usmażyć sobie jajecznicę i zaparzyć dobrą, mocną kawę...

— Ależ gdzie byśmy na to z dzieckiem pozwolili! Wszystko pan dostanie do łóżeczka, i świeżą pościel, i śniadanko wyśmienite. Nie będzie pan potrzebował troszczyć się o to... Jak u matki! — zaśmiała się złościście.

W tym momencie drzwi się otwały i ukazała się w nich ta sama ciemnooka dziewczoja, z którą się Xenia tak brzydko kiedyś przemówiła. Zdumionym wzrokiem objęła obcego młodzieńca.

— Ależ mammo... — wyjąkała — przecież..., przecież to ta sama... Jakże to może być? My się już znamy... Ale pani... pan... była wówczas kobietą...

Xenia zaczerwieniła się aż po samo czoło. Serce jej zabiło mocno. Ależ ma dobrą pamięć to blade póldiable! Wszystko przepadło! — pomyślała przerażona.

— Braciszek-bliźniaczek! — wyratowała ją z tej niemiłej sytuacji pani domu. — Niech pan wybaczy, ale moje dziecko jest takie nerwowe i ma taki uraz na punkcie kobiet...

„Dziecko” uśmiechnęło się teraz przyjaźnie i podało Xenie rękę, której jakby nie miało ochoty cofnąć potem.

— Teraz rozumiem — rzekła. — Co za niesłychane podobieństwo! Gdyby nie te spodnie i męska fryzura, przysięgłabym, że pan to pana siostra! Ale pan jest chyba dużo młodszy od niej?

— Widzi pan, jaki z niej dzieciak! — zaśmiała się mamusia. — Powiedziałam, że pan jest bratem bliźniakiem, a ona pyta, czy pan jest dużo młodszy od siostry! Oj, ty, ty, mądrało! I pomyśleć sobie, że to to skończyło dwadzieścia dwa lata!

— Na tyle pani nie wygląda! — rzekła Xenia mrużąc oczy w sposób złośliwy, bezczelny.

— Prawda? — podchwyciła mamusia radośnie.

— Na tyle nie... — wyrzekła Xenia wolno i z wyrafinowaną złośliwością — tylko na... trochę więcej.

Panna spojrzała na nią z zawodem i żalem. Matka zaś najwidoczniej zmieszała się.

— Ona teraz, biedactwo, mizernie wygląda, ale gdy znów przyjdzie do siebie... nabierze kolorów...

— Pana siostra musiała mnie strasznie obgadać! — wybuchnęła panienka. — W ogóle od początku odniosła się do mnie z jakąś dziwną antypatią...

— Cicho, no cicho... — Matka zaczęła ją głaskać po gładkiej czarnej główce. — Nie ma tu żadnej siostrzyczki, jest przemiły, uroczy pan. Przepraszam, ale nie znamy jeszcze dotychczas pańskiego nazwiska?

— Nazywam się Hektor Kasprowy! — rzekła Xenia, dumnie podnosząc do góry głowę. — Pracuję tak samo jak moja siostra w dziennikarstwie.

— Kasprowy! — podchwyciła entuzjastycznie mama. — Ach, cóż za piękne i rdzennie polskie nazwisko! Prawda, córeczko, jak od razu powiało górami, naszymi Tatrami? Czy pan może pochodzi z górali? Górale to była zawsze moja największa namiętność...

— Pani pomyliła się o jedną literę — zadrwiła sobie Xenia, którą ta komedia bawiła niesłychanie — pochodzę bowiem z goryli. Wszyscy pochodzimy od małp, co czasem jest aż nadto widoczne.

Mama roześmiała się i po chwili zapytała:

— Więc kiedy szanowny pan będzie łaskaw sprowadzić się do nas?

— Dzisiaj — odparła Xenia trochę zanadto pośpiesznie. — Zaraz pojedę po moje rzeczy.

— Wolalibyśmy, żeby jednak raczej jutro... Pokoik trzeba wysprzątać, podłogę wypastować, firanki zawiesić. Chciałybyśmy, i ja, i dziecko, aby pan się u nas czuł jak najlepiej, jak najprzytulniej.

— Otóż to! Jak najprzytulniej! — przytaknęła córka obrzucając Xenię długim, marzącym spojrzeniem.

— Ale jeszcze jedna sprawa... — W tym momencie zimny dreszczyk przeleciał Xeni po krzyżu. — Czy to mieszkanie po-



dłega kontroli Urzędu Mieszkaniowego? Bo jeśli tak, to są pewne trudności... Jestem wciąż jeszcze zameldowany w Krakowie i musiałbym specjalnie tam jechać, żeby się wymeldować z mieszkania moich rodziców...

— Niech pan szanowny będzie najzupełniej spokojny. Może się pan zameldować czasowo... albo też wcale. To mieszkanie odremontowałyśmy z dzieckiem zaraz po wojnie i nie podlega ono żadnej kontroli...

Xenia odetchnęła z ulgą i nawet raczyła objąć obie kobiety ciepłym, przyjaznym spojrzeniem.

— Mam wrażenie, że sobie krzywdy nie zrobimy, ale zapowiadam: lubię się myć, chlapać i gotować!

Obie panie spojrzały po sobie i uśmiechnęły się.

— Och, znamy się na takim męskim gotowaniu! — rzekła pani domu. — To całkiem niegroźne.

— Więc sprowadzam się już dzisiaj na noc — rzekła Xenia stanowczym głosem. — I proszę — dodała — żeby do wieczora pokój był jako tako wysprzątny i podłoga wypastowana. Mają panie dobre kilka godzin czasu... A więc, do zobaczenia!

Zamaszyście, z lekką przesadą uściśniła ręce obu damulkom. Córka odprowadziła ją do drzwi.

Nim Xenia przestąpiła próg, dziewczę zawołało nagle histerycznym tonem:

— Dziękuję panu!

— Za co mi pani dziękuje? — zdziwiła się.

— Za to, że pan zechciał u nas zamieszkać i za to... że pan nie jest swoją siostrą!

Xenia zaczęła się tak szaleńczo śmiać, że musiała szybko wyjść, aby jej śmiech nie wydał się zbyt podejrzany.

— Dzięki Ci, Panie Boże! — westchnęła, gdy już była na ulicy — dzięki Ci, Boże, że jestem taką urodzoną komedianką, że mnie stworzyłeś na obraz i podobieństwo chłopca i że kobiety są tak bezgranicznie głupie!!!

Kiedy już ochłonęła z tego szału radości, przyszły na nią poważne refleksje. Wszystko pięknie, ładnie — pomyślała — ale co będzie, jak prawda wyjdzie na wierzch? Przecież z czasem musi wyjść. Pierwsza lepsza z moich znajomych może mnie



zdradzić, a przy tym co za świństwo wobec tego biednego pana Hektora, który na próżno szuka swojej legitymacji.

Ażeby uspokoić sumienie, postanowiła całą sprawę uważać za przejściową tak długo, póki znów jako kobieta nie znajdzie dla siebie pokoju. Nie będzie to sprawa łatwa, ale może... po jakichś kilku miesiącach... między znajomymi...

Ponieważ miała zdolność szybkiego załatwiania się ze swoim sumieniem, więc po chwili zwróciła myśl ku innym sprawom: niezbędnym zakupom. Ujrzała w swoich męskich marzeniach szelki, ale od razu przypomniała sobie, że nowoczesny mężczyzna używa raczej paska, więc zaniechała tego wydatku. Postanowiła natomiast kupić scyzoryk i portfel, w którym należało nosić dużo amatorskich zdjęć (och, jak mężczyźni zanudzają nimi kobiety!). Z tymi zdjęciami była jednak trochę trudniejsza sprawa, bo na wszystkich występowała nie jako mężczyzna — Hektor Kasprowy, lecz jako kobieta — Xenia!

Rozdział IV

Gdy wraz ze swoimi nielicznymi gratami zjechała na nowe mieszkanie, ogarnęło ją zdumienie. Pokoik był wręcz nie do poznania. Kulawe łóżko zostało zastąpione wygodnym, aczkolwiek trochę rozkładanym tapczanem; biurko z podartym sukniem było przykryte serwetką haftowaną w niezapominajki. Oba foteliki miały po cztery nogi, jak każde uczciwe zwierzątko. W oknie uśmiechały się świeżo uprane firanki, a na stoliku obok tapczana stał secesyjny wazon z kilkoma tulipanami. Cały pokoik pachniał świeżością, jak wyszorowana na święta mieszczańska panienska. Xenia ubawiła się ujrawszy wiszącą na ścianie fotografię córki domu z jej młodszych lat, z rozpuszczonymi czarnymi włosami, uśmiechniętą do obiektywu, z przekręconą figlarnie główką; do piersi tuliła naręcze chryzantem.

Gdy tak robiła przegląd swojego nowego pokoju, ktoś zapukał do drzwi.

— Czy można? — odezwał się pełen słodczy głosik gospodyni.

— Proszę! — odparła Xenia bez entuzjazmu.

— No cóż? Czy jest pan zadowolony ze swojego nowego gniazdeczka? — zapytała wchodząc karakułowa dama.

— Owszem — odparła z uśmiechem — żeby tylko w tym gniazdeczku nie było robaczków dla „ptaszyny”, toby wszystko było dobrze!

— Świetny żarcik! — zaśmiała się ochoczo gospodyni. — Jak to z mężczyzną w domu zaraz jest inaczej: żarty, wesołe

powiedzonka, pogodny nastrój, nie tak jak z babami! Czuję, że nam będzie dobrze razem... A co do robaczków, to niech się „ptaszyna” nie obawia, zasypaliśmy z dzieckiem wszystkie kąty i tapczan proszkiem i... — zaśmiała się — „mucha nie siądzie”! Ale czy pan wie? — tu ściszyła głos. — Dziecko odstąpiło panu swój tapczan, a samo będzie sypiało na tym łóżku, które tu stało... Własnego jaseczka też się wyrzekło, ażeby tylko panu było wygodnie. Chciałabym, żeby pan czuł się u nas jak u własnej mamy.

— Wspaniale! — zawołała Xenia. — Będę panią traktował jak własną matkę, a jej córkę jak rodzoną siostrę.

— No, nie przesadzajmy — skrzywiła się gospodyni. — Jeśli chodzi o wiek, oczywiście, że mogłaby być pańską siostrą, ale jeśli idzie o urodę i wdzięk... Pan jej się dobrze nie przyjrzał; słodka dziewczyna i taka dobra... A jak kocha dzieci! Czy pan wie, że gdy zobaczy jakiegoś ładnego dzieciaka na ulicy lub w parku, to się formalnie rzuca na niego i chce go zacałować...

— Matki nie muszą być z tego zbyt zadowolone — zauważyła Xenia.

— Nie rozumiem, dlaczego miałyby być niezadowolone?... Ale co pan szanowny chciałby dostać na kolacyjkę? Jajeczka, bułeczkę z masłem, rzodkiewki, herbatkę?

— Wolałbym co prawda kawior, łososia i butelkę dobrego wina, ale skoro pani ma w domu tylko jajka, chleb i herbatę, to poproszę. Musimy się jednak zaraz porachować...

— O, to taki drobiazg — uśmiechnęła się czarno-złotym uśmiechem. — Porachujemy się pod koniec miesiąca. Do sądu na pewno nie pójdziemy.

Kiwnęła na pożegnanie kręconą czupryną i wyszła z pokoju.

Xenia zapaliła papierosa i przypomniawszy sobie amerykańskich businessmanów z filmów usiadła wygodnie na fotelu, a nogi położyła na stole. Jako mężczyźni wolno mi robić wszystko, co mi się podoba! — pomyślała z dumą.

Wyciągnęła z kieszeni kurtki gazetę i zaczęła czytać szpalte po szpalcie, jak to mężczyźni zwykle czynią: od wstępnego artykułu aż do drobnych ogłoszeń. Roześmiała się przeczytawszy ogłoszenie „samotnej, wypłacalnej, poszukującej pokoju przy rodzinie...” Szukaj sobie, szukaj! — pomyślała z ironią. —



Lepsze od ciebie szukały i nie znalazły, a zdobyły ten skarb dopiero drogą brzydkiego oszustwa.

W tym momencie przyszyły jej do głowy wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie się mogła narazić wskutek tego oszustwa. Co będzie, jeśli któraś ze znajomych ją zdradzi? Co będzie, jeśli się zjawi prawdziwy Hektor Kasprowy? Mogła się też sama zdradzić jakimś powiedzeniem, wspomnieniem... Jakżeż bardzo będzie musiała uważać, aby mówić o sobie zawsze w rodzaju męskim... Czekają ją nie lada zadanie i udręka grania wciąż komedii. Na razie bawiło ją to jeszcze bardzo, ale co będzie potem?

Potem może przez znajomych znajdzie jakiś pokój jako kobieta! — pomyślała optymistycznie.

Do pokoju ktoś lekko zapukał.

— Proszę! — rzekła Xenia nie odrywając oczu od gazety.

Wiedziała dobrze, że nie może pukać nikt inny, jak tylko gospodyni lub jej córka. W każdym razie nie listonosz z pieniędzmi, ten najmilszy ze wszystkich pukających! — pomyślała z westchnieniem.

Do pokoju weszła córka gospodyni niosąc na tacy smaczną kolację. Postawiła tacę na stole i siadła naprzeciw Xeni. „Hektorek” zauważył nie bez złośliwej satysfakcji, że panienka ubrana była załotnie; miała na sobie białą bluzeczkę, a na szyi aksamitkę ze staroświeckim medalionem. Czarne włosy miała starannie zaondulowane, a oczy podkreślone czarnym ołówkiem. Bardzo piękną białą ręką ujęła nóż i z wprawą poczęła krajać przyniesioną bułkę. Patrząc na jej dłonie Xenia przypomniała sobie, że mężczyźni, jeżeli kobiecie nie mają nic do powiedzenia, to zaczynają jej wróżyć z ręki. Jest to również świetny sposób, żeby poznać charakter osoby, którą się ledwo poznało. Istota, której się wróży z dłoni, zawsze wszystko wygada o sobie. Gdy panienka położyła nóż na stole, Xenia bez pytania wzięła jej bladą rączkę w swą wysportowaną rękę i obróciła dłonią do światła.

— Pan umie wróżyć? — ucieszyła się dziewczyna.

— Jeszcze jak! Pani ma bardzo wiele zdolności ukrytych, a dotychczas nie ujawnionych... — zaczęła blagować z literacką wprawą.

— Czy pan tam czasem nie widzi zdolności aktorskich? — spytało dziewczę zapłonione z ciekawości. — Teatr to było zawsze moje marzenie!

— Oczywiście rzecz! Nawet bardzo duże. Na pani miejscu stanowczo wstąpiłbym na scenę...

— Ach, gdyby nie mama i jej niemądre przesady, byłabym już dzisiaj na pewno znaną artystką.

— Pisywała pani wiersze za pensjonarskich czasów — mówiła dalej Xenia.

Panienka, wzruszona do głębi, wyrwała jej swoją rękę.

— Niiiee, to wręcz fenomenalne! Pan jest jasnowidzący! Dosłownie pan widzi wszystko „jak na dłoni”... Naturalnie, że pisywała wiersze, przeważnie liryczne. W gimnazjum wróżono mi nawet wielką poetycką przyszłość.

— Ale pani zmarnowała swoje talenty, a wszystko przez wielką i nieszczęśliwą miłość.

Dziewczyna wyrwała jej rękę gwałtownym ruchem.

— Och, już dość! Już dość! — jęknęła. — Niech pan już lepiej nic nie mówi! Wszystko, wszystko prawda!

Xenia pomyślała sobie, że rzeczywiście „dość”, dość na dzisiaj tej zabawy, więc ziewnęła szeroko i bez ogródek. Ostentacyjnie spojrzała na zegarek. Ale dziewczę siedziało blade i zamysłone, wcale nie myśląc odejść.

— Błagam, niech pan mi jeszcze powie, czy wyjdę za mąż i kiedy.

— Ależ wyjdzie pani za mąż, nie raz, nie dwa — rzekła znużonym głosem.

— Ach, jaki pan dobry! A kiedy? Czy niedługo?

— Daty na dłoni nie są wypisane. Czy pani nie powinna już pójść się położyć?

— Och, jeszcze małą chwileczkę! Ja i tak dzisiaj nie zasnę!

Xenia wypięła łyk wystygłej herbaty, zapaliła papierosa i w jego dymie ujrzała nagle całą swoją małość i płaskość. Jakżeż to? Udawiała mężczyznę, a tymczasem wylazła z niej bałba w całym znaczeniu tego słowa — bałba, nabierająca drugą kobietę, głupszą od siebie i plotąca jej niestworzone androny, a przecież udając mężczyznę powinna była być mądrzejsza; widząc, jaki wpływ wywiera na tę naiwną dziewczynę, na tę

mieszczaneczkę tkwiącą beznadziejnie w dawnych tradycjach i obyczajach, powinna była, zamiast ją nabierać, starać się wyciągnąć z tego wysychającego stawu jak biedną, nieświadomą rybkę, wyszukać jej jakiś cel w życiu, cel, do którego by strzelała, zamiast do Xenii tymi czarnymi oczkami. Inaczej nie wytrzymam tutaj długo — myślała Xenia. — Tego tylko brakowało, aby się we mnie zadurzyło to blade cielątko, we mnie, która przecież też nie lubię kobiet!

— Jak pani na imię? — zapytała z udanym zainteresowaniem.

— Och, nareszcie pan o to pyta. Mam bardzo oryginalne imię: EDYTA. To po mojej babce, Włoszce.

— A więc, panno Edyto, co pani robi i jaki cel wytknęła sobie pani w życiu?

— Matuchna mówi, że jestem „panną na wydaniu”.

— „Na wydaniu” — roześmiała się Xenia — tak jak książka, ale o wydawcę teraz nie łatwo... A czym się pani poza tym zajmuje?

— Zdałam maturę... A teraz chodzę na anglistykę.

— I pewnie pani marzy, aby poznać jakiegoś uroczego Anglika i uciec z nim na koniec świata... a raczej bliżej... do Anglii.

— Przed panem nic się nie ukryje. Ale cóż — zaplotła białe rączki — po wojnie dużo Anglików przyjeżdżało do Polski, a teraz... Może otrzymam z czasem stypendium i pojedę do Londynu.

— I matuchnę by pani porzuciła? To nieładnie.

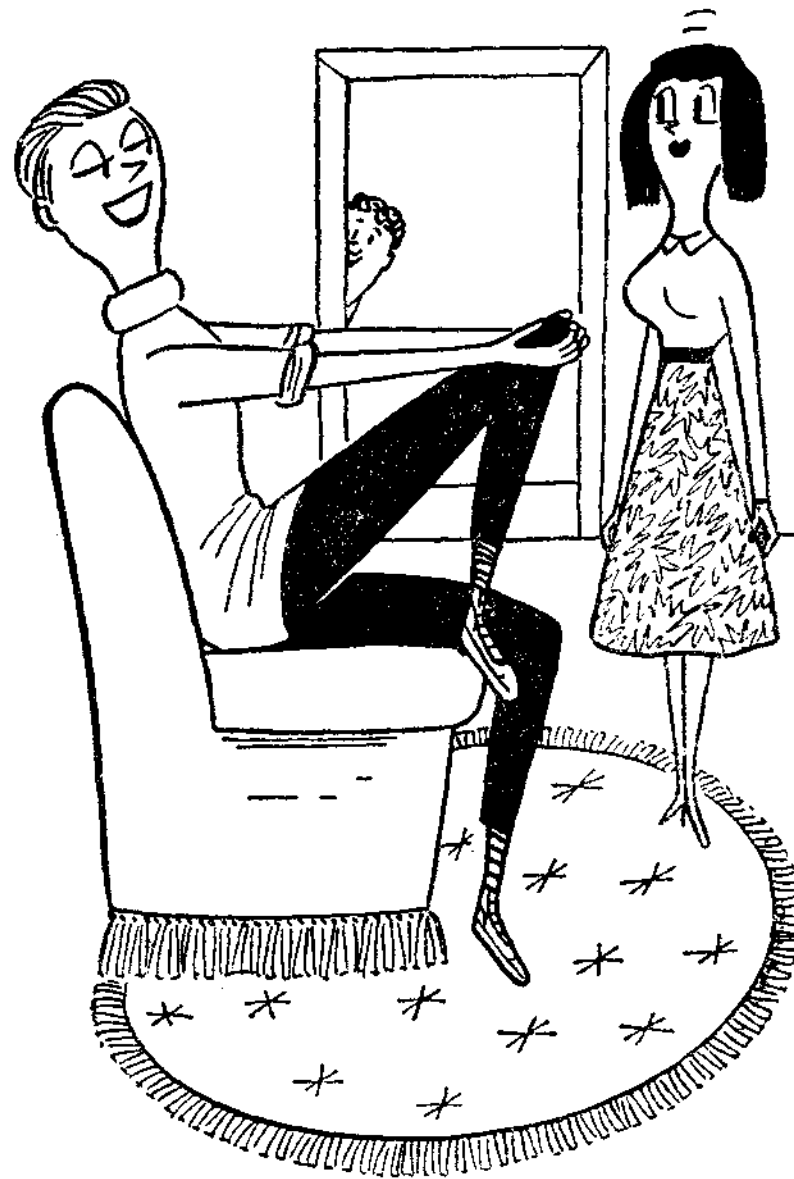
— Wyszłabym tam z mężem i matusię sprowadziłabym do siebie...

— A pani sądzi, że młodzi Anglicy tylko na panią czekają, aby się żenić?

— Polacy mieli tam takie powodzenie... to może Polki też...

— Na pewno nie. Mają swój własny towar „made in Britain” i nie potrzebują naszego.

— A jednak nasza „Eksportowa” i cepeliowskie wyroby bardzo dobrze tam idą... Ja zresztą nie upieram się przy Angliku —



dodała i wypuściła w kierunku Xeni długą świetlistą strzałę ze swoich ciemnych, pięknych zresztą oczu.

Xenia zlekła się tego spojrzenia.

— Niech pani nie rezygnuje z Anglika — odparła szybko. —
— Małżeństwa mieszane zwykle bardzo dobrze się udają. Taki jasny Angliczek i pani ze swoją cygańską urodą — świetnie byście do siebie pasowali.

— Prawda? — ucieszyła się Edyta.

— Dzieci by mogły być rude... — dodała Xenia rozmarzona.

— Rude! Fe! Musiałyby być jasne, takie jak on... Takie jak... pan — dodała i spuściła oczy. — Uwielbiam blondynów.

— Ale na to, żeby się podobać Anglikom, należy koniecznie być wysportowaną.

— Doprawdy? Ale ja jestem za wątpa na to... za delikatna...

— Przede wszystkim to jest nieprawda. Wmówiła sobie pani tę „delikatność” i „matuchna” też ją w panią wmówiła. A delikatne dziewczęta wyszły teraz z mody. To było dobre za czasów młodości naszych matek.

— A jaką należy być, aby się chłopakom podobać? — zapytała Edyta kokieteryjnie.

— Żywą, wesołą, wysportowaną. Najpierw zapisze się pani na gimnastykę rytmiczną.

— Dobrze. Ale gdzie?

— Są takie półprywatne kursy.

— Ale z samymi kobietami...

— Oczywiście. Ale kobiety nie takie straszne jak je malują... surrealiści — dodała dowcipnie. — To czasem zupełnie miłe stworzonka. Szczególniej gdy są młode — dodała bardzo „po męsku” i wesołym okiem łypnęła na swoją „ofiara”. — A w ogóle nie wiem, skąd u obu pań wzięła się taka nienawiść do kobiet. To jest wręcz zadziwiające.

— Pan jest taki szczery, taki „swój” chłopak — wybuchnęła panienska — że zwierzę się panu. Narzeczony mnie porzucił — jęknęła i ponuro spojrzała w kąt pokoju.

— Zdarza się — odparła Xenia obojętnie i zapaliła papierosa.

— Druga baba mi go odbiła. Taka małpa, taka wydra! I w dodatku starsza od niego!



— Widocznie posiadała więcej zalet od pani. Mężczyźni nie lubią takich ckliwych i sentymentalnych istot; to na dłuższą metę znudzi się każdemu.

— Pan... pan... mówi mi same nieprzyjemne rzeczy... — wyjąkała ze łzami w głosie Edyta — a przecież ja na to nie zasługuję. Myślałam, że jak będzie w domu lokator, to mi będzie mówił komplementy... a pan?

— Proszę się nie gniewać — rzekła Xenia łagodnie, jak do cudzego dziecka. — Gorzkie prawdy z trudnością się polyka, ale za to potem korzystnie się odbijają.

Ucieszyła się z tego nowego powiedzonka i postanowiła umieścić je w swoim najbliższym felietonie.

— Ja osobiście radziłbym pani nabrać krzepy, zdrowia fizycznego i moralnego, a wówczas i ramiona męskie wyciągną się ku pani...

— Czy pan jest tego pewien? Więc pan uważa, że „kobieta-kwiat”, „kobieta-mimoza” to już zupełnie nieaktualne? A matuchna zawsze twierdzi, że mężczyzna musi odczuwać tę różnicę że niby on to silne drzewo, a kobieta bluszcz, który się wokoło niego oplata.

— Drzewo — owszem — uśmiechnęła się Xenia — ale ja osobiście wolę, żeby kobiety były jak te wiewiórki, które po owym drzewie biegają. Zręczne, żywe, zapobiegliwe, wygimnastykowane.

— Gdzie mnie tam do wiewiórki — uśmiechnęła się blado Edyta. — Dawniej, gdy byłam dzieckiem, chodziłam po drzewach u nas na wsi... ale teraz...

— Wie pani co? — przerwała jej Xenia. — Niech się pani zapisze do AZS na kurs pływacki. Świetnie to pani robi. Pływanie to najlepsza gimnastyka. Ciało jędrnieje, a duch się wzmacnia.

— Dobrze, jeśli pan też będzie ze mną chodził nad Wisłę czy na Legię...

— Jaaa? — Xenia poczuła, że twarz jej zapłonęła, więc zasłoniła się rękami. — Wykluczone! Ja jestem człowiekiem pracy, moja panienko, gdzie ja mam czas na pływanie i plażę. Nieraz mamy w redakcji dyżur nocny i człowiek jest potem jak... jak... — roześmiała się — z baby zdjęty.

— Co takiego? — Teraz Edytka zapłonęła ciemnym rumieńcem. — Och, jak pan może...

— Przepraszam panią bardzo... — Xenia-Hektor roześmiała się jurnie — wyrwało mi się. Tak rzadko mam do czynienia z niewinnymi panienkami.

— A pana koleżanki są jakiego rodzaju? Czy tak zwane „biurwy”? — zapytało niewiniątko.

— Ooo! — ucieszyła się Xenia — widzę, że i pani, panno Edyto, zna różne niezbyt cenzuralne wyrażonka. Bardzo dobrze, nie będę się musiał krępować panią i wciąż uważać... My chłopcy mamy taki nasz język.

— A czy „biurwa” to coś złego?

— Niech no pani przestanie udawać taką niewinną gąskę z białego dworku. Była pani już zaręczona, dworków nie ma i nie będzie, więc po co to wszystko?

— Tak, po co to... — przytaknęła z westchnieniem.

Xenia spojrzała na zegarek jak minister, który uważa, że audyencja zanadto się przedłuża, i zakaszlała leciutko, jak czynił jej naczelny redaktor, gdy miał już gościa dosyć.

— Późna godzina, panno Edyto. Jutro trzeba wstać do pracy!

— Już idę — rzekło dziewczę pokornie. — Ale jeszcze na dobranoc chciałam panu coś powiedzieć.

— No co takiego? — zapytała Xenia niecierpliwie.

— Pan ma szalenie angielski typ.

Uśmiechnęła się uwodzicielsko — zębki miała trochę żółtawe i nierówne — i wyszła z pokoju bezszelestnie w swoich ramnych pantoflach z pomponami.

Rozdział V

Xenia miała w Warszawie dużo znajomych z Krakowa, Poznania, Łodzi. Wszyscy Polacy po wojnie postanowili, tak zresztą jak i ona, zamieszkać w stolicy i nie było na to rady. Nowe budownictwo, nie mogąc nadążyć z pomieszczeniem tych wszystkich miłośników Warszawy, było wobec tego natłoku bezradne. Ludzie gnieździли się po dwie i trzy rodziny w jednoosobowym mieszkaniu zrac się nieustannie, ale za nic nie byliby się przenieśli do innych miast. Warszawa dawała ludziom zarobki, potrzebowała rąk i mózgów. Miała teatry, kina, „Delikatesy”, WSS-y i inne „esy floresy” w pięknych sklepach „Cepelii”. Pojęcie „warszawianka” uległo kompletnej zmianie i to, co dawniej przed wojną było synonimem elegancji, szyku i co na zgrabnych nóżkach biegalo po mieście i wskakiwało do autobusów, zmieniło się w przysadzistą istotę o talii krówki, z chustką pod brodą, ciężko stąpającą w ciężkich buciskach na nogach grubych i krótkich. Każdy ubierał się w „co ta miał” — jak chochoł z „Wesela”, a eleganckie panie widywało się wyłącznie w modnych kawiarniach. Nikt więc nie dziwił się Xenii, że chodziła w spodniach, wiatrówce i trampkach. Ci, co ją znali, sądzili, że ubiera się tak z braku funduszków i dla wygody: ci, którzy jej nie znali, brali ją za chłopaka z gatunku „bikiniarzy”. W swojej zamykanej na klucz walizce miała kilka damskich bluzeczek z krótkimi rękawami, które wkładała pod męską wiatrówkę. W biurze i u znajomych ściągala wiatrówkę, zaczesywała włosy na czoło w grzywkę, przybierając wygląd trochę ekscentrycznej młodej dziewczyny.

Jej przyjaciele z Krakowa, państwo Szmulscy, też przenieśli się do Warszawy. Ona jako lekarz pediatra postarała się o dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę, które według obliczeń Xenii mogły mieć: chłopiec osiem, a dziewczynka dziesięć lat. Po długich staraniach i spacerkach do Biura Ewidencji Ludności Xenia dowiedziała się wreszcie ich adresu. Mieszkali na Mokotowie, gdzie otrzymali pokój z kuchnią.

Po pracy i skromnym obiadku w stołówce Xenia chętnie odwiedzała znajomych lub biegała po mieście, oglądając sklepy z „odzieżą lekką” (męską oczywiście). Któregoś popołudnia zachciało jej się odwiedzić panią Szmulską. Po wielu autobusowych przesiadkach dotarła wreszcie do wskazanego domu. Drzwi otworzyła jej sama pani doktor. Xenia ledwie ją poznała, tak była zmieniona. Ta młoda, trzydziestokiloletnia kobieta wyglądała na osobę koło pięćdziesiątki. Miała wiele siwych włosów i oczy w liliowych obwódkach, które wyglądały jak oprawka okularów bez szkielek. Z tych oprawek wyzierały oczy smutne, szare i bez blasku.

— Zmieniłam się bardzo, prawda? — rzekła witając Xenię serdecznie. — Za to ty wyglądasz wspaniale! Wejdz, proszę, do pokoju, zaraz zrobię ci kawę.

Powiedziała to wszystko szybko i jednym tchem, tak że Xenia nie potrzebowała już mówić, że to pani doktor właśnie nic się nie zmieniła, a za to jej przyjaciółka Xenia wygląda jak koczodan...

Xenia chciała wejść do pokoju, ale pani domu wstrzymała ją gestem ręki.

— Nie, tam nie, tam mieszka mój były mąż. Chodź do kuchni, gdzie MY mieszkamy.

Xenia zaskoczona zaniemówiła. Co to miało znaczyć?

Kuchienka przerobiona była w miarę możliwości na pokój mieszkalny. Piec kuchenny zniesiono, tylko na stoliczku stała kuchienka gazowa. Pod oknem widniało składane łóżeczko drewniane (w którym zazwyczaj bywają pluskwy m u r o w a n e), a pod drugą ścianą tapczan. Tyłem do drzwi wejściowych siedział chłopczyk i pisał coś mozolnie w zeszytcie.

— Grzesiu, przywitaj się z panią. To ciocia Xenia. Nie poznasz jej?

— Nie — odparł chłopczyk i podał jej małą, ciepłą rączkę.
— Był wtedy jeszcze taki malutki... — rzekła Xenia w formie tłumaczenia.

— Grzesiu — powiedziała matka — potem odrobisz zadanie, a teraz idź się pobawić z dziećmi na podwórzu.

Chłopczyk posłusznie wyszedł bez słowa.

Do pokoju ktoś zapukał i w uchylonych drzwiach ukazała się jasna główka dziewczynki z warkoczykiem.

— Proszę pani — rzekła — tatuś się gniewa, że pani znowu wzięła imbryk, a on przecież jest tatusiowy, za jego pieniądze kupiony.

— Masz, masz — gniewnym głosem powiedziała pani doktor — ale wyście mi znowu wzięli maselniczkę.

— Zaraz oddamy, proszę pani! — powiedziała dziewczynka, wzięła imbryk i wyszła.

— Jak to! — zawołała przerażona i osłupiała Xenia — przecież to twoja córka. Wisia? Od razu ją poznałam...

— Moja była córka — odpowiedziała pani doktor zapalając papierosa. — Rozeszliśmy się z Markiem pół roku temu, dostaliśmy rozwód. On wziął sobie Wisię, a ja Grzesia...

Xenia patrzyła na nią przerażonym wzrokiem. W tym domu widocznie wszyscy powariowali. Ale czyż jest możliwy taki masowy obłąd? Córka mówi do matki „proszę pani”! To straszne!

— Dziwisz się, prawda? — uśmiechnęła się boleśnie pani domu (raczej pani kuchenki).

— Trudno się nie dziwić. To potworne!

— Co mamy począć? Robimy starania, aby dostać dwie pojedyncze kawalerki. Na spółdzielcze mieszkanie nie mamy pieniędzy, a żyć z sobą nie możemy... Powiedz, co być ty zrobiła na moim miejscu?

Xenia miała ochotę powiedzieć: „znalazłabym sobie jakiś pokój przy rodzinie”, ale wiedząc z własnego doświadczenia, że to nie takie proste, bez przekonania bąknęła coś o przeprowadzeniu się do Wrocławia, gdzie mieszkali rodzice pani Szmulskiej.

— To niemożliwe — odparła lekarka. — Tu mam pracę w szpitalu, a po południu prywatną praktykę; chodzę po domach i leczę dzieci... Poza tym rodzice mają we Wrocławiu też tylko jedną izbę. Nie ma dla mnie wyjścia... — spojrzała obłą-

nym wzrokiem na kuchenkę gazową... — chyba... chyba TO! Gaz... — dodała syczącym głosem.

— Ach, nie mów tak! — Xenia z przerażeniem chwyciła się za głowę. — A co by się wówczas stało z Grzesiem?

— Tak — odparła pani doktor — tylko myśl o dziecku wstrzymuje mnie od jakiegos szaleńczego kroku. Takie zdolne... takie szalenie inteligentne...

— A dlaczego twoja córka mówi do ciebie „pani”?

— Ponieważ jej ojciec odzywa się do mnie w ten sposób, jeśli w ogóle się odzywa... Na ogół nie mówimy do siebie i spotykamy się tylko czasem niechcący w przedpokoju. Mała trzyma stronę ojca i mnie nienawidzi — uśmiechnęła się gorzko. — Kiedyś wpadła do łazienki, gdy ja tam byłam, i wyrwała mi włochaty ręcznik krzycząc: „Niech pani nie używa NASZEGO ręcznika!”

— Piekło! — wykrzyknęła Xenia wstrząśnięta do głębi.

— Żebyś wiedziała, moja Xeniu, że piekło; wprawdzie ciche, bo nie kłócimy się od czasu rozwodu, ale może przez to jeszcze straszniejsze. Dzieci — mówiła dalej — naśladując nas też wzięły jak gdyby rozwód: nie odzywają się do siebie, czasem tylko jedno drugiemu pokaże język. Wisia jest dzieckiem Marka i wszyscy w kamienicy myślą, że to jego córka z pierwszego małżeństwa, a Grzes moim synem. Na widok ojca odwraca się z odrazą, a raz nawet splunął...

— I to się nazywa „życie rodzinne”! — Xenia załamała ręce. — No dobrze, a jak on się urządził, aby nie wchodzić do kuchenki, a raczej do twojego pokoju? — poprawiła się. — Przecież mężczyzna musi też czasem zrobić sobie kawę lub herbatę... dziecku coś ugotować.

— Mieli w pokoju maszynkę elektryczną, ale ponieważ rachunek za elektryczność płacimy wspólnie, więc ja się na to nie zgodziłam. Za wiele prądu wychodziło. Teraz zainstalował sobie gaz, ma kuchenkę i rondle, te — uśmiechnęła się ironicznie — które po ślubie on kupił za swoje pieniądze. Telefon jest w przedpokoju do wspólnego użytku. Ale gdy ktoś do mnie dzwoni, a on podejdzie, to mówi, że mnie nie ma.

— Ale jak to się stało — dziwiła się Xenia — że do tego

wszystkiego między wami doszło? Przecież mieszkając w Krakowie byliście zupełnie dobrym małżeństwem?

— Sprawy finansowe przede wszystkim. Pamiętaj, Xeniu, że póki małżeństwo jest o siebie zazdrosne, póki robią sobie z tego powodu sceny, póty wszystko jest jeszcze dobrze. Ale gdy wtaacza się między małżonków p i e n i ą d z — miłość kończy się bezpowrotnie.

— To znaczy? — zainteresowała się Xenia.

— Ja musiałam z moich zarobków dawać na dom i na utrzymanie dzieci. On nie chciał dawać ani grosza. Swoje dochody przeznaczal na własne przyjemności, a gdy wyjątkowo zapłacił czynsz albo telefon, to mi to później tygodniami wymawiał...

— No, to łobuz! — zdecydowała energicznie Xenia.

— Pewnie, że łobuz — przytaknęła pani doktor. — Poza tym część własnych zarobków posyłał swojej matce, a gdy ja dawałam coś moim rodzicom, to robił ordynarne sceny.

— Ale może mimo wszystko... — rzekła Xenia po namyśle — nie należało się rozwodzić ze względu na dzieci...

— Dla dzieci jest tak o wiele lepiej — rzekła stanowczym głosem pani doktor. — Słyszały wciąż klótnie, okropne wyrazy, którymi mnie obrzucał, poza tym — w tym miejscu głos jej się załamał. — BIL mnie, kopał, gdy wracał pijany...

— Och! — Xenia zacisnęła swoje wysportowane pięści — niechby mnie chłop spróbował uderzyć! Wybiłabym mu wszystkie zęby... nie — zostawiłabym mu jeden, tak jak w tej anegdotce, aby go bolał... Zupełnie nie rozumiem, jak można dać się uderzyć i nie oddać! Już teraz widzę, że dzisiejsze dziewczęta, nim wstąpią w związki małżeńskie, powinny się uczyć boksu, albo dżudo.

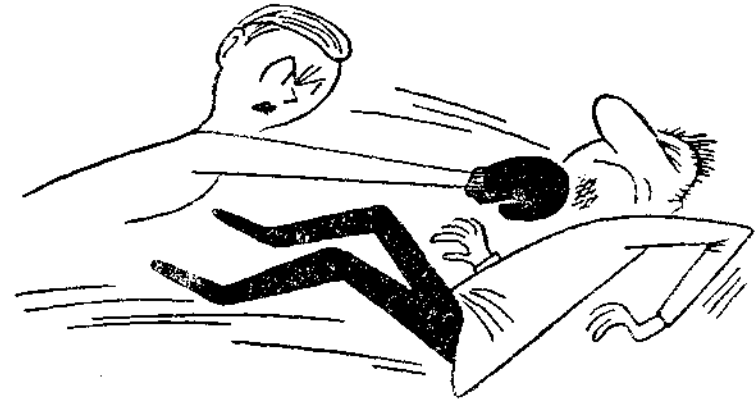
— Ty żartujesz, a on potrafił tak mnie rzucić o ścianę, że duży obraz wiszący u sąsiadów zachwiał się i zleciał... Ten sąsiad przybiegł wówczas do nas pytając, co się dzieje. Taki wstyd! I to kulturalny człowiek, lekarz!

— A teraz — czy pije? — zapytała Xenia.

— Nie — odparła z głęboką ironią pani Szmulska — mówił kolegom, że odkąd się ze mną rozstał, to nie ma powodu do picia... Potwór! — zaświstała z pasją.

Więc tak wygląda miłość po dziesięciu latach — pomyślała Xenia ubierając się do wyjścia. — Dym po pożarze, gryzący i cuchnący.

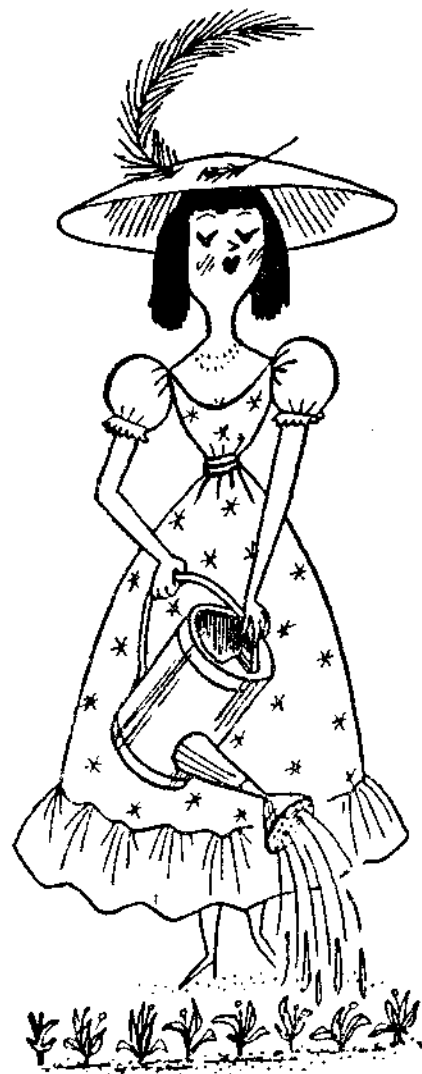
Pożegnała się z nieszczęsną rozwódką postanawiając zapisać się przed wstąpieniem w związek małżeński na lekcje boksu. Po chwili z ulgą i radością znalazła się na ulicy.



Rozdział VI

Za poradą Xenii Edyta postarała się o działkę i obie po południu chodziły ją uprawiać. W tym wypadku Xenia zagrała na jej kobiecej ambicji.

— Czy pani wie, panno Edyto — rzekła któregoś dnia — że nic tak dobrze nie wpływa na cerę jak praca w ziemi? Oczywiście niech pani nie bierze za przykład... dżdżownicy! — dodała z wrodzonym sobie „zapotrzebowaniem” na humor. — Dżdżownice, mimo że czerwone, wyglądają anemicznie i nieapetycznie. Lecz proszę spojrzeć na dziewczęta wiejskie, jakie są rumiane i ślicznie opalone. Poza tym jest to wspaniała gimnastyka i dziwię się, że wszystkie tygodniki kobiece nie propagują ogrodnictwa zamiast zanudzać czytelniczki opisami ćwiczeń gimnastycznych, na które żadna dzisiejsza pracująca kobieta nie ma czasu. „Gimnastykujemy się z uśmiechem na twarzy”, robimy skłony i przysiady, a potem nagle patrzymy, a tu rzodkiewka wyrasta z naszej gimnastyki, tam groszek zielony lub pachnący... Tu znów kalafiorek i buraczki... Kupa radości i własnych jarzynek! Ponadto, panno Edyto, jakże kokieteryjnie może się ubrać młoda ogrodniczka! Kupi pani sobie w PDT, pani będzie to pewnie z angielska wymawiała PiDiTi! — roześmiała się — jakiś uroczy kretonik, każe sobie z niego uszyć tak zwaną „chłopkę”, weźmie pani na głowę duży słomiany plażowy kapelusz i... „mucha nie siądzie”, co najwyżej pszczołka! Do tej sylwetki czarownicy ogrodniczki weźmie pani dużą zieloną konewkę, która może tylko ozdobić młodą dziewczynę. Każdy chłopak, zobaczywszy panią



w takim stroju, zwróci na nią uwagę i... kto wie nawet, czy się w pani nie zakocha?

— Doprawdy? Tak pan sądzi?

— Bezwarunkowo! Mężczyźni pasjami lubią widzieć kobiety przy dodatkowej pracy, przy haftowaniu serwetek, robieniu swetrów na drutach, przy uprawianiu własnego ogródka... Myślą sobie wtedy tak: jest do tego stopnia pracowita i wynajduje sobie tyle dodatkowych zajęć, że gdzieżby jeszcze miała czas na zdradzanie męża...

— Skoro pan tak mówi, to coś w tym musi być — zastanowiła się Edyta. — Przecież pan jako mężczyzna musi najlepiej wiedzieć, co oni lubią w kobiecie...

W tej chwili Xenia miała ochotę ją uściskać. Edycie nie przyszło na myśl, że ma do czynienia z kobietą. Czuła, że dziewczę zadurzyło się w niej trochę. Wiedziała, że miłość jest ślepa, ale żeby aż do tego stopnia!... Bo co do karakułowej mamy, to Xenia miewała nieraz pewne obawy. Mama przyglądała jej się czasem tak jakoś podejrzliwie, wyrażała zdziwienie, że jej lokator tak zadziwiająco dobrze się prowadzi — „nie jak młody mężczyzna”! Że nie pije, nie urządza „rozróbek” i nie ściąga do domu żadnych panienek. Raz nawet słyszała, jak w przedpokoju, odprowadzając jakąś swoją znajomą, rozmawiała na jej temat w ten sposób:

— Owszem, miły, przywoity chłopaczek, doskonale wychowany i nie mamy z nim żadnego kłopotu, tylko jakiś dziwnie niemęski. Czasem robi wrażenie, jakby był przebraną niewiastą... I chociaż smukły i wysoki, ale budowę ma nie bardzo męską, wąski w ramionach. Ja to, proszę pani, lubię, żeby mężczyzna był mężczyzną, żeby był barczysty, silny, muskularny... Poza tym, proszę pani kochanej... — tu przyciszyła głos — on wcale nie obrasta! Słowo pani daję. Nieraz przecie spotykamy go rano, jak idzie w piżamie do łazienki i na twarzy... ani du du, ani cienia zarostu. Być może dlatego, że jeszcze taki młodziutki, ale w każdym razie to mnie trochę niepokoi.

Wtedy to właśnie Xenia postanowiła, że wraz ze swoją można rzec, pupilką, zabierze się do ćwiczeń fizycznych. Na ich wspólnej działce wykonywała więc wszystkie grubsze roboty, kopała, nawoziła, robiła grządki — a wszystko po to, żeby „zmęźnić” i nabrać mięśni.

Obie dzięki tej pracy na świeżym powietrzu zaczęły wyglądać wspaniale. Twarz Xenii, która nie używała teraz żadnych szminek, opalona była na złoty brąz. Edyta też nabrała naturalnych kolorów. Mama była zachwycona.

— Jak to dziecko pod pana wpływem poprawiło się! Co to znaczy silne ramię, które umie kobietę pchnąć na właściwe tory! Moja rodzina pochodzi ze wsi, oczywiście nie z takiej wsi, jaka teraz jest w modzie, ale ze dworu, i ona tę ziemię ma we krwi. Dziadkowie się w niej odezwali, proszę pana.

To moja zasługa — myślała Xenia z przyjemnością, spoglądając na Edytę. — Ze staroświecko wychowanej niedołągi zrobiłam już nieomal normalną kobietę. Tak jak teraz wygląda, może naprawdę znaleźć jakiegoś niewiele wymagającego mężczyznę, który się z nią ożeni...

W tym momencie pomyślała o poczciwym Józku Ofermaczu i o tym, czy nie należałoby ich z sobą skojarzyć. Ta myśl ubawiła ją bardzo i postanowiła do niej jeszcze powrócić.

Któregoś popołudnia, gdy właśnie szły na swoją działkę wesołe i w doskonałych humorach, zdarzyło się coś, co na jakiś czas popsulo Xenii humor.

Oto nagle ujrzała idącą naprzeciwko nich parę, która wzbudziła w niej dreszcz przerażenia. Była to ciotka Helena z Acusiem! Że też ich tu właśnie diabli musieli przynieść! — pomyślała z rozpaczą.

Nie namyślając się wiele, dużymi, „męskimi” krokami wyprzedziła swoją towarzyszkę i zdyszana stanęła przed panią Heleną.

— Dzień dobry, ciotucho! — zawołała. — Błagam, niech ciocia udaje, że mnie nie zna, gdy moja towarzyszka nadejdzie.

Następnie zwróciła się do Acusia:

— Acusiu najdroższy, przyniosę ci jutro cukierków, tylko za to nie wolno ci mówić do mnie „ciociu”. Zrozumiałeś?

— Po cemu? — zdziwił się chłopak i włożywszy ręce do kieszonek swojego wiosennego palta począł się kiwać w przód i w tył.

— Najlepiej udawaj, że mnie nie znasz.

— To ty, moje biedne dziecko, dalej musisz robić z siebie wariata? — zatroskała się ciotka Helena.

— Jeszcze jakiś czas, cioteczko, a potem znów wrócę do swej właściwej formy...

— Oby tylko nie było za późno! — powiedziała ciotka, ażeby tylko powiedzieć coś złowróbnego.

— A jak ty się sprawujesz, Acusiu, grzeczny jesteś?

— Nie powiedziałbym... — odparł chłopak.

— Dostajesz klapsy od mamy?

— Dostaję.

— I czy to co pomaga?

— Zawsze trochę pomaga...

Roześmiały się obie z panią Heleną, a Xenia wyciągnęła z kieszeni dwadzieścia złotych i wcisnęła mu je do rączki.

— Masz tu, Acusiu, na cukierki — rzekła i pamiętaj: jak ta pani nadejdzie, nic do mnie nie mów.

— Dobrze, ciociu Seniu!

— Nie ma tu żadnej „cioci Seni”, jest wujek Hektor! Rozumiesz?

— Nie dość, że z siebie robisz wariata, ale chcesz jeszcze



dziecko zmuszać do kłamstwa i ogłupić je kompletnie! Najlepiej będzie, jak zawrócimy, żeby się wcale z wami nie spotkać.

— Otóż to! Błagam! — ucieszyła się Xenia.

Ciotka wzięła za rękę oglądającego się za Xenią Acusia i zaczęła z nim iść w przeciwną stronę. Tymczasem nadeszła Edyta.

— Kto to jest ta pani z chłopczykiem? I dlaczego pan ode mnie tak uciekł? Czy miał pan im coś ważnego do powiedzenia?

— To... to moja daleka rodzina. I rzeczywiście miałem im coś ważnego do powiedzenia...

I wówczas stała się rzecz okropna, która tak bardzo zirytowała biednego „Hektora”. Acus nagle wyrwał się ze smyczy, którą była ręka ciotki Heleny, i pędem zaczął biec w jej stronę. Xenia zbladła. Jezus, Maria! — pomyślała. — Będzie nieszczęście! Ten mały potwór popsuje wszystko...

I nie pomyliła się.

— Ciociu Seniu! Ciociu Seniu! — zawołał Acus przybiegłszy do niej zdyszany. — Zełwałem dla cioci słonocnika!

Chłopiec trzymał w ręku rozkwitły rumianek, wymachując nim z dumą.

Xenia zaniemówiła. Edyta spojrzała na dziecko, „rozdziawiając” jeszcze bardziej swoje wielkie, czarne oczy, które z wyrazem osłupienia przeniosła z chłopca na biedną Xenię. Chciała coś powiedzieć, ale pytanie uwięzło jej w gardle. W tym momencie przydreptała ciotka, bez słowa wzięła Acusia za rękę i siłą pociągnęła za sobą.

Gdy odeszli, Xenia wsadziła ręce w kieszenie spodni i, jak gdyby nic nie zaszło, zaczęła iść naprzód, pogwizdując i zastanawiając się, co powinna teraz zrobić. Przyznać się po prostu Edycie do wszystkiego? Nie, na to miała za mało odwagi! Udawać więc dalej chłopca, gdy została w tak idiotyczny sposób zdemaskowana? Sytuacja była rzeczywiście trudna i nad wyraz kompromitująca.

Edyta szła koło niej ze spuszczoną głową, smutna i zamysłona.

— Co to miało znaczyć? — spytała w końcu.

— Czekałem, aż pani o to zapyta. Nie myślę taić przed panią...

— To znaczy?... — głos Edyty drżał.

— Ofiara alkoholu... — odparła Xenia ze spokojem.

— Nic nie rozumiem!... — jęknęła tamta.
— Ten chłopiec to syn mojej kuzynki. Jej mąż był alkoholi-
kiem i wskutek tego chłopak jest nienormalny.
— Ach, to dlatego... — W głosie Edyty był pewien chłód i nie-
dowierzenie.
— Myli ludzi i ich pleć — ciągnęła najspokojniej Xenia. —
Swoją młodą matkę nazywa babcią, do mnie mówi: ciociu Seni-
u, myśląc mnie z moją siostrą, która, jak pani wiadomo, jest bli-
źniaczko do mnie podobna... Biedne, zwariowane dziecko...
Edyta spojrzała na nią znów dawnym, ufnym wzrokiem.
— Co za szczęście! — westchnęła z ulgą.
— Jak to „szczęście”? Nieszczęście! — ponurym głosem po-
prawiła ją Xenia.
— Szczęście, bo ja już myślałam, że... że... Nie, jak ja mogłam
coś takiego pomyśleć!
— Wiem! — rzuciła Xenia bezczelnie. — Pani sobie wówczas
pomyślała, że ja jestem przebraną kobietą. Niech się pani przy-
zna, panno Edyto, nic by w tym nie było dziwnego. Ja bym też
tak pomyślał na pani miejscu.
— No tak, przyznaję się. Pomyślałam tak tym bardziej, że
mama już nieraz zwracała mi uwagę, że pan jest... taki jakiś
dziwny, inny niż wszyscy mężczyźni...
— Ze jestem inny niż wszyscy, to wcale się nie pomyliła.
A że posiadam naturę trochę kobiecą, to też prawda. Trudno,
już siebie nie zmienię, zresztą różni ludzie chodzą po świecie...
Wszyscy nie mogą być do siebie podobni...
— No właśnie! — przytaknęła Edyta. — Na przykład jedna
z moich koleżanek ma znów wybitnie męski typ; tylko ją prze-
brać, a byłby z niej wykapany chłopiec! ma nawet małe czarne
wąsiki.
— Taaak — odparła poważnie Xenia — znam takie wypadki.
— Ale biedne to dziecko — ozwała się po chwili Edyta.
— I co? Czy nie leczą go? Czemu nie oddadzą go do jakiegoś
zakładu dla nerwowo chorych?
— Robi się wszystko, co można: elektryzację, kąpiele, na-
tryski. Poza tym jest właściwie normalny, tylko myślą mu się wy-
obrażenia... Słyszała pani, jak rumianek nazwał „słonocnikiem”,
czyli słonecznikiem?

— Słyszałam, oczywiście... Wtedy od razu pomyślałam, że to
musi być jakieś anormalne dziecko... A szkoda, bo taki ładny
i udany chłopczyk!
— Udany, zdolny i szalenie kochające ma serduszko — rze-
kła Xenia odzyskawszy już na pozór dobry humor. — Tylko że
do mojej siostry mówi: wujciu Hektorze, a do mnie: ciociu Seni-
u! Czując, jakie to może zrobić na pani wrażenie, naumyślnie po-
szedłem naprzód i poprosiłem ciotkę, ażeby poszła z małym
w inną stronę...
(Było to jedyne zdanie nie zawierające ani odrobiny fałszu).
— Zauważyłam to — odparła Edyta — i byłam tym nieco
zdziwiona.
— A prawda jest zwykle taka prosta... — zaśmiała się Xenia.
— Ale doprawdy, żal mi tego malca, bo bardzo go lubię.
— Co za straszne nieszczęścia chodzą po ludziach — wes-
tchnęła Edyta.
Niebezpieczeństwo zdemaskowania było, zdaje się, na jakiś
czas zażegnane. Ale co będzie dalej? — myślała Xenia, zawzięcie
przerywając marchewkę i rzucając nać poza siebie.
— Niech pani spojrzy, panno Edyto, jakie już mamy z na-
szej gimnastyki plony! — mówiła, by rozproszyć poprzednie my-
śli Edyty. — Niedługo będziemy mieć własne jarzynki do stołu.
A sałatę i rzodkiewki możemy już zerwać. Fabryka, wielka fa-
bryka, zwana „ziemią” dostarczyła nam tego roku produktów
ponadplanowo... Tylko się zażerać! „Opędzłowywać” i „wbijać
w krzyże” tudzież „wtrajać”, jak mówi Wiech.
Była nienaturalnie wesoła i podniecona.
— Wprawdzie — rzekła znów po chwili — my mężczyźni
(nigdy dotychczas nie używała tego zwrotu) wolelibyśmy, aby
z grządek wyskakiwały befsztyki i kotlety wieprzowe zamiast
grozku i marchewki, ale skoro tak być nie może, to dobre i to...
Oczywiście jako dodatek do mięsa...
Wieczorem, położywszy się do łóżka, pilnie nasłuchiwała
z uchem przy ścianie, czy Edyta nie opowie matce tej historii
z Acusiem, ale obie kobiety rozmawiały z zapalem o wiosennej
modzie i o tym, czy będą w dalszym ciągu krótkie żakieciki, czy
też luźne kaftaniczki. A imię lokatora nie padło ani razu z ich
ust...

Słuchając tej rozmowy Xenia doszła do przekonania, że mężczyzna wydaje znacznie mniej aniżeli kobieta. Przecież taka ciągle i wiecznie czegoś potrzebuje... Ilu pończoch, ilu letnich sukien! Chce mieć i płaszcz i kostium, i sukienkę plażową oprócz kąpielowego kostiumu, i mnóstwo niepotrzebnych drobiazgów...

A mężczyźnisko? Jeśli ma trzy ubrania, kilka koszul na zmianę, parę krawatów, dwie pary butów i trenz — to już się uważa za wspaniale wyekwipowanego!

Nie, stanowczo nie stać mnie na to, ażeby znów utrzymywać i ubierać kobietę! — Myślała tak, żeby się pocieszyć po niedawnej porażce. Przypomniała sobie również, że nie wydając prawie nic na siebie, zaoszczędziła po tych kilku miesiącach tyle, że mogła sobie pozwolić na jakiś poważniejszy wydatek.

— Ale co kupić? Co kupić? — zastanawiała się.

Nic jej nie przychodziło do głowy. Wiedziała tylko, że musi to być coś bardzo męskiego, coś, co zdoła całkowicie i radykalnie rozproszyć niepokoje karakułowej mamy (a może teraz i córeczki).

Rozdział VII

Wiadomo, że każdy młody chłopiec pragnie być przede wszystkim „zmotoryzowany” i że marzeniem każdego z nich jest motocykl! Sami rodzice, kupujący chłopcu hulajnogę, już naprowadzają go na tę myśl. Hulajnoga to embrion motocykla. Po kilku latach przeistacza się ona w rower, który z kolei (tylko u chłopców, u dziewcząt bardzo rzadko) zamienia się najpierw w stary gruchot — w jakąś „setkę”, a z biegiem czasu w piękny nowy motor wyścigowy.

Następnego dnia po owym nieszczęsnym spotkaniu z ciotką Xenia przypomniała sobie ni stąd, ni zowąd, jak jej brat, zdawszy maturę, kupił sobie od razu motocykl w częściach, jak go potem z kolegą składali i jak w końcu razem pojechali na nim do Zakopanego; wrócili z połowy drogi piechotą, motor zaś był znowu w częściach.

Xenia umiała dobrze jeździć na rowerze. Na siodełku z tyłu motocykla przejechała z kolegami setki kilometrów, wydawało się jej więc, że ten sport nie będzie dla niej trudny.

Ta myśl tak silnie utkwiała jej w głowie, że zaraz nazajutrz rano zaczęła o tym rozmawiać z Józkiem Ofermaczem.

— Józek — rzekła siadając z nim na framudze okna — trzeba koniecznie coś zrobić, ażebym się stała bardziej męska...

— Może chcesz środek na wyłysienie? — zapytał Józio dowcipnie. — Znam takie środki; są to po prostu wszystkie szeroko reklamowane wody na porost włosów.

— Nie bądź głupi. Mówię zupełnie poważnie. Moje panusie jak gdyby zaczynały się czegoś domyslać...

— Uważam, że już najwyższy czas, abyś wreszcie przestała grać tę idiotyczną komedię. To się naprawdę źle skończy, zobaczysz.

— Dlaczego mnie straszysz?

— Wszyscy z redakcji zaczynają się już dziwić. Widzą cię raz w spodniach i w swetrze, raz w sukni... Do czego to podobne?

— Do komedii.

— Ale każda komedia ma swój epilog. A boję się, że epilog tej twojej komedyjki może być mocno żalospisny... Mówisz wszystkim, że mieszkasz u ciotki, a wcale tam nie jesteś zameldowana. Gdybyśmy cię tak dobrze wszyscy nie znali, moglibyśmy przypuszczać, że jesteś podejrzanym typem, który się z jakiegoś powodu ukrywa. Naczelny, chociaż swój chłopak i równy, pytał mnie, czy cię dobrze znam i czy nie masz aby czasem fioła. „Ona, mimo że zdolna dziewczyna, jest trochę bzzz! — I pokazał na czoło. — To jej bieganie w portkach i strzyżenie się po męsku... Nie wiadomo dokładnie, gdzie mieszka... Trzeba będzie to sprawdzić...”

— Naprawdę tak powiedział? To niedobrze...

— Może tak dosłownie nie powiedział, ale mógłby!

— No, widzisz! Czemu mnie straszysz?

— Według mnie powinna się w ogóle wynieść z Warszawy. Mało jest pięknych miast w Polsce? Wrocław, Szczecin, Poznań... Krakowa ci nie proponuję, boś z niego uciekła. Ale poza nim... W Gdyni też bardzo przyjemnie się mieszka...

— A dlaczego ty siedzisz w Warszawie? Dlaczego się męczysz mieszkając z dwoma kolegami, kiedy masz rodzinę w Lublinie?... W Lublinie też bardzo przyjemnie się mieszka.

— Lublin nie odpowiada mojej psychice.

— Nie blaguj. Siedzisz tu, bo tak samo jak my wszyscy kochasz Warszawę. Pamiętasz taką głupią piosenkę pod tytułem „Dla pani wszystko!”? To właśnie ona jest tą panią. Warszawa! Dla niej sypiałam niemal przez rok to w wannie, to w kajutce, to, przedtem jeszcze, u mojej przyjaciółki, w koszu od bielizny. Nie mówiąc o fortepianie. Dla pani wszystko!...

— Eee, rozumiesz po babsku...



— A ty się strasznie rozzuchwaliłeś, odkąd przestałam być dla ciebie kobietą. Dawniej miałaś dla mnie o wiele więcej szacunku czy... poważania, czy... czegoś w tym rodzaju. Ale nie o tym wszystkim chciałam z tobą mówić... Słuchaj, Józek, chcę się nauczyć prowadzić motor.

— Znowu jakiś nowy bzik...

— A czy ty umiesz się obchodzić z motocyklem?

— Dajże mi spokój! Ja jestem kameralny facet i nienawidzę hałasów. Adolf Poręba ma motocykl, poproś go, obiecaj, że go zaprosisz na dobrą kolację, to cię może zechce nauczyć jeździć na tym paskudztwie. „Hałastra” — to dla mnie właśnie motocykliści! Oni naumyślnie tak hałasują, żeby zwykłych ludzi drażnić; na tym też ów sport polega! W każdym razie, gdybyś się stała motocyklistką, nie licz na moją przyjaźń i pomoc. Nie cierpię tego sportu!

Nie chcąc drażnić zanego przyjaciela Xenia obiecała nie wspominać mu już o tym i zaczęła zjednywać sobie sympatię kolegi, którego dotychczas mało знаła, Adolfa Poręby.

Poręba był wysoki jak bocian, miał długi nos — ale za to rozum dość krótki. Prowadził w redakcji „Głosu Prawdy” dział sportowy. Był tylko i jedynie nastawiony na sport i nic innego go nie obchodziło. Nogi ludzkie uważał za przyrząd do kopania piłki, ręce dał człowiekowi Stwórca li tylko po to, ażeby odgarniał wodę przy pływaniu lub wiosłowaniu, a rozum po to, ażeby na jezdni nie przejeżdżał bliźnich. Prośbę Xeni, żeby ją nauczył jazdy na motocyklu, zaaprobował momentalnie i nawet od tego czasu zaczęła dla niego istnieć jako człowiek i koleżanka.

— Ja panią nauczę — rzekł.

— Warunki zewnętrzne posiada pani nawet niegorsze, mocne nogi, głowę na karku, zrobimy z pani pierwszorzędnego motocyklistę!

Pomógł jej kupić okazyjnie używaną WFM-kę.

— Gdy się pani poduczysz na tym gracie, to później go pani sprzeda, dołoży i kupi sobie porządną maszynę. Wszystko należy robić, proszę pani, drogą ewolucji.

Po pierwszej lekcji na szosie wilanowskiej Xenia miała okropny sen: śniło jej się, że siadłszy na siodełku nie potrafiła zastrzymać pędzącego motocykla i jeździła wciąż w kółko, aż do

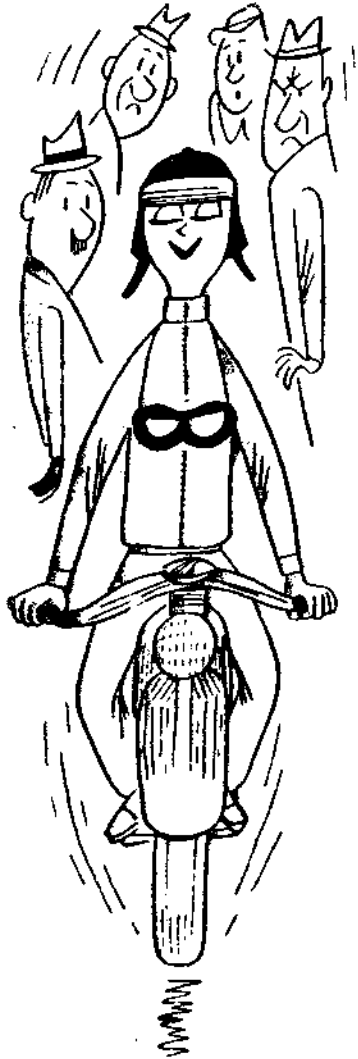
ostatniego tchu; w końcu naumyślnie wywróciła się do rowu, nie widząc innego sposobu zatrzymania piekielnej maszyny! Zleciała wówczas z tapczanu na podłogę...

Gdy nazajutrz opowiadała ów sen Porębie, ten bynajmniej się nie zdziwił (jako że w ogóle nigdy się niczemu nie dziwił!).

— Znałem takiego faceta — rzekł — co nie potrafił się zastrzymać i jeździł tak długo, póki mu się benzyna nie skończyła...



Piękny to był dzień, kiedy Xenia pierwszy raz, mając już egzamin za sobą i prawo jazdy w kieszeni, zajęła przed dom na Trzeciego Maja. Hałasowała w miarę możliwości maszyny, nie zgasiwszy motoru; kilka osób wyjrzało przez okna i wyszło na balkony. W motocyklowym dresie z zielonkawego płótna, w pilotce i automobilowych okularach, które zwyczajem „szkatorów” zawiesiła sobie na szyi, wyglądała szalenie sportowo i „po mę-



ku”. Była dumna jak gąsior i czekała tylko na to, by na balkonie ukazała się karakułowa mama lub Edyta.

Niedługo, rzeczywiście, obie się tam pojawiły, a poznawszy w motocyklicie swojego lokatora, poczęły do niego krzyczeć z góry.

— Panie Hektorze! — wołała mama. — Jak pan wspaniale wygląda w tym dresie! Jak lalka! Oczywiście męskiego rodzaju. Tylko, na miłość boską! niech pan przestanie hałasować.

Xenia zgasiła motor i triumfująco spoglądała w górę.

— Masz babo babę! — pomyślała spoglądając przymrużonymi oczyma na swoją gospodynię. — Widzisz teraz, że wszystkie twoje nieczne przypuszczenia były niesłuszne! Czy kobieta przebrana za mężczyznę mogłaby się tak obchodzić z motocyklem i tak wyglądać?

— Panie Hektorze! — pisnęła teraz Edyta. — Niech pan mnie weźmie na siodełko. Przejechałabym się trochę.

— Proszę bardzo! Służę — odparła Xenia szarmancko.

— Po moim trupie! — wykrzyknęła matka. — Nigdy się nie zgodzę, żeby panienska z dobrego domu siedziała okrakiem na motorze. Wykluczone!

— Ach, jaka mama niedobra! — westchnęło dziewczę.

Xenia nie nalegała. Sama jeszcze czuła się w tej roli dość niepewnie i nie miała ochoty ryzykować przejażdżki z Edytą.

— Nie trzeba się mamusi sprzeciwiać, panno Edyto! — rzekła dyplomatycznie. — Jesteśmy młodzi, mamy czas, jeszcze nieraz się przejedziemy...

Siadła z powrotem na siodełku, włączyła motor i dość wolno, przechylając się na obie strony, pojechała pod most, żeby niedługo zsiąść i zacząć windować motocykl schodkami pod górę. Było to strasznie uciążliwe jak na jej kobiece siły, więc stawała co chwilę i ocierała pot z czoła. W końcu nie mogąc dać rady, poprosiła jakiegoś idącego po schodkach rosłego mężczyznę, aby jej pomógł.

— Powinien pan jeszcze się uczyć, a nie na motorze jeździć... — mruknął przechodzień i pomógł jej wytaszczyć motocykl na górę. — Chłopaki teraz powariowały! Gdzież to to ma siłę do takich sportów!

Za „chłopaka” byłaby chętnie uściskała tego poczciwego prze-

chodnia, ale ponieważ nie byłoby mu to zrobiło najmniejszej przyjemności, więc gdy się już znaleźli na górze, wyciągnęła z kieszeni dwa amerykańskie papierosy i ofiarowała je swojemu wybawcy.

— Pan nie do tego — rzekł mężczyzna wzruszając ramionami — zapisz się pan do jakiejś drużyny sportowej, piłkę pokop, to i sił nabierzesz.

— Pomyślę o tym! — rzekła Xenia i szybko pożegnawszy się siadła na siodełku.

Ale jak na złość motor nie chciał zapalić. Puf, puf, puf i... cisza. Puf, puf, puf... i znów nic.

Natychmiast zebrało się kilku gapiów i zaczęli radzić.

— Stary gruchot! — rzekł jeden z nich. — Zaczekaj pan, jak ja na niego siądę, zaraz zapali.

Xenia stała zawstydzona z okularami zawieszonymi na szyi.

— Może benzyny brakuje? — zauważył drugi z gapiów.

— Benzyny jest dość — rzekł pierwszy — tylko że to stary szmelc!

— Dam panu za niego trzy kawałki — rzekł trzeci cwaniak — i będzie po drace. Wsiądziesz pan sobie do autobusu i pojedziesz wygodnie do chaty.

— Mowa trawa! — odparła Xenia butnie.

Kapryśny motor w końcu zapalił i pykając nierówno począł trząść maszyną. Wsiadła i o mało nie najechała na jednego z przygodnych doradców. Przechylając się na obie strony, niepewnie i rzec można „jąkając się”, pojechała przez most ze strachem w sercu, z kilkoma autobusami i taksówkami na karku.

Jechała teraz bardzo ostrożnie i wolno do „garażu”, w którym stał również motocykl Poręby. Była to stara komórka, zamknięta na klucz w kamienicy, gdzie mieszkała jego narzeczona. Gdy wreszcie dojechała i umieściła tam motor, była tak diabelnie zmęczona, że największym jej marzeniem było złożyć gdzieś „skołatane” nogi, uda, które się trzęsły, i głowę pełną świeżo przeżytej emocji.

Wskoczyła do taksówki i kazała się zawieźć do mieszkania ciotki Heleny.

Szofer spojrział z ironicznym uśmiechem na jej motocyklowy dres i pilotkę.

— Motocyklista jest — zauważył — tylko motoru nie ma... A może pan do teatru, za aktora?

Nic nie odpowiedziała, tylko weisnęła się w róg wozu, zła i zawstydzona. Poczula nagle wyraźnie, jak bardzo jest śmieszna ze swoim kłamstwem i udawaniem chłopaka. Uświadomiła sobie również, że mogłaby te same sporty uprawiać jako kobieta i wówczas nie byłaby śmieszna.

W tej chwili największym jej pragnieniem było znów wskoczyć w dawną skórę, być prawdziwą Xenią z włosami w lokach, w wesołych, świeżych letnich sukienkach... Ach, cóż by to było za szczęście!...

A kłamstwa jak króliki... rodzą wciąż młode — młode kłamstewka — i nie da się tego zatrzymać. Miała lzy w oczach i szybko otarła je skórzaną rękawicą. A wszystko przez te przekłete kobiety! — pomyślała ze złością. — Przez ich słabość do mężczyzn, przez to, że, idiotki głupie, nie chciały za nic wziąć baby za lokatora.

Przetrząsnęła własne sumienie jak kieszeń marynarki i znalazła w niej, uczciwie, garść pychy. Była zawsze bardzo dumna ze swej chłopięcej budowy, z niskiego głosu, ze swoich męskich rysów i, jak na kobietę, dużych rąk. Gdyby nie ta pycha, nie byłoby się to wszystko stało... Ostatecznie mogła jeszcze jakiś czas przemieszkwać u ciotki Heleny lub u którejś z koleżanek... Mogła pomaleńku szukać i znaleźć dla siebie jakiś odpowiedni pokój.

„A może pan do teatru, za aktora?” — przypomniała sobie słowa szofera. Była więc stworzona do grania komedii, miała duszę aktorki — i ten prosty człowiek powiedział mimo woli wielką prawdę.

Taksówka stanęła na Pradze przed brzydką odrapaną kamienicą. Xenia zapłaciła, wysiadła i szybkimi susami, mimo bolących ud, pobiegła na górę. Zadzwoniła. Po chwili usłyszała czyjeś człapiące kroki i niezadowolonym nabrzmiałym głosem, który zapytał:

— Kto tam?

— To ja, Xenia! — zawołała.

Zadzwijała odsuwany łańcuch, drzwi się otwarły. Ciotka Helena miała jak zwykle minę cytrynową i smutną.

— Ach, to ty — rzekła bez cienia radości i wpuściła ją do przedpokoju.

— Widzę, że ciocia wcale się nie ucieszyła moim widokiem.

— Nie lubię, moje dziecko, ludzi anormalnych. Sama byłam zawsze normalna, wyszłam uczciwie za mąż, dzieci wychowałam na ludzi...

— Szczególnie Kamille... — złośliwie szepnęła Xenia.

— Czy przyszedłaś tylko po to, ażeby mi to powiedzieć? Jeśli tak, to niepotrzebnie się fatygowałaś. A co znaczy ten strój? Czy zostałaś szoferem? Rzeczywiście, tylko tego brakowało! Już i tak ludzie się z ciebie nabijają, że robisz z siebie wariatkę... Jeśli tak dalej pójdzie, to przestanę się przyznawać do pokrewieństwa z tobą.

— Nie, ciotucho, tego bym nie przeżyła. A ja właśnie przyszedłam, żeby się trochę przed ciocią wyzalić.

Cytrynowoszara twarz rozjaśniła się. Ciotka przywiązana była do swoich trosk, a już cudze robiły jej wręcz przyjemność.

— No to chodź, moje dziecko, do pokoju i pogadamy sobie. Kama poszła z Acusiem do kina, mam więc trochę czasu.

— Ach, ciociu — wybuchnęła Xenia — jestem bardzo nieszczęśliwa!

— Powinnaś być nieszczęśliwa po tym wszystkim, czegoś nabrała.

— Niech się ciocia nie cieszy zanadto, to mi przejdzie... Tylko tak, chwilowo... Proszę mi poradzić, co mam dalej robić.

— Zwrócić się do Boga! — rzekła ciotka surowo i kategorycznie.

— Za błahe sprawy, żeby nimi zajmować samego... Prezydenta. Sądziłam, że w tym wypadku wystarczy porozmawiać z Jego sekretarką. Ciocia taka święta niewiasta, myślałam, że mi coś mądrego poradzi.

— Cóż ja ci mogę poradzić, moje dziecko? Poszłaś tak niewłaściwą drogą kłamstwa i oszustwa, że obecnie można ci tylko doradzić, ażebyś wróciła z powrotem na drogę prawdy i zaczęła żyć jak człowiek...

— A nie jak mężczyzna, prawda?... Ale to wcale nie takie proste, moja ciociu. Stracę wówczas pokój i ośmieszę się do reszty.

— Wolałabym stracić nie wiem co niż tak ludzi oszukiwać.

— Ale gdzie ja się biedna wówczas podzieję?

Po twarzy starej pani przebiegła fala wahania.

— No, ostatecznie mogłabyś wrócić do nas. Chociaż ze względu na Acusia i zły przykład, jaki byś mu dawała, nie byłoby to zbyt wskazane...

— No, widzi ciocia — być u kogoś, nawet bliskiego, na łasce i niełasce, to przecież okropne. Obie z Kamillą nieraz mi okazywałyście, że mnie macie dosyć.

— Bo nie umiałaś uszanować dziecka!

— Ależ, ciotucho! Rozumiem, że powinnam ciocię szanować, ale dzieciaka? Nieznośnego smarkacza?

— Nigdy się nie zrozumiemy. W takim razie powinnaś znaleźć sobie jakiś pokój pod Warszawą, w Komorowie, Konstancinie, Otwocku... To nie takie trudne...

— I jeździć co dzień rano przepełnioną kolejką! Dziękuję uprzejmie, to wolę już to, co mam. Oczywiście będę szukać, może jednak znajdę jakiś pokój w samej Warszawie. Pokój, gdzie będą chcieli przyjąć pannę bezdzietną. A może wyjdę za mąż za kogoś, kto będzie miał przydział na mieszkanie...

— I ty myślisz, że taki z własnym mieszkaniem by cię chciał? — zarechotała złośliwie ciotka Helena. — W ogóle jaki mężczyzna o zdrowych zmysłach wzięby za żonę takie dziwadlo jak ty, które chodzi przebrane za chłopca. Nie, moja droga, to sobie wybij z głowy! Za mąż po tym wszystkim już nie wyjdiesz.

— Szkoda! — rzekła Xenia robiąc przy tym komicznie-tragiczną minę. — Ale skoro ciotuchna tak mówi, to widocznie prawda. Samobójstwa w każdym razie nie popełnię. Teraz pójdę się przebrać w jakąś swoją babską kieckę i wyjdę trochę na miasto. A dzisiaj przenocuję u cioci w kajutce, choćby się tam wszystkie Acusie na mnie waliły!

— Proszę cię bardzo... Kajuta jest chwilowo wolna, bo gospoś, którą mieliśmy, odeszła przedwczoraj. Możesz sobie jedną noc przenocować...

— Niech się ciocia nie boi, bo na pewno dłużej nie będę korzystała z jej gościnności. — To słowo powiedziała z naciskiem i ironią. Zza ściany usłyszała znany jej szloch sublokatorki. — Jak słyszę — roześmiała się — lokatorzy są ciągle ci sami.

— Niestety — odparła starsza pani — wciąż się kłóca, a tu wszystko słyhać. Boję się doprawdy złego przykładu dla Acusia. O, znowu...

— Oddałem ci, jak zwykle, całą moją miesięczną pensję! — krzyczał mąż. — Zostawiłem sobie tylko na papierosy, gazety...

— I wódkę! — zasyczał głos kobiecy.

— Przestań! I co za rezultat? Pani chodzi w gazowych pończoszках, ale za to gaz nie zapłacony i pod koniec miesiąca nie ma co do ust włożyć!

— To czemu tak mało zarabiasz? Czy to moja wina? Inne żony...

— Inne żony? — grzmiał głos męski. — Czy ty wiesz, jak inne żony pracują? Pracują na siebie i na dom. Zarabiają jak dawniej mężczyźni. A ty co potrafisz zarobić? Co najwyżej ciasto!

— Cham! — jęknął głos kobiecy.

— Ty wiesz, jak ja bym żył, gdybym był sam? Gdybym nie zrobił tego kapitalnego głupstwa, żeby się ożenić!

— Jak byś żył? Jak bydlę!

— Ani słowa więcej! Rozumiesz? A coś zrobiła z premią, którą dostałem? No powiedz, proszę! Przyznaj się!

— Przecież powiedziałaś, że „ani słowa więcej”!

Xenia roześmiała się do siebie i odeszła. Ogarnął ją wstyd, wstyd za tę kobietę, która była u męża „na posadzie” i której on tę posadę wymawiał. Pomyślała o tysiącach innych kobiet, tych współczesnych, idących przez życie o własnych siłach, bez pomocy mężczyzny, i poczuła dla tej istoty tam, za ścianą, bezgraniczną pogardę.

Gdybym była na jej miejscu, to usłyszawszy to, co ona usłyszała, odeszłabym od niego na zawsze i robiła cokolwiek... chociażby łapała oczka od pończoch, aby zarobić na kawałek chleba, jeśli bym już nic innego nie potrafiła...

Wyjęła z szafy swoją dawną spódniczkę w kratę i skórzaną kurteczke; weszła z tym wszystkim do kuchni, gdzie ciotka kręciła się koło kuchenki gazowej.

— Dlaczego, moja ciociu, ta lokatorka za ścianą nie znajdzie sobie jakiegoś zajęcia, aby mąż jej nie wymawiał, że nie pracuje?

— A po co ma sobie znajdować zajęcie, kiedy ma męża?

Obowiązkiem małżonka jest utrzymywać żonę i dom! — mruknęła pani Helena.

— Mnie się to już zupełnie w głowie nie mieści. Nie mogę sobie po prostu wyobrazić, żeby ktoś mógł na mnie pracować — odparła Xenia. — Żebym mogła nie mieć swoich własnych pieniędzy, przez siebie zarobionych...

— A jednak całe wieki tak było i było dobrze...

— Wcale nie było dobrze. Było wręcz strasznie pod tym względem. Co za upokorzenie, przychodzić i prosić mężczyznę o pieniądze, jak... utrzymanka.

— Ładnie się wyrażasz! Więc w takim razie mnie i moją matkę, i wszystkie zacne matrony polskie, które zajmowały się tylko domem i dziećmi, tak samo byś nazwała?

— Oczywiście, że tak... Oczywiście... z wyjątkiem cioci!

— Zapominasz, moja droga, że panny w dawnych czasach miewały posagi i wkładały do wspólnego interesu znaczne kwoty. Panny bez posagu niełatwo wychodziły za mąż, chyba... No, chyba że miały wybitną urodę i różne inne zalety.

— Bardzo zabawne. Więc małżeństwo to był taki rodzaj banku, gdzie rodzice panny składali jakąś kwotę, z której oboje małżonkowie potem korzystali?

— Mówisz tak, jak gdybyś się wczoraj urodziła! Jasne, że tak było.

— Pieniądz, pieniądz, pieniądz... — powtórzyła kilkakrotnie Xenia. — Więc bez pieniędzy nikt się nie żenił?

— Pewnie, że nie. Jedno musiało coś posiadać i drugie, inaczej rodzice obojga nie godzili się na małżeństwo.

— A z samej miłości nigdy się nie pobierali?

— To nie było „w dobrym tonie”, zresztą i takie wypadki się zdarzały, ale wówczas prawie nigdy nie byli z sobą szczęśliwi.

— Aha! Pytam się, bo doprawdy nie bardzo wiem, jak to było. Moi rodzice rozwiedli się, jak cioci wiadomo, gdy byłam bardzo mała... Matka zarabia na siebie. Ja pracuję już dobre kilka lat i zapomniałam, że inne kobiety mogą żyć inaczej. Dopiero ta pani za ścianą, ta pani „na posadzie u własnego męża” przekonała mnie, że takie typy istnieją.

— Ta pani jest młodą mężatką i w każdej chwili może zostać matką — rzekła ciotka nalewając wrzącą wodę do czajnika

z herbatą — a jako młoda matka nie miałyby na pewno czasu, żeby się zajmować jakąś pracą zarobkową...

— Ale na razie nią nie jest.

— Gdzie jest mężczyzna, tam może być i dziecko! — rzekła ciotka apodyktycznie i nalała dwie filiżanki herbaty. — Napij się i nie filozofuj. Życia i tak nie zmienisz!

— Już inni się o to postarali... Ale wie ciocia co? Po tej rozmowie doszłam do przekonania, że bardzo śmieszna była ta mionona epoka. Kiedyś w jednej zapomnianej szufladzie u nas w Krakowie znalazłam stary paszport mojej matki, gdzie w rubryce „zawód” wpisano: „przy mężu”. Już wówczas wydało mi się to szalenie zabawne.

— Cóż w tym zabawnego? — zdziwiła się pani Helena. — A mało to z mężem było roboty? Trzeba go było obszywać, obcerować, dawać mu dobrze jeść. Pilnować na każdym kroku, żeby głupstw nie robił. Roboty a roboty! A jeszcze jak do tego przyszły dzieci!...

Xenia poszła do łazienki i zaczęła się przebierać „za kobietę”. W kieszeni kurteczki znalazła zapomnianą pomadkę do ust; siłą dawnego nawyku chciała się przejechać po wargach, ale prawdopodobne ręczne lustereko powiedziało jej, że to niepotrzebne. Przypudrowała więc tylko twarz ciemnym pudrem, bardzo nieznacznie, palcem poślinionym przejechała po brwiach i rzęsach i gotowa do wyjścia poszła do kuchni pożegnać się z ciotką.

— No, teraz przynajmniej wyglądasz jak człowiek! — rzekła pani Helena.

— Mój Boże! — westchnęła Xenia. — znów to samo! Znów ciocia daje do zrozumienia, że „człowiek” to... kobieta. Więc gdy jestem przebrana za chłopca, to nie wyglądam na „człowieka”?

— Nie — odparła pani Helena głosem stanowczym. — Co najwyżej na wariata!... Tylko, proszę cię, nie wracaj bardzo późno!

— Nie wiem, może wcale na noc nie wrócę... Dopiero rano, żeby się przebrać. Może pójde gdzieś potańczyć, pohulać... Przecież mam do tego prawo. Ostatecznie jestem młodą dziewczyną!

— Taaak? Teraz raptem „młodą dziewczyną”! Przede wszyst-



kim, moja droga, nie taką znów bardzo młodą... Zaraz, zaraz: ile ty lat teraz skończysz? Chyba ze dwadzieścia siedem...

— Do widzenia, ciociu!... Muszę już iść!

— Poczekaj. Gdy ja chodziłam z Kamillą, przed jej urodzeniem, to ty miałaś już ze dwa, trzy latka. Tak, tak, na „trzeci krzyżyk” ci się zanosi. Mile byłaś dzieciątko; bardzo, bardzo zmieniałaś się od tego czasu — dodała z wyraźnym smutkiem.

Xenia rozbawiona uściskała matronę i w doskonałym nastroju sfrunęła ze schodów. Postanowiła zrobić sobie długi spacer. Iść przed siebie — tam, gdzie ją buty poniosą...

Ro zdział VIII

Dzień był promienny, majowy. Na niebieskim niebie wydymały się białe obłoki jak bielizna na wietrze.

Maj — myślała Xenia inteligentnie — trwa tak krótko jak osiemnastoletnia dziewczyna. Najkrótszy chyba ze wszystkich miesięcy w roku. Przebiega szybko jak film. Maj — miłosna przygoda przyrody... Miłosna przygoda z bukietami bzów, fiołkami i słowikami. A potem radosna cięża... Ale to już nie ma w sobie takiego wdzięku i uroku. Wszystko owocuje, rodzi. Ziemia zapłodniona podczas miłosnej przygody pęcznieje, wyskakuje z niej jarzynki, kwiaty... Mnóstwo radosnej czerwieni: rzodkiewka, marchewka, maki, piwonie. Lato nie ma w sobie słodkiej melancholii wiosny czy jesieni; z trwalszego materiału jest zrobione. Ale może przez to mniej porywające... Wiosna i jesień są nieśmiałe. Wiosna nieśmiała jak pensjonarka... Jesień niepewna swoich gasnących uroków jak przejrzała kobieta... Nie mają w sobie tej pychy lata, pychy bujnej, rozkwitłej piękności. Dumy pięknej młodej matki... Szkoda maja... szkoda wiosny i żal, że właśnie dziś, w taki dzień, nie jest się zakochaną...

Te myśli, które — należy dodać — przemykały jej przez głowę podczas jazdy tramwajem, przerwał ostry i przykry głos kobiety, jakich tysiące jeździ w Warszawie tramwajami:

— Sama się rozsiadła, a dzieciak stoi...

Xenia, wyrwana ze swoich marzeń wiosennych, z przykrością spojrziała na nią. Kobieta miała na sobie płaszcz koloru kurzu z błotem, szeroki i sztywny w ramionach, a na głowie jedwabną

chusteczkę związaną pod brodą. Xenia pomyślała, skąd się po wojnie namnożyło tyle tych jednakowych kobiet bez figury, bez wieku, o złym wyrazie twarzy, wąskich ustach, które w każdej chwili gotowe są obrzucić bliźniego stekiem wyzwisk. Spojrzała na dziecko; miało ze sześć lat i wcale nie wyglądało na źle odżywione i zmęczone.

— Źle pani dziecko wychowuje — odparła. — Gdy ja byłam mała, to moja matka zawsze kazała mi ustępować miejsca dorosłym osobom. A teraz my, dorośli, musimy ustępować miejsca dzieciom.

— Jeszcze cholera się klóci zamiast natychmiast wstać! — zakrzyczała matka dziecka.

— Jakie to ludzie są teraz — stanął w obronie matki pewien pasażer. — Niechże pani wstanie i ustąpi dziecku miejsca!

— Ani mi się śni! — odparła Xenia wydymając usta.

— Wariatka! — wykrzyknęła kobieta w chusteczce. — Siadaj, Mireczku, obok tej pani. Niechże się pani przynajmniej posunie.

Wszyscy pasażerowie spoglądali na Xenię tak wrogo, że posunęła się, a dzieciak rozsiadł się koło niej.

— Ja chcem wyglądać przez okienko! — oświadczył chłopak.

Xenia nie zareagowała na to. Wyciągnęła z torby gazetę i zaczęła spokojnie czytać. Pasażerowie w dalszym ciągu komentowali jej „aroganckie” zachowanie.

— Swoich nigdy nie miała, to i do cudzych podejścia nie ma — oświadczyła jedna z pasażerek, tak samo wyglądająca jak matka Mireczka.

Na jednym z przystanków wsiadła młoda, elegancko ubrana kobieta. Spojrzała na Xenię i obie ucieszyły się do siebie.

— Xenia!

— Grażyna!

— Jak dawno nie widziałyśmy się! Mieszkaś teraz w Warszawie?

— Oczywiście. Przecież nie da się gdzie indziej mieszkać. A ty?

— Ja również.

— Znalazłaś pokój sublokatorski... jako, jako... kobieta? — zapytała Xenia.



Grażyna spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Dlaczego się o to pytasz? Przecież nie zmieniałam płci...

— Szczęśliwa!... — westchnęła Xenia i posmutniała nagle. — A dobre masz warunki mieszkaniowe?

Grażyna zrozumiała w lot, że oto nadarzyła się okazja, aby koleżance, która jej zawsze imponowała rozumem i... wzrostem, trochę napsuć krwi, zaczęła wychwalać swoje mieszkanie:

— Mam prześliczny jasny pokój na Muranowie, wiesz, w tych nowych blokach. Kwiaty i rośliny w oknach, wspólna łazienka, ale gospodarze idą wcześniej do pracy, więc mogę się pluskać, ile zechcę.

— A ile płacisz miesięcznie? — zapytała Xenia głosem pełnym głębokiego smutku.

Grażyna zawahała się przez moment, czy ma blagować, czy nie, ale postanowiła powiedzieć prawdę:

— No wiesz... za taki pokój trudno, abym płaciła mało. Płacę mojej gospodyni trzysta złotych plus świadczenia. Ale jest w mieszkaniu telefon — dodała szybko widząc, że Xenia rozjaśniła się twarz.

— W najbliższych dniach przyjdę cię odwiedzić — rzekła Xenia.

Grażyna najwidoczniej zmieszana się.

— Może lepiej w najbliższych dniach nie; widzisz, jestem teraz bardzo zajęta, dostałam tłumaczenie z francuskiego. Muszę skończyć w terminie...

— No, to mi przynajmniej zapisz swój adres. — Rzekłszy to Xenia podała jej wyjęty z torebki notesik i ołówek.

Grażyna, jak gdyby trochę się ociągając, zapisała jej swój adres.

— Na pewno nie trafisz. Trzeba przejść przez taką dużą bramę, potem skrócić na lewo, wejść w sień, z sieni na podwórce, potem na prawo, i nie te pierwsze drzwi, tylko drugie, schody na lewo i na czwarte piętro... Muszę już wysiąść na następnym przystanku. A ty, jak mieszkasz? dobrze?

— Znakomicie — skłamała Xenia. — Moja gospodyni jest urocza, jej córka też. Obie te panie skaczą koło mnie i dogadzą mi jak mogą.

Ale ponieważ nie miała zwyczaju kłamać, gdy nie była do

tego koniecznie zmuszona, więc zaczęła się śmiać. Śmiała się ironicznie, pokazując duże białe zęby.

— Ale dlaczego się tak śmiejesz? To może nieprawda?

— Ależ prawda... prawda... — Xenia śmiała się coraz szczerzej... — Zresztą opowiem ci to wszystko, jak się spotkamy... To dość niesamowita historia...

— Może mieszkasz z jakimś... jakimś amantem — zaniepokoiła się Grażyna.

— Ależ nic podobnego, wprost przeciwnie.

— Musisz koniecznie do mnie wpaść i opowiedzieć to wszystko. Pamiętaj: duża brama, sień... drzwi na lewo... schody... Albo lepiej nie, ja do ciebie wpadnę. Powiedz prędko swój adres.

— O nie — odparła Xenia — mojego adresu ci nie podam... to moja słodka tajemnica...

— Doprawdy, jakaś dziwna się zrobiłaś. Nie poznaję cię. I po co sobie tak po męsku ostrzygłaś włosy? Ładniej ci było z lokami.

— W Paryżu wszystkie kobiety noszą włosy ostrzyżone na „Fanfana” — odparła Xenia z powagą. — Tylko na prowincji nosi się loki na karku.

Grażyna potrząsnęła bujnymi lokami.

— Mężczyźni lubią, gdy kobieta ma dużo włosów... Przecież na to chodzimy rano do fryzjera, aby nas wieczorem mężczyzna potargał... — uśmiechnęła się zalotnie i posunęła się ku wyjściu.

— Czy pani wysiada? — zapytał jakiś mężczyzna.

— Owszem, wysiadam, ale na przystanku — odparła.

— Jakie to ordynarne ludzie jeżdżą teraz tramwajami — odciął się pasażer. — Niby to inteligentna osoba, a zaraz, aby się kłócić.

— Ja się wcale nie kłócę — odparła Grażyna — tylko nie myślę dla pana wyskakiwać w biegu.

— Ale jak ktoś się grzecznie zapyta, czy pani wysiada, to powinna pani odpowiedzieć: „tak” albo „nie”, ale po co zaraz ludzi zaczepiać.

— O właśnie — wtrąciła matka Mireczka — po co zaraz ludzi zaczepiać.

Jakiś młody człowiek, który też stał w przejściu, wziął Grażynę w obronę.

— Przecież ta pani nikogo nie zaczepiała, tylko powiedziała grzecznie, że wysiądzie, ale na przystanku.

— O, widzicie go! Znalazł się obrońca! A panu co do tego? Pyta się kto pana o zdanie?

Utworzyły się dwa obozy: jeden przeciwko Grażynie, drugi za nią. Na szczęście tramwaj przystanął i ludzie zaczęli wychodzić. Matka Mireczka, obrzuciwszy Xenię zjadliwym spojrzeniem, wyszła również. Xenia rozsiadła się wygodniej, ale już nie czytała gazety. Dziwne zachowanie się Grażyny, gdy jej powiedziała, że ją odwiedzi, zaprzątnęło jej umysł. Coś w tym musi być, że tak niechętnie ją do siebie zapraszała. Nic innego, tylko mieszka z facetem i nie chce się do tego przyznać, idiotka. Zrobiło jej się smutno i kwaśno na tę myśl. Inne mieszkają z facetami, a ja muszę udawać faceta — pomyślała z goryczą.

Ale czy to było konieczne? Taka Grażyna, absolutnie nie dorównująca jej inteligencją ani sprytem, znalazła jednak sublokatorski pokój. Ach, skończyć nareszcie z tą komedią, bo to już za długo trwa! Pod powiekami coś ją zapiekło. Przecież się nie rozplacze jak jakieś ciele. Przyszło jej nagle na myśl, że dziewczęta w jej wieku wychodzą za mąż, otrzymują pokój z kuchnią i własną łazienkę... Mało jest takich? Przychodzi mąż po pracy, a tu obiadek przez nią zrobiony już czeka.

— Będzie rosół, sztuka mięsa i naleśniki z serem. Lubisz prawda, najdroższy?

On obejmuje ją i całuje...

— Lubię wszystko, co ty zrobisz, kochanie!

Taak, a potem grymasi, że rosół przesolony, mięso nie dogotowane, naleśniki przypieczone. Wszystko odsuwa ruchem zepsutego rozgrymaszonego chłopca... No tak... ale to dopiero po kilku latach... Z początku mówi: „Zjadłbym cię całą” — i śmieje się, gdy znajdzie w zupie... włos. „Z wyjątkiem tego włoska”... — powie, jeśli ma poczucie humoru.

Xenia roześmiała się do siebie, postanowiwszy zanotować to sobie i spożytkować w którymś z przyszłych felietonów.

* * *



Nazajutrz była niedziela i Xenia została jak zwykle na obiedzie u ciotki na Pradze. Kamila pojechała do Leśnej Podkowy do swoich znajomych. Ciotka Helena miała od rana twarz tak strapioną, że Xenia przestraszyła się.

— Co się stało? — zapytała.

— Ach, okropne nieszczęście, moje dziecko...

— Może coś złego z Acusiem? — zaniepokoiła się.

— Na szczęście nie, chłopak zdrowy, chociaż go dzisiaj trochę brzuszki bolał.

— No więc, co się stało?

— Wyobraź sobie, że zginął ten duży rondel do gotowania zupy. Przeszukałam cały dom i ani śladu!

Xenia bardzo nietaktownie roześmiała się. Ciotka była z gatunku tych osób, które nie bardzo rozróżniają prawdziwe nieszczęście od drobnej przykrości. Tak samo potrafiła się martwić, gdy ktoś się w domu rozchorował, jak wówczas, gdy coś się stłukło lub zginęło.

— Dobrze ci się śmiać — westchnęła — ale zupy nie będzie.

— To świetnie, moja ciotciu, od zupy się tyje. Jestem pewna — dodała po chwili — że to Acus gdzieś rondel schował; on tak lubi robić.

— Ty już nie wiesz doprawdy, o co to biedne dziecko posądzają! Ubogi był tu wczoraj w kuchni, dostał suchy chleb, o który prosił. Nic innego, tylko on musiał ten rondel skrać. Taki piękny, aluminiowy... Ty wiesz, ile taki rondel dzisiaj kosztuje?

— No dobrze — zauważyła Xenia logicznie — ale skoro on był taki ubogi, że prosił tylko o suchy chleb, to co będzie w takim rondlu gotować?

— A ty niby wykształcona, a nie wiesz najprostszyczych rzeczy. Pójdź na bazar i sprzedaj go za grube pieniądze.

Xenia spojrzała na strapioną twarz ciotki i zrobiło jej się żal biedaczki. Starość — pomyślała — to nie tylko wygląd i te inne rzeczy... ale jeszcze różnica w gatunku strapień, które się stają coraz lichsze, coraz bardziej przyziemne. Całkiem inne niż w młodości. Gdy na przykład chłopak, z którym całą noc prze-tańczyła, w kilka dni później nawet jej na ulicy nie poznał — to było strapienie i przykrość. Albo gdy miłość, którą uważała za wielką i „na całe życie”, nagle jej się wydała tylko „letnią przy-

godą” i niczym więcej — to było naprawdę ciężkie przeżycie. Musiała mu to powiedzieć. Pożegnali się na zawsze. Xenia płakała później całą noc jak bóbr... Albo ten drugi, który był piękny jak Adonis, ale miał wilgotne ręce... Można ostatecznie mieszkać w wilgotnym mieszkaniu, ale wilgotne łapy!... To były nieszczęścia, ale nie zniknięcie głupiego rondla.

Obiad mijał w ciężkim nastroju. Ciotka krajała mięso na drobne kawałki i biorąc je na widelec wkładała do otwartego dzióbka Acusia. Wyglądała jak stara wróblica, która karmi swoje pisklą. Za każdym kawałkiem plotła:

— Teraz za mamusię, a teraz za babcię, a ten kawałek mięska za ciotkę Xenię.

— Za ciotkę Senię — nie cem! — wykrzyknął Acus i wypluł mięso.

— Jak to dzieci odczuwają, kto je lubi, a kto jest ich wrogiem — zauważyła ciotka.

— Ja wrogiem Acusia! Przepadam za tym łobuzem, tylko martwię się, że go tak źle wychowujecie.

— Już ty, moja Xeniu, nie będziesz nas uczyła, jak mamy dzieci wychowywać. Pomyśl lepiej, aby mieć własne.

— Nieślubne?

— Mogłabyś *près de l'enfant* nie mówić takich nieprzyzwoitości.

— Kiedy nieślubne dzieci to teraz dobrze widziane, moja ciotciu; otrzymuje się większe mieszkanie, dodatek na dziecko...

— Wstanę od stołu, jak nie przestaniesz!

Uniosła się trochę na krześle, ale gdy ujrzała sarkastyczny uśmiech na ustach Xeny, ciężki jej zad opadł z powrotem z lekkim klapnięciem. Zapanowało grobowe milczenie. Acus odsunął od siebie talerz i zaczął kręcić kulki z chleba, które momentalnie zrobiły się czarne. Przesuwał kulki po nożu mówiąc:

— To jest most, przechodzi piesek, przechodzi człowiek, a teraz przechodzi wszelkie pojęcie...

Xenia ubawiona pogłaskała chłopca po głowie.

— Och, jakiś ty zabawny, Acusiu! Wie ciotcia, że on ma poczucie humoru, bezwiedne oczywiście.

— Dopiero teraz to zauważyłaś? Ja o tym wiem od dawna. Acuchna, zjedz marcheweczkę, marchewka dobra, zdrowa.

— Odwal się, stara klempo!

— Coś ty powiedział? — twarz ciotki zakwitła jak piwonia. Xenia zaczęła się śmiać nader nietaktownie.

— Przecież ciocia chyba nie pragnie, aby on to jeszcze raz powtórzył?

— Jesteś bez serca! Biedne dziecko przestaje z tymi ordynarnymi chłopakami na podwórzu, którzy go uczą takich wyrazów.

— Pochyliła się nad wnukiem:

— Acusiu, nie mówi się takich słów, rozumiesz? Jeśli jeszcze raz coś takiego powiesz, to nie dostaniesz leguminki.

— Leguminka mi isi... u dupy — dodał triumfalnie.

W tym momencie ciotka nie wytrzymała i dała mu energicznego klapsa.

Xenia poprzez lzy śmiechu dojrzała, jak Acuś otworzył usta szeroko, jeszcze szerzej, sekunda napiętej pauzy i nagle z otwartych ust dziecka buchnął ogłuszający wrzask. Przeżrana ciotka porwała go w objęcia.

— Nie płacz, Acusiu! O mój Boże, co ja zrobiłam! To twoja wina! — Obrzuciła Xenię złym spojrzeniem. — Bo ty, zamiast się oburzyć, zaczęłaś się głupio śmiać. I on chciał się przed tobą popisać.

— Tak... wszystko jest zawsze moją winą — odparła Xenia z goryczą.

Wstała od stołu i podeszła do okna. Chłopak wrzeszczał dalej, za oknem piał dzieciaki, którym najstarszy z nich wtórował gwizdząc przeciągle i dotkliwie na piszczałce. Przekłętę smyki! — pomyślała Xenia — urządzają sobie pod oknem „orkiestrę



smyczkową”! — Uśmiechnęła się i postanowiła wyzyskać ten dowcip w felietonie, który miała ochotę napisać, o nadprodukcji dzieci w kraju... Te tępe matki, które fabrykują dzieci w nadmiarze i potem nie mają co z nimi robić i wysyłają je na podwórze, aby innym zatruwały życie. Przypomniał jej się zasłyszany w dzieciństwie wierszyk Jachowicza o „Wandzi, która książki kupowała, lecz nie po to, by czytała, ot, tak tylko, byle miała”.

Odeszła od okna i nagle wzrok jej spoczął na czymś błyszczącym, co wyzierało spod starej ceratowej otomany. Pochyliła się. Był to ów rondel, tak przez ciotkę poszukiwany.

— Cioteczko — uśmiechnęła się — a co to błyszczy pod kanapą? Czy to aby nie rondel?

Zdziwiło ją to, że ciotka o wiele mniej się ucieszyła z odnalezienia zguby, niżby się można było spodziewać. Gruczoł wydzielający radość dawno uległ u niej atrofii. Była tak z góry nastawiona na same życiowe niepowodzenia, drobne codzienne kłębki, że wydawała się jak gdyby lekko zawiedziona.

— Nie rozumiem, skąd ten rondel znalazł się nagle pod kanapą?...

— To na pewno Acuś...

— Zawsze to biedne dziecko wszystkiemu winne. Czy to ty, Acusiu, schowałeś rondel pod kanapę?

— Ja — a bo co?

— Jak to ładnie, że się przyznałeś... Przrzekasz, że tego więcej nie zrobisz?

— Zrlobię — odparł spoglądając na babkę spode łba.

Xenia poczuła nagle wielkie znużenie, nie tyle fizyczne, co moralne, i postanowiła czym prędzej opuścić ten przybytek nudy, to mieszkanko Kumy-Troski. Przebrała się w swoje męskie piórka i postanowiła długo tutaj nie zaglądać.

— Do widzenia, ciotucho! Pa, Acusiu!

Zarzuciła wiatrówkę na ramiona i wyszła. Schodząc po starych, zanieczyszczonych schodach, wokoło których unosił się fetor koci, pomieszany z oparami kwaszonej kapusty, postanowiła odwiedzić Grażynę. Nareszcie się przekonam, jak ona mieszka i z kim... Jeśli ta chytruska sądzi, że do niej nie trafię, to się

bardzo myli. — Wyciągnęła z kieszeni notesik: „Trzeba przejść przez dużą bramę, potem na lewo, na prawo, jedna sień, druga...”
— Trudniejsze zadania wykonywało się w życiu.

Wrodzony spryt i zmysł orientacji, którym się zawsze szczyciła, pomógł jej odnaleźć locum przyjaciółki. Drzwi otworzyła jej Grażyna we własnej osobie, w atlasowym szlafroku z CDT-u i z twarzą mocno nakremowaną. Na widok Xenii przerażenie odbiło się w jej oczach:

— Nie mogę cię teraz przyjąć — rzekła — mam gościa...

— Nie wierzę — roześmiała się Xenia. — Z natłuszczonej twarzą? Nie kłam, że masz u siebie chłopaka, bo ci i tak nie uwierzę... Które twoje drzwi? Te?

Nie czekając odpowiedzi nacisnęła klamkę i weszła na chybił trafił do pokoju znajdującego się naprzeciwko drzwi wejściowych. Za nią na miękkich kolanach, z opadniętymi ramionami, wsunęła się Grażyna. Pokój był dość duży, jasny, z wesołym oknem, na którym ujrzała Xenia doniczki z kaktusami i szalwią. Pod ścianą stał tapczan i nocna szafka, a naprzeciwko leżanka, na której spoczywała skulona czarna postać z promykami siwych włosów od góry, a wielkimi, rozkładanymi, czarnymi pantoflami od dołu. Na widok wchodzącej Xenii postać uniosła się i wyblakłe, świdrowate oczka w otoczeniu zmarszczek, które wyglądały jak szereg drobnych pajęczków, obrzuciły ją złym spojrzeniem.

— Tego tylko brakowało — sapnęła — aby sobie pani kawalerów do mieszkania sprowadzała. Zaraz powiem o tym gospodyni!

— Ależ proszę pani — jęknęła Grażyna — to nie żaden kawaler, tylko moja przyjaciółka, Xenia.

— He, he, he — zaśmiała się starucha — nie mnie tak bujać... Cóż to, ślepa jestem, nie widzę? Jeszcze chłopaka od dziewczyny umiem odróżnić.

— Przysięgam pani — odezwała się Xenia — że jestem dziewczyną, przyjaciółką i koleżanką Grażyny, tylko chodzę ubrana po męsku... bo tak mi wygodniej... Jeśli pani nie wierzy, to pokażę swój dowód osobisty...

— Nie potrzeba, nie potrzeba. Możliwe, że pani jest z tych dziewczyn, co to po jakimś czasie zgłaszają się do lekarzy i chcą zostać chłopcami... tak jak ta, no, jak jej tam było... Smętkowna. Wstyd i obraza boska!

Wielkie, sine usta, które za młodu mogły być tym, co mężczyźni nazywają ustami „zmysłowymi”, rozszerzyły się w ohydny, obleśny uśmiešku, ukazując jakieś nędzne resztki zębów. Xenia z obrzydzeniem odwróciła się do okna.

Tymczasem Grażyna z „polubownym” uśmiechem zwróciła się do staruszki.

— Dam pani później trochę cukierków, tylko niech pani babcia będzie uprzejma opuścić na chwilę ten pokój. Mamy z moją przyjaciółką do pogadania.

Babcia zaczęła się mozolnie gramolić z leżanki.

— A niech was — mruknęła. — Chwili spokoju człowiek nie ma... Pójdę już, pójdę, tylko proszę nie kopcić papierosów, bo później trudno jest wywietrzyć.

Xenia odwróciła się od okna i ujrzała coś, co przejęło ją grozą i odrazą. Staruszka miała jedną nogę drewnianą!

Gdy wyszła kuśtykając, obie dziewczyny usiadły na tapczanie Grażyny, która rękami zasłoniła twarz.

— To straszne! — wyszeptala Xenia. — Więc ty TAK mieszkaś?

Poczuła się wobec nieszczęsnej Grażyny królową życia, a że królowe często bywają litościwe, więc starając się ją jakoś pocieszyć głaskała ją po głowie, objęła za ramiona i przytuliła do siebie.

— To jest koszmar nie życie — zachlipała wśród łez Grażyna. — Ta wstrętna starucha siedzi na mojej młodości jak ropucha na kępcie truskawek, nadgryza mnie co dzień, niszczy, wykończy mnie niedługo...

— Ale jak to się stało? — zapytała Xenia oceniając w myślach obraz porównania z ropuchą i truskawkami. — Nie mogłaś się nie zgodzić na taką sublokatorkę? Wolalabym nie wiem co niż podobne towarzystwo na co dzień...

— Nie miałam wyjścia — jęknęła Grażyna. — Gdy wynajmowałam ten pokój, zapowiedziano mi, że rodzinna babka będzie ze mną nocowała, ale że cały dzień ma przebywać w kuchni i że

w ogóle nie będę odczuwała jej obecności... Tymczasem... — Grażyna rozplakała się na dobre i jej wiotka postać trzęsła się pod wielkimi atlasowymi kwiatami szlafroka, które raz się kucrzyły, raz rozszerzały.

— Biedaczko moja! — Głos Xenii brzmiał prawdziwym współczuciem. — Ale — rzekła po chwili — nie rozumiem, dlaczego nie postarasz się w tym mieszkaniu o przydział kwaterekowy; przecież, o ile wiem, jesteś zameldowana w Warszawie?

— Myślałam już o tym. Ale wówczas gospodyni i jej rodzina urządziliby mi takie życie, że nie wytrzymałabym ani dnia. Ty nie wiesz, co to za ludzie! Mają sklep komisowy w śródmieściu, kupę pieniędzy zarabiają, ale — jak to ludzie zamożni — wciąż narzekają, że są w biedzie, i każdy grosz odkładają na „czarną godzinę”, chociaż każda ich godzina jest czarna, bo nie znają barwy życia.

— Jednym słowem — uśmiechnęła się Xenia — „straszni mieszkanie w strasznym mieszkaniu”, jak w tym wspaniałym wierszu Tuwima.

— Z tą różnicą — odparła Grażyna — że mieszkanie nie jest „straszne”. Dbają o czystość, o pewną estetykę, wciąż wietrzą... szczególnie — uśmiechnęła się boleśnie — po moich gościach. Czynią to ostentacyjnie, otwierając wszystkie okna na przestrzal. Zresztą ja prawie tu nikogo nie przyjmuję, szczególnie od czasu, kiedy jeden mój znajomy wszedł do łazienki, aby umyć ręce, i gospodyni wpadła krzycząc, że „ich łazienka nie jest dla każdego, kto przyjdzie z ulicy!”

— Tak — rzekła Xenia — piekło wybrukowane jest sublokatorskimi pokojami.

— Żli, podli ludzie są jak gdyby po to na świecie, aby porządny psuć charakter — powiedziała Grażyna. — Ty nie wiesz, jaka ja się zrobiłam teraz zła... Zasypiam ze zbrodniczymi myślami. Gospodyni zakładam, gdy zaśnie, sznur na szyję i ciągnę ją tak długo po pokoju, aż zaczyna charczeć i oczy wylażą jej na wierzch...

Xenia spojrziała z przerażeniem na koleżankę. Oczy Grażyny błyszczały dziwnym ogniem, miała niezdrowe rumieńce, trzęsła się cała.

— A babci — ciągnęła dalej — podaję na noc kieliszek wina

z dodatkiem arszeniku. — To słowo powiedziała syczącym szeptem, przybliżając twarz do policzka Xenii.

— Co się z tobą dzieje, Grażyno? Ty jesteś bliska obłędu!

— Żebyś wiedziała, że jestem bliska obłędu! Zerwała się z tapczana i zaczęła nerwowo spacerować po pokoju. — A czy wiesz, że oni tylko marzą o tym, abym się od nich wyniosła?...

— Niemożliwe! Mimo że tak dużo płacisz i że zgadzasz się na tę makabryczną współlokatorkę?

— Dużo? Trzysta złotych? To jest bardzo mało. Zaraz ci pokażę jedno ogłoszenie z „Życia Warszawy”. — Wyciągnęła z półeczki nad tapczanem gazetę i pokazała Xenii ogłoszenie, które brzmiało następująco: „Dam tysiąc złotych miesięcznie czynszu płatnego za rok z góry, bez meldunku, za pokój przy rodzinie z osobnym wejściem, z używalnością łazienki. Zgłoszenia do redakcji „Życia” pod „Prawnik”:

Xenia roześmiała się głośno.

— Ach, ty głuptasku, czy ten podpis „prawnik” nic ci nie mówi? Już on by sobie dał z nimi radę, zaręczam ci! Wręczyłby im jakąś zaliczkę i od razu postarałby się o przydział kwaterekowy na ten pokój.

— Bez meldunku?

— Gdyby raz wszedł do tego pokoju, to już by się postarał i o zameldowanie, a potem by im płacił sto albo sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie. Śmierć frajerom, takim jak ty!

— Odpukaj! — westchnęła Grażyna. — Ja przecież przez tę koszmarną babcię, która kiedyś wyrzuciła do przedpokoju, na ziemię, mojego pięknego „misia”, bo jej jakoby pachniał naftaliną — dostałam na ulicy ataku serca i pogotowie zabrało mnie do szpitala... Ty wiesz — tu schwyciła Xenię mocno za rękę — że ona na noc odkręca tę swoją drewnianą nogę i stawia o tu, w kącie! Przez sen jęczy, stęka, przewraca się...

— I może w dodatku puszcza wiaterki? — podchwyciła Xenia wstrzymując się od śmiechu.

— Ciebie to mimo wszystko bawi, a ja z tego umrę... A tak się bronilam przed twoją wizytą, pamiętasz, wtedy na ulicy?... Wiedziałam, że się będziesz ze mnie nabijała... Nikomu nie można wierzyć, wszyscy się zawsze trochę cieszą z cudzego nieszczęścia.

Xenia spoważniała. Miała z natury dobre, współczujące serce, ale nieco przesadzone poczucie humoru hamowało często jej ludzkie odruchy. Teraz poczuła niechęć do siebie samej, że za mało przejęła się tragedią mieszkaniową koleżanki, i postanowiła to naprawić.

— Nie, Grażynko, masz mnie za istotę bez serca, a ja naprawdę bardzo się przejęłam twoją sytuacją i postanowiłam coś wymyślić, coś ci poradzić...

— Cóż mi możesz poradzić! — Grażyna załamała ręce. — Do mamy do Szczecina nie wrócę na stałe. Owszem, jeżdżę tam na wszystkie urlopy, ale rozumiesz... WARSZAWA...

— Rozumiem, Warszawa — odparła krótko Xenia. W tym jednym słowie mieściła się również cała jej niesamowita przygoda, mistyfikacja, która trwała już zbyt długo, tragiczna farsa, która mogła się łaża dzień skończyć dla niej bardzo nieprzyjemnie. Teraz, poznawszy tajemnicę koleżanki, postanowiła wyjawić jej swoją sytuację, zdobyć się na bohaterskie wyznanie z rodzaju: „mój mąż także mnie zdradza” albo: „ja też mam sztuczne zęby”.

Chwilę milczała, nerwowo wiążąc węzełki na znalezionym sznureczku, po czym zaczęła opowiadać wszystko od początku. O swoich perypetiach mieszkaniowych, o tym, jak nie chciano jej nigdzie jako kobiecie wynająć sublokatorskiego pokoju, w końcu, jak znalazła legitymację dziennikarską Hektora Kasprowego i stała się... chłopcem. W trakcie jej opowiadania zbiedzona, zapłakana twarz Grażyny stopniowo się rozpogadzała, w końcu wyglądała się jak po masażu, wróciły jej naturalne kolorki, oczy nabrały blasku.

— Ja się też dziwiłam, dlaczego ubierasz się tak po chłopięcemu i w ten sposób strzyżesz włosy, ale myślałam, że po prostu przyjęłaś taki styl, jako że to bardzo dobrze pasuje do twojej sylwetki i figury. Jak się jest taką deską... — dodała ze szczyptą złośliwości. Spojrzała nie bez pewnej dumy na swój biust, wyraźnie zarysowujący się pod szlafrokiem. — Mnie by się taki figiel nie mógł udać, od razu by każdy poznał, że jestem kobietą.

— Wiesz — zawołała i zerwała się z tapczana — mam tu w tajemnicy przed gospodynią grzałkę, ronderek i „Nesce”; zrobimy sobie dobrej, mocnej kawy! Że też ja od razu o tym nie

pomyślałam! — Zaczęła się żwawo krzątać po pokoju, przybrawszy minę nieomal zadowolonej z życia dziewczyny.

Niech się cieszy biedactwo — pomyślała Xenia pocziwie. — Należy jej się to chociażby za to, że tak brutalnie w kaloszach wlałam w jej życie. Ale niech sobie nie wyobraża, że zamieniłabym się z nią na mieszkanie. — Prawie z rozczuleniem porównywała swoją gospodynię z tą koszmarną babcią. — Przynajmniej tamta skacze koło mnie, dogadza mi. Gdybym jeszcze w dodatku mogła wskoczyć w swoją dawną skórę, miałabym w porównaniu z Grażyną raj na ziemi.



Pijąc mocną, doskonałą kawę i przegryzając czekoladkami były obie w radosnych humorach. Grażyna cieszyła się, że nie potrzebuje udawać chłopaka i znosić zalecanek gospodyni i jej córki. Xenia triumfowała, że umiała sobie w życiu tak sprytnie poradzić. Radość, że nie musi dzielić pokoju z cudzą babką, zamieniła chwilowo wszystkie inne dręczące problemy.

Rozstały się bardzo serdecznie, całując się, mówiąc sobie komplementy i przysięgając, że o ich warunkach mieszkaniowych nikt ze wspólnych znajomych się nie dowie.

Rozdział X

Xenia szła ulicą Świerczewskiego. Postanowiła pojechać tramwajem idącym na Pragę, wysiąść przy ruchomych schodach i pójść spacerkiem przez Krakowskie. Może wstąpi do jakiejś kawiarni...

Głowę miała pełną Grażyny i jej makabrycznej sublokatorki. I nagle — zamiast współczuć swej biednej przyjaciółce, tak dotkniętej przez los, zaczęła się litować nad ową staruszką-kaleką i rozmyślać o jej ciężkiej doli.

Jakże często starość „rzuca się” na nogi — pomyślała ze zgrozą. Ileż razy spotykała na ulicy starsze kobiety, włókące się z trudem na obrzmiałych, zreumatyzowanych kończynach lub wsparte na jednej albo i dwóch laskach. A te potworne żyłaki na białych, gołych nogach... Czyżby zdrowe, giętkie nogi były wyłącznie atrybutem młodości? — Spojrzała na swoje stopy w „szybkobieźnych”, trochę za dużych trampkach i uczuła nagle w sercu przypływ radości życia.

Zacząła teraz iść szybciej dużymi, posuwistymi krokami i potrąciła niechcący jakiegoś dzieciaka, który na nią wypadł zza kiosku „Ruchu”.

— Co za chuligaństwo, żeby tak biec i nie uważać! O małego dziecka nie przewrócił — warknęła jego matka na krótkich kaczych nogach.

— Przepraszam! — wykrzyknęła wesóło Xenia i pobiegła dalej.

Znów zaczęła myśleć o nieszczęsnym losie tej biednej, starej babci, skazanej może do końca życia na towarzystwo młodej,

pięknej kobiety w barwnych szlafrokach, nylonowych koszulkach, halkach i modnych sukniach, której każde spojrzenie skierowane w jej stronę wyrażało nienawiść, wzdąę i odrazę. Łatwo nazwać taką babcie „starą ropuchą” czy „wstrętną, koszmarną staruchą” — ale być nią!... Grażyna ostatecznie mogła w każdej chwili opuścić mieszkanie, ona — nigdy! Do końca swego nędznego życia musiała tkwić w tej bezlitosnej mieszczańskiej rodzinie jak bezużyteczny, zniszczony mebel, fotel skórzany bez nogi... Będzie wegetować, zdana na łaskę rodziny, która, nie mogąc wyzyskać starowiny jako siły roboczej z powodu jej kalectwa, uczyniła z niej zgorzkniałego strażnika sublokatorki, krępującego ją w przyjmowaniu gości i pilnie baczącego, czy nie nadużywa prądu, ciepłej wody w łazience i nie wietrzy nadmiernie pokoju...

Xenia postanowiła zanieść kiedyś biednej staruszce torebkę cukierków. Dlaczego nie miałyby się stać dla wiedzmy dobrą wróżką? Tego jeszcze w bajkach dla dzieci nie było.

Rozmyślając tak, sama nie wiedziała, kiedy wskoczyła do „jedyńki”, kiedy z niej wysiadła i znalazła się na ruchomych schodach. W doskonałym humorze — jak zwykle, gdy postanawiamy zrobić jakiś dobry uczynek, ale jeszcze nie jesteśmy pewni, czy go spełnimy — szła Krakowskim Przedmieściem.

Na rogu Miodowej przystanąła, gdyż jezdnią, nie zwracając uwagi na przechodniów, pędziły w dwóch kierunkach taksówki i autobusy, a z przystanku ruszał właśnie, żałośnie posapując, trolejbus.

Że też nie ustawili tu sygnalizacji świetlnej — pomyślała. — Taki ruchliwy punkt. Idealne miejsce na wypadek nagłej, a niespodziewanej śmierci...

Po chwili udało się jej przejść na drugą stronę, a rozglądając się przy tym uważnie na lewo i prawo, zobaczyła przypadkiem szyld kawiarni „Ali Baba”, o której wiedziała, że znajduje się gdzieś w tej okolicy.

Nie namyślając się długo, skrzyła w tamtym kierunku i weszła do środka.

Gdy stanęła w progu, od stolika pod oknem powstało właśnie dwóch panów i Xenia szybko zajęła zwolnione przez nich miej-



sce. Mam szczęście — skonstatowała rozglądając się wokół — nie ma ani jednego wolnego stolika.

Zamówiła małą kawę i znów zaczęła przyglądać się sali. Przeważali mężczyźni, młodszy i starsi; kobiet było zaledwie kilka. Wszyscy robili wrażenie zadomowionych tu — widocznie stali goście. Xenia pochwyliła kilka natarczywie ciekawych spojrzeń; tu i ówdzie na pewno o niej rozmawiano lustrując ją bacznie wzrokiem. Poczuli się trochę nieswojo.

To widocznie dlatego, że jestem tu pierwszy raz. Nie znają mnie, a każdy nieznamy wchodzący do lokalu zwraca zazwyczaj uwagę i budzi ciekawość...

Po chwili do kawiarni wkroczył wysoki, wybitnie przystojny mężczyzna około czterdziestki, w wiśniowym zagranicznym wdzianku i jaskrawym włoskim krawacie. Szedł miękko, elastycznym krokiem, odpowiadając na liczne ukłony ze wszystkich stron.

Szalenie w moim typie! — pomyślała obserwując go Xenia.

Nieznamy, szukając miejsca, przeciskał się między siedzącymi i na koniec przystanął przy jej stoliku.

— Czy można? — zapytał głębokim, welurowym głosem i dodał, choć to było zbędne: — Nigdzie nie ma nic wolnego. Pozwoli pan?

Xenia zgodziła się z uśmiechem. Usiadł więc i wyjąwszy z kieszeni paczkę amerykańskich papierosów efektownym ruchem podsunął je Xenii.

— Zapali pan? Pall Mall-e — zachęcił.

Podziękowała i wzięła. Nieznajomy pstryknął srebrną zapalniczką, która — o dziwo! — zapaliła się za pierwszym razem. Palili oboje w milczeniu.

— Pan może z baletu? — zapytał.

— Nie, jestem dziennikarzem. Skąd panu przyszedł do głowy ten balet?

— Tak jakoś, Ma pan drobną, zgrabną figurę. I harmonijne, miękkie ruchy. Więc myślałem... Szkoda...

— Szkoda? — zdziwiła się Xenia. — Dlaczego?

— Bo bardzo lubię tancerzy. Fach trochę pokrewny mojemu. Jestem plastykiem — dodał wyjaśniająco i ciągnął dalej z uśmie-

chem: — Przed wojną szkoła baletowa nazywała się szkołą plastyki: dziś my, graficy i malarze, nazywamy się plastykami.

— Nienawidzę tej nowoczesnej sztuki! — wyrwało się Xenii.

— Od razu „nienawidzę“! — roześmiał się. — Zresztą co pan nazywa nowoczesną sztuką? Bo jeśli te wyglupy tasztowsko-ceramiczno-bezsensowne, cały ten neomerdyzm, to zgoda. Ale...

— Ale co?

— Zamiast dyskutować o nowoczesnej sztuce, może byśmy się czegoś napili?

— Zamówiłem już kawę.

— Wobec tego kieliszek likieru. Lubi pan miętowy?

— Dziękuję. W ogóle nie lubię likieru.

— A zatem wino — postanowił i widząc gest sprzeciwu Xenii, rzekł szybko ciepłym głosem: — Przecież mi pan nie odmówił!

Roześmiała się, a on już zamawiał „dwa kieliszki tego francuskiego, które wczoraj piłem“.

— Wracając do naszej rozmowy — rzekł, gdy kelnerka odeszła — lubię tancerzy, gdyż uprawiają kult ciała. A cóż jest piękniejszego nad młode, zgrabne, wysportowane i dobrze utrzymane ciało? Uważam też za wstrętne i nielogiczne, że „ciałem“ nazywają nieboszczyków. Ciało to dla mnie synonim czegoś żywego, a nie martwego i nieruchomego.

— To prawda — potwierdziła z entuzjazmem Xenia. Ten nieznamy artysta z każdą chwilą podobał się jej bardziej.

— Najchętniej rysowałbym akty. — Tu zaczął kreślić długopisem na bibułkowej serwetce. — Ale cóż: ilustracje do książek i czasopism to najczęściej nie akty, lecz niestety ludzie ubrani...

Przestał rysować i podsunął bibułkę Xenii.

— Oto młoda dziewczyna i młody chłopak w stroju naturalnym, tak jak ich Pan Bóg stworzył. Tu zaś ci sami, tylko w ubraniach. Prawda, co za różnica na niekorzyść. Obserwuje się to często na plaży. Przyjdzie taki niby oberwus, lachudra, ściągnie z siebie te wszystkie ciuchy i co widzimy? — roześmiał się miłym młodym śmiechem. — Widzimy młode bóstwo, Apollina! A teraz narysuję panu tę samą parę na starość.

Szybko naszkicował dwie pękate formy, zupełnie jednakowe i dorysował do każdej ręce, nogi i głowę.

— Świetny dowcip! — rzekła z pewnym zażenowaniem Xenia.

— Na starość zatracają się na ogół różnice seksualne. Ludzie pozostają tylko ludźmi, bez tych zabawnych dodatków, z których należy korzystać, póki się jest młodym. — Artysta spojrział na nią figlarnie i wymownie.

Po co on mi to mówi? — pomyślała. — Czyżby się domyślił, że jestem kobietą, i czeka, żebym mu to sama wyznała?...

Kelnerka postawiła przed nimi dwie lampki wina. Przy sąsiednich stolikach zapanowało wyraźne ożywienie; pochylano ku sobie głowy, szeptano...

— Czy może mi pan dać na pamiątkę ten rysunek?

— Proszę bardzo.

— Ale niech pan podpisze. Błagam!

Nieznamy zawahał się, potem jednak złożył na bibuлке zamaszty podpis.

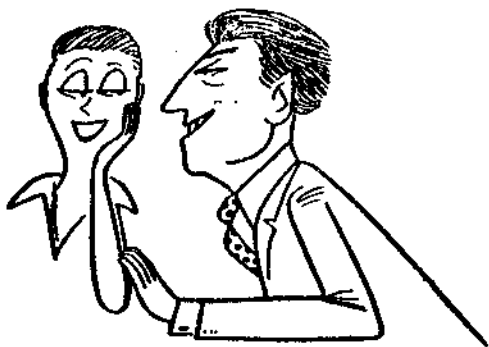
— Wero — odcyfrowała Xenia z radością. — Przepadam za pańskimi rysunkami. Nigdy nie przypuszczałem, że pana poznam!

— Niech pan pije tymczasem — podniósł kieliszek. — Na początek naszej znajomości.

Wypili, a on przyglądał się jej wzrokiem badawczym i rozbawionym.

— Wcale niezłe — rzekła, aby coś powiedzieć.

— Tak — potwierdził — nienajgorsze, choć w domu mam lepsze rzeczy... Wie pan co — w głosie jego zadrgała jakaś nowa, ledwie uchwytna nutka — a może byśmy tak przeszli do mnie? Mam pracownię na Starym Mieście, niedaleko. Obejrzy pan sobie moje nowe szkice, napijemy się czegoś. No, zgoda?



Xenia, zapomniawszy, że występuje w skórze chłopca, poczuła się dotknięta i zaczęła się bronić po kobiecemu.

— Ależ proszę pana, tak nie można... Przecież właściwie się nie znamy... To nie wypada!

— Broni się pan jak dziewczica! — zaśmiał się Wero.

Poczerwieniała aż po błękit oczu... Stało się, przejrzał mnie! Odgadł, że jestem kobietą, i chce mnie zwabić do siebie... Ale właściwie: dlaczego nie? Jestem istotą wolną, samodzielną, mogę robić to, na co mam ochotę. W dodatku cholernie mi się podobają! — Dobrze, chodźmy! — zdecydowała „po męsku”.

Wero kiwnął na kelnerkę.

— Chciałbym zapłacić.

— Ja miałem małą kawę. — Xenia sięgnęła do kieszeni.

— Proszę natychmiast to schować. — Uroczy pan przytrzymał jej rękę. — Dzieci za siebie nie płacą.

— Och, nie jestem już dzieckiem, proszę pana! Skończyłem dwadzieścia pięć lat!

— Groźny wiek, ale dla innych, nie dla pana... No, idziemy.

Wstali i wyszli, odprowadzani ironicznymi spojrzeniami kawiarzanych bywalców.

Wziął ją pod ramię. Biło od niego męskie ciepło i delikatny podniecający zapach dobrej wody lawendowej. Xenia przytuliła się mocniej do jego rękawa. Co ja temu Panu Bogu zrobiłam — dumiała z wdzięcznością — że taki dla mnie dobry? Znaleźć nagle takiego fajnego chłopca i w dodatku znanego grafika.

Była z natury bardzo sentymentalna i czuła, że się w nim zakocha. — Jak to jednak kobiecość promieniuje przez męskie portki, wiatrówkę i trampki! On na pewno wie o mnie wszystko... Gdy się czegoś napiję, odkryję karty... Będzie nam chyba dobrze razem...

— Jak panu na imię? — zapytał Wero niespodziewanie.

Zawahała się na krótko, ale zdecydowawszy, że jeszcze nie nadszedł właściwy moment, odparła swobodnie:

— Hektor.

— A mamie Hekuba, tak? — roześmiał się. — Tylko gdzie znaleźć Andromachę?

Xenia w milczeniu oceniła jego znajomość mitologii, choć o matce Hektora, Hekubie, nie miała zielonego pojęcia.

— Czy to „pseudonia”, jak ktoś kiedyś powiedział, czy prawdziwe imię?

— Najbardziej — odpowiedziała nie bez pewnej dumy — zaś nazwisko: Kasprowy.

— Połączenie Tatr z mitologią. Potęga! — W jego śmiechu było trochę drwiny.

Wprowadził ją do odnowionej starej kamienicy, gdzie pachniało jeszcze wilgocią i świeżym tynkiem. U pułapu wisiała mośężna latarnia o mdłym blasku. Wero biegł po schodach szybkim, młodzieńczym krokiem. Na trzecim piętrze otworzył niskie, bejcowane na ciemno drzwi.

— To tu! — rzekł odsapnąwszy nieznacznie.

W obszernym przedpokoju wisiały stare rokokowe sztychy, przedstawiające jakieś amorkowo-pornograficzne sceny, którymi wyraźnie się gorszyły świątki z obtłuczonymi nosami, stojące na antycznej szafie.

Wprowadził ją do dużej, jasnej pracowni. Tak właśnie wyobrażała sobie Xenia atelier malarskie. Pełno tu było dziwnych przedmiotów z różnych egzotycznych krain i minionych epok. Na ścianach pysniło się kilka cennych, popękanych talerzy i wykrzywiały się złośliwie chińskie maski. Na empirowej komodzie preżył się potwornie nieprzyzwoity totem afrykański. W głębi zasłona — bodaj z jawajskiego batik — zasłaniała kuchenkę czy umywalnię, a duży, szeroki tapczan przykryty był nieco zniszczonym tureckim szalem.

Na sztalugach i pod ścianami stały płótna na blejtramacach. Prawie na wszystkich widniały męskie akty, malowane sepią i tuszem. Xenia podeszła bliżej i zaczęła się przyglądać odważnie i jak gdyby ze znawstwem.

— Podobają się? — zapytał.

— Znakomite...

Pan domu zniknął za firanką i po chwili wrócił w jedwabnym zabójczym szlafroku, połyskującym błękitem i czerwienią.

— Gdy jestem u siebie w domu, wkładam zawsze ten szlafrok, który przywoziłem sobie z Włoch. Napije się pan jeszcze kawy?

— Bardzo chętnie — rzekła, a gdy Wero znów poszedł za firankę, pomyślała z lekkim niepokojem: — Skoro włożył szla-

frok, to znaczy, że ma wobec mnie wyraźne i zdecydowane zamiary. Jeszcze czas, by się pożegnać i zwiąć... Ale nie, nie zrobię tego. Jest tak dziko w moim typie!...

— Proszę sobie obejrzeć tymczasem zagraniczne pisma ilustrowane. Leżą na komodzie. Niemieckie, szwedzkie, austriackie...

— Jak tu u pana cudnie...

— Cieszę się, że ci się podoba! — Wero wyjrzał na chwilę zza firanki. — Ale zdejm tę wiatrówkę, mój drogi, będzie ci wygodniej. I w ogóle czuj się jak u siebie w domu.

„U siebie w domu” — powtórzyła w myśli Xenia i ujrzała przed oczyma swój sfatygowany tapczan, duże, dębowe biurko z zielonym suknem, zaplamionym atramentem, w ścianach dziury po gwoździach, a na progu „karakułową mamę” z jej różnorakimi zębami.

Posłusznie zdjęła wiatrówkę i ułożyła ją na krześle. Miała na sobie bikiniarską flanelową koszulę w niebiesko-czerwoną kratę. Pan domu wyszedł zza firanki.

— Widzisz, tak ci jest o wiele bardziej do twarzy...

Uświadomiła sobie, że mówi do niej per „ty”, ale jakoś nie miała ochoty oponować.

— Kawa będzie za chwilę. Tymczasem napijemy się czegoś innego.

Podszedł do empirowej komody, tej z totemem, i wyjął stamtąd ciemną butelkę o charakterystycznym kształcie.

— Prawdziwa angielska whisky.

— Nigdy tego nie piłem.

— Wierzę. Mocna rzecz, ale można dolać wody sodowej.

Zdjął z półki dwa stare kryształowe kielichy, przetarł je i napełnił złotawym płynem z butelki. W tej chwili coś sobie przypomniał, pobiegł za firankę i pojawił się z pulweryzatorem w rękę. Szybko chodził po pokoju, rozpylając obficie perfumy. Pulweryzator cicho syczał i Xenia z przyjemnością poczuła delikatny zapach — ni to lawendy, ni chypre'u.

— Jak to się nazywa? — spytała. — Pachnie tak oryginalnie...

— Mieszanka mojego pomysłu — rzekł z dumą. — Przyjemna, prawda?

- Bardzo!
- Odstawił pulweryzator i wrócił do kieliszków.
- Dolać wody sodowej?
- Proszę, tylko nie za dużo.
- To mi się podoba! Będą z ciebie ludzie, Hektoru.
- Nie tyle ludzie, co... pijacy! — poprawiła z uśmiechem.
- Ale nie grozi mi to, piję mało i rzadko.
- No, to twoje zdrowie, Hektorze.
- Pańskie, panie Wero.
- Tylko nie pan! Wypijmy na ty. Na imię mi Seweryn.
- Tręcili się i wypili.



— A teraz buźka. Inaczej nieważne! — Chwycił jej głowę w obie dłonie, po czym mocno, ze smakiem i rutyną pocałował ją w usta, bokiem, by się nie zderzyły ich dość duże nosy.

Romans się zaczął — pomyślała Xenia wzruszona. — Teraz najwyższy czas się przyznać... Słuchaj, Wero — ścisnęła go za rękę — wyczuleś to, zdaje się, od samego początku...

— No cóż, ma się to oko! — zaśmiał się krótkim, nerwowym śmiechem, podając jej papierosa i pstrykając zapalniczką.

— Tak, Wero, nie pomyliłeś się — przytuliła się i szepnęła mu do ucha, jakby zawstydzona: — jestem kobietą...

— Tego też byłem pewien — rzekł i objął ją mocno. — Kochanie...

Xenia leciutko odurzona whisky i wrażeniem, jakie wywierał na nią czarujący gospodarz, bez sprzeciwu poddawała się jego pierwszym, niewyszukanym pieścizdom, gdy Wero ku jej zdumieniu nagle ostygł, spojrzął na nią z dziwnym wyrazem oczu i zaczął się śmiać bardzo nieprzyjemnie.

— Psiakrew!

— Co się stało? Sparzyłeś się może moim papierosem?

— Sparzyłem się, ale nie papierosem. Idiota!

— Nie rozumiem — zdziwiła się szczerze Xenia. — Co się stało?

— Jesteś kobietą...

— Na szczęście... — spróbowała uśmiechnąć się zalotnie.

— O jakim szczęściu myślisz? — Napełnił obydwie kieliszki i swój wypił jednym haustem.

— Jak to o jakim? O naszym...

Wero był już znowu opanowany i szeroko się roześmiał.

— Masz rację. Na nasze szczęście przypomniałem sobie, że lada moment przyjdzie tu do mnie kilku kolegów. To by dopiero była kompromitacja! Dla pani oczywiście! — dodał szybko, z wyraźną kpina. — Musisz stąd zniknąć jak najprędzej. Ubiorę się i odprowadzę cię do taksówki. Wypij ten kieliszek.

— Dziękuję, nie mam ochoty. Chcesz, żebym ci powiedziała, dlaczego udaję chłopca?

— Nie jestem ciekaw. Kładź wiatrówkę. Ja zaraz będę gotów.

Zniknął za firanką. Xenia poczuła się jak ktoś, kto dostał w twarz i nie może oddać policzka.

Wyszli nie mówiąc do siebie ani słowa. Na Rynku złapali wolną taksówkę.

— Kiedy się znowu spotkamy? — zaryzykowała żalonym tonem.

— Nie wiem. Na razie jestem szalenie zapracowany i nie mam zupełnie czasu. Za tydzień wyjeżdżam do Paryża. No, pa, Hektorku! I radzę zaprzestać tej idiotycznej komedii. Do widzenia pani!

Kiwnął głową na pożegnanie i zatrzasnął drzwiczki. Taksówka ruszyła.

Więc to tak! — pomyślała. — Że też od razu nie domyśliłam się tego. Głupia, prowincjonalna gęś! Któż by mógł jednak przypuszczać? Zawsze sądziłam, że „oni” wyglądają zupełnie inaczej, a Wero był taki męski, kulturalny i miły... I działał przecież na mnie jak żaden inny, normalny mężczyzna! Miał rację: trzeba wreszcie zaprzestać tej idiotycznej komedii!

Otworzyła jej gospodyni ze swym miodowym uśmiechem, pozłacanym od plomb.

— Kolacyjka czeka na pana Hektorka, pierożki już wystygły... Dziecko się martwi, gdzie pan lokator się podziewa, wypatruje przez okno...

— Proszę tylko o szklankę mocnej herbaty i, jeśli pani ma, o proszek od bólu głowy.

— Popiło się gdzieś pewnie. Z koleżkami, prawda?

— Przepraszam, ale co to panią obchodzi?!

Nie czekając na odpowiedź szybko wyjęła z kieszeni klucz, otworzyła drzwi do swego pokoju i nie zapalając światła w ubraniu rzuciła się na tapczan.

Rozdział X

Od czasu przygody z panem Wero Xenię ogarniał coraz większy wstręt do swojej pseudomęskiej powierzchowności. Unikała teraz spojrzeń, zarówno kobiet jak mężczyzn, a gdy ją jakiś Bogu ducha winien pasażer zapytał w autobusie: „Która godzina?”, odpowiedziała burkliwie: „Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi” — co wywołało zdumienie i oburzenie, bo każdy człowiek jest ogromnie skory do wyświadczenia takich drobnych przysług. Nie miała nigdy przy sobie zapalek, czyli „ognia” do papierosa, a siedząc w tramwaju zastaniała się płachtą-niewidką „Trybuny Ludu” lub „Kuriera Polskiego”.

Któregoś wieczora poczuła jednak nieprzewartą chęć jakiejś rozrywki. Pójść gdzieś, zabawić się, potańczyć...

Wyskoczyła do budki telefonicznej i zadzwoniła do Grażyny. Przyjaciółka okazała się wspaniałomyślna: obiecała pożyczyć Xeni którąś ze swych kiecek i umalować ją.

— Tylko — dodała — mój chłopak jest poza Warszawą, więc wymyśl kogoś.

— Mogę „zorganizować” jednego młodzieńca — rzekła Xenia pomyślawszy o Józku Ofermaczu — ale on nie jest bardzo efektowny.

— Nic nie szkodzi, może potem ktoś znajomy przysiądzie się do nas.

Nie tracąc czasu Xenia nakręciła numer Józka.

— Jak się masz, kochany Józiu? Idziemy dziś wieczorem do jakiegoś lokalu. Chcesz się z nami wybrać?

— Co ci się stało? Przecież ty nigdzie nie chodzisz wieczorami.

— Mam chandrę, duchowego „katza”. A w ogóle chciałabym już skończyć z życiem.

— W lokalu? W takim razie nie piszę się na to.

— Głupi jesteś. Będę z moją przyjaciółką, Grażyną. Bardzo efektowny kociak. Czekał na nas przed „Kameralną” o dziewiątej.

— A jak będziesz ubrana? Bo jeśli w portkach, to na mnie nie licz.

— Nie bój się, będę „za kobietę”.

— No to świetnie, idę.

— Do widzenia!

Xenia wzięła taksówkę i pojechała na Muranów. Drzwi otworzyła jej Grażyna.

— Babcie przekupiłam pomarańczą — szepnęła. — Obiecała nie wchodzić do mojego pokoju.

Xenia z rozkoszą przewracała kolorowe ciuszki Grażyny. Trzymając w rękach nylonową kreację spojrzała na przyjaciółkę jak pies, który spogląda na swego pana, będącego w posiadaniu kawałka smakowitej kiełbasy.

— Pożyczysz?

— Oczywiście, że pożyczę. Sama włożę tę czarną szeroką krynolinę i złoty naszyjnik.

— Tak, dla ciebie tylko czarny kolor, do blond włosów... Świetny kontrast. A pantofelki?

— Pożyczę ci moje stare czarne „trumniaki”. Rozkładane, więc może wejda. Niestety, że ty masz taki duży numer.

Nigdy kobiety nie lbywają takie kobiece, jak wtedy, kiedy są same — zupełnie jak dzieci, gdy się znajdują ze swymi rówieśnikami. Nie obawiając się, że je mężczyźni będą wysmiewali, rozprawiają poważnie o fatalaskach. Jak murzyńskie kobiety wieszają na szyi paciorki z pestek, kukurydzy lub żółdzi, wyrrywają sobie nawzajem błyszczące klipsy... Są bardzo śmieszne i śliczne w krótkich różowych figach, biustonoszach i halkach, rozczesując energicznie gęste loki lub śliniąc tusz w pudełku, by małą szczołeczką podczesywać rzęsy.

— Jeśli się nie brzydzisz mojej śliny, to sobie uczernić rzę-

sy... Weź podkład pod puder, tam stoi dobry krem... Tyś już zapomniała, jak się różuje policzki! Och, co ja mam z tobą!

Siedząc przed dużym lustrem Xenia pomału przeistaczała się w przystojną kobietę. Dawno nie malowana twarz z radością chwytala krem, puder i róż.

— Wiesz, Grażyno, mężczyźni są okropnie pokrzywdzeni. Nie mają tych drobnych radości, co my, tych wszystkich radosnych ciuszków, klipsów, naszyjników, kosmetyków, które z szarej twarzy robią brzoskwinię. My jesteśmy stokroć szczęśliwsze! — W tym momencie westchnęła ciężko. — Co ja bym dała, żeby znowu stać się kobietą!

— A nie możesz?

Grażyna siedziała na tapczanie i ostrożnie, ze skupioną twarzą, naciągała nowe nylonowe pończochy; aby się nie podarły, włożyła rękawiczki.

— Przecież wiesz... Gospodyni wyrzuciłaby mnie za drzwi. No i ta kompromitacja! Dziś jest mój bal Kopciuszka.

— Kopciuszek! Z takim numerem butów? — zarechotała przyjaciółka. — Swoją drogą ciekawam, kto dzisiaj byłby tym królewiczem z bajki. Chyba jakiś artysta, sławny poeta, aktor filmowy albo plastyk...

— Tak — odparła ponuro Xenia — tylko potem miałby ci za złe, że jesteś dziewczyną, nie chłopakiem... Bardzo nowoczesna bajka, tylko że nikt by jej nie wydrukował.

— Co ty pleciesz? — Grażyna zebrała bogactwo swoich złotych loków i misternie upięła je w kok na środku głowy. — Dobrze tak będzie? — zapytała przyjaciółkę, tak jakby mówiła do lustra.

— Doskonale. Bardzo stylowo. A ja? Dobrze wyglądam?

— Nieźle. Tylko ten wzrost... Dopiero w sukni widać, jaki z ciebie drażal.

— Trudno, nie skrócę się ani o głowę, ani o stopy. Zresztą są mężczyźni, którzy lubią wysokie.

— Są — odparła Grażyna — ale to zwykle ci drobnego wzrostu. Dobór naturalny.

— Nie cierpię niskich chłopów — otrząsnęła się Xenia.

— No, to jesteś skazana na staropanieństwo. — Mówiąc to Grażyna spojrzała na nią pocziwym, niewinnym wzrokiem.

Ach, zmija! — pomyślała Xenia, ale ponieważ nie wypada

się klócić z osobą, która pożyczyła swoją najładniejszą suknię, uśmiechnęła się tylko, wzruszyła ramionami i zaproponowała Grażynie, aby już nareszcie wyszły.

Jak zwykle u kobiet, przed wyjściem zaczęła się szukanina.

— Nie widziałas gdzie mojej wieczorowej torebki?

— Boże! Boże! Gdzie ta głupia torebka?

— Jest — na szczęście! A puderniczka?

— Znowu puderniczka! Na co ci puderniczka? Masz tak dobrze „zrobioną” twarz.

— Jak to na co? Tyś już zupełnie zapomniała o wszystkich akcesoriach kobiecych! Nie wiesz, że w lokalu mężczyzna co chwila wyciąga pudełko papierosów i pali, a kobieta przegląda się w lusterku puderniczki i maluje sobie usta? A masz przynajmniej pomadkę do ust?

— Nie mam...

— Ach, cóż to za ofiara!

Pożyczwszy Xeni suknię i inne drobiazgi, Grażyna okazywała jej pewną wyższość, jak wszyscy ludzie mniejszego kalibru lekceważący trochę bliźniego, któremu wyświadczyli jakąś przysługę.

— Nie będzie mi potrzebna — powiedziała szybko Xenia. — Moje usta, dzięki temu, że długo ich nie malowałam, nabrały naturalnego różowego koloru. To, co teraz nałożyłam, wystarczy mi na cały wieczór...

Wyszły narzuciwszy na siebie — jedną płaszcz, drugą męską wiatrówkę.

Gdy znalazły się na ulicy Foksal, przed „Kameralną”, ujrzały spacerującego tam i z powrotem młodzieńca, który na ich widok wymownie spojrział na ręczny zegarek.

— Widzę, że stałaś się prawdziwą kobietą — rzekł — spóźniłaś się o całe trzy kwadranse.

— Mój przyjaciel, Józek Ofermacz, moja przyjaciółka Grażyna — przedstawiła Xenia.

Zajęli wolny stolik na cztery osoby. Kelnerzy z poważnymi minami ministrantów krążyli po sali. Zapobiegliwie i szybko obsługiwali tylko te stoliki, przy których zamówiono „wódeczkę” i „zakąseczki”. Dla innych stolików, gdzie chciano wypić tylko kawę i zjeść kawałek tortu — nie istnieli.



— Proszę pana! — wołano od tych wstrzemięźliwych stolików — zamówiliśmy kawę pół godziny temu i dotąd czekamy bez skutku!

Jedyną odpowiedzią było krótkie:

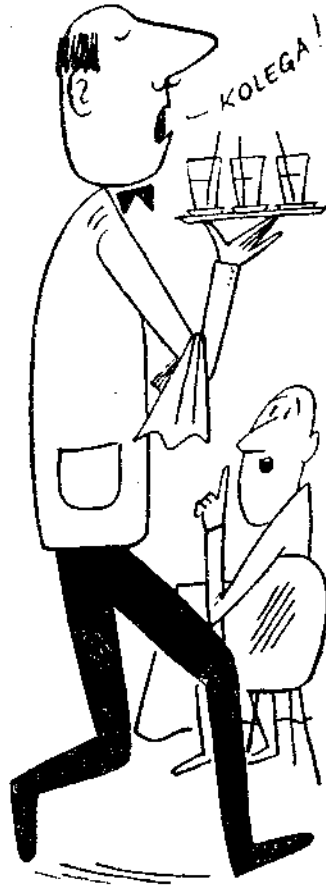
— Kolega!

— Co będziecie jady i pily? — zapytał Józek.

— Chyba... tylko kawę — rzekła Xenia. — Nie jestem głodna.

— Kawę macie w kawiarni. Tu nie wypada.

— Chcesz się podliznąć kelnerowi? Jeśli tak, to zamów ćwiartkę czystej i jakieś zakąski. Potem rozliczymy się.



— Ćwiartkę czystej i zakąski! — bardzo po męsku wykrzyknął Józek w stronę przebiegającego „kolegi”.

— W tej chwili służę!

Machnąwszy serwetą, jak białą flagą pokojową, zniknął, aby po minucie stanąć przed ich stolikiem. Wprawnym spojrzeniem ocenił eleganckie stroje pań; skromny i nieatrakcyjny wygląd Ofermacza wzbudził w nim zaufanie. Kalkulował logicznie, że Józek, nie posiadając żadnych innych zalet, winien być przynajmniej „ładowanym gościem” — więc wyciągnąwszy ołówek i bloczek czekał na zamówienie z uprzejmym uśmiechem.



— Wódeczkę wyborową czystą? Wiśniaczek? Mamy też wianiak! — zachęcał.

— Czwartkę zwykłej czystej i trzy tatarzy — rzekła odważnie Xenia.

Kelner spojrzał wymownie na jedynego w tym towarzystwie mężczyznę, czy nie sprzeciwi się tak skromnemu zamówieniu.

— Służę! — rzekł lodowato, widząc, że tamten milczy, i zniknął.

Naprzeciwno, tuż przy parkiecie, siedziało trzech młodych ludzi, którzy nie spuszczaali oczu z ich stolika. Szczególnie jeden przystojny szatyn, wciąż zerkał na Xenię i najwyraźniej rozmawiał o niej ze swymi kompanami.

— Zrobiłaś wrażenie na tym panu — rzekła kwaśno Grażyna.

— I co mi z tego? — westchnęła Xenia. — Jutro i tak muszę wleźć w moją męską skórę.

— Skończyłabyś nareszcie tę idiotyczną farsę! — zachnął się Józek.

— Wszyscy mi to mówią, ale nikt nie znajduje dla mnie wyjścia... Na razie więc muszę pozostać mężczyzną.

Po chwili przystojny szatyn wstał i podszedł do ich stolika. Był staroświecko wychowany, bo najpierw zapytał Józka, „czy może tę panią poprosić do tańca”, i dopiero, gdy ten kiwnął głową na znak zezwolenia, skłonił się przed Xenią.

Orkiestra grała walca angielskiego, za którym Xenia przepadała, więc chętnie poszła z nieznajomym na parkiet. Spojrzała na niego z bliska.

Był przystojny, choć w jego powierzchowności nie było nic takiego, co by rzucało się w oczy. Miał lekko falujące włosy, niebieskie oczy i opaloną cerę.

Gdzieś już widziałam tę twarz — pomyślała. Ale w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć, gdzie.

— Pani świetnie tańczy... I tak lekko.

— Pan też... Ale to takie łatwe. O wiele trudniej przeżyć dobrze dzień niż całą noc przetańczyć — zbudowała na poczekaniu powiedzonko.

— Jak pani to zabawnie powiedziała! — roześmiał się. — Czy pani tu często bywa? Albo w innych lokalach?

— Nie. Raz mi się to zdarzyło...

— Mnie też. Wieczorem wolę iść do teatru albo do kina.

Xenia zamilkła. Bo i po cóż miała zawierać jakąś bliższą znajomość z tym sympatycznym młodzieńcem, skoro była motylem-jednodniówką, który miał żyć tylko jeden wieczór.

— Pani mieszka w Warszawie?

— A czyż można mieszkać gdziekolwiek indziej?

— No, można. Pod Warszawą. Tak jak ja.

— Jak to? Pan jako mężczyzna nie znalazł w mieście choćby sublokatorskiego pokoju?

— A cóż to za różnica? — zdziwił się i trochę mocniej przygarnął ją do siebie. — Mężczyzna czy kobieta, to chyba nie gra żadnej roli!

— Gra, i to o!brzymią! Mężczyzna nie pierze, nie kąpie się...

— Kto pani do powiedział? Nie najlepiej jest pani poinformowana o mężczyznach.

— Jaaa? — zaśmiała się ironicznie. — Wprost przeciwnie.

— Doprawdy? — jego uścisk stał się lżejszy. — Zresztą w najbliższym czasie otrzymam własną kawalerkę w samej Warszawie. Od instytucji, w której pracuję — podniósł głowę do góry. — A pani jak mieszka?

— Szkoda mówić! — Zamilkła i spojrzała na jego krawat; był ciemny w jasne punkciki, pasował do białej koszuli doskonale. Dobry! — stwierdziła, jako że krawaty bardzo ją żywo interesowały od czasu, gdy chodziła przebrana za chłopca. — I w ogóle chłopak przyzwoicie ubrany... Ciekawam, jaki jest jego zawód...

Orkiestra przestała grać. Odprowadził ją do stolika, uklonił się i odszedł do swego towarzystwa.

Xenia siedziała zamyślona i ponura. Grażyna sprzeczała się z Józkiem na temat modnych tańców, których on nie uznawał.

— Czemu nie pijesz? — Józek podsunął Xeni pełny kieliszek. — Myśmy już wypili po dwa. Wyglądasz, jakby cię to wszystko nie bawiło.

— Nic mnie już w życiu nie bawi — rzekła i podparła głowę ręką. — Ale wypić mogę.

Wychyliła kieliszek i dalej milczała rozmyślając nad sobą.

— Jesteś dzisiaj wyjątkowo zabawna i ożywiona — zauważył Józek z ironią. — W ogóle cię nie poznaję. Jesteś inna, taka dziwna... Gdybym cię tak dobrze nie znał, przypuszczałbym, że przeżyłaś jakiś zawód miłosny...

— Nigdy nie znamy naprawdę naszych najbliższych przyjaciół. Nie dowiemy się też, do jakiego stopnia ktoś z naszych bliźnich jest szczęśliwy albo nieszczęśliwy...

— Xenia jest dzisiaj beznadziejna! — rzuciła Grażyna pudrując twarz. — Wieczór niezbyt udany... O! — zauważyła — masz swojego tancerza, sunie w naszą stronę. Sądzę, że będzie na tyle taktowny, że teraz mnie poprosi.

Nieznamy jednak znów stanął przed Xenią.

— Czy mogę panią prosić do tego tanga?

— Oczywiście — rzekła ciesząc się swoim tryumfem nad Grażyną. — Bardzo lubię tango.

— Pani jest z tych kobiet, z którymi można nie tylko tańczyć, ale i rozmawiać! — powiedział obejmując ją mocno ramieniem.

— Skąd pan wie? — zapytała dość głupio.

— Przecież przed chwilą już rozmawialiśmy... Wie pani, ja szalenie lubię kobiety, które nie mają w sobie nic z tak zwanych „kociaków”.

— Szkoda! — odparła Xenia z uśmiechem. — Bo ja posiadam duszę kociaka.

— Nie wierzę. To już raczej ta znajoma, z którą pani siedzi...

— No, ona jest typowa... — rzekła Xenia z prawdziwą satysfakcją. — Ale to bardzo porządna dziewczyna. Widzę, że jeden z pana kolegów przyszedł poprosić ją do tańca. Całe szczęście, bo już zaczęła się nudzić.

— Tak. On lubi tego rodzaju kobiety. A ten pan przy stole to może... pani mąż?

— Ach, skądże znowu! — zaprzeczyła gwałtownie. — To kolega. Mój mąż będzie zupełnie inaczej wyglądał.

— „Będzie”, to znaczy, że na szczęście jeszcze go nie ma?...

— Może pan być pewien, że już się urodził, tylko nie wiadomo, gdzie.

Spojrzał na nią z góry jakimś czułym spojrzeniem. — Nigdy

nie wiemy, gdzie się znajduje nasza druga połowa, ta, która nam jest przeznaczona.

— Pańska może na księżycu, bo tam „kociaków” nie ma...

— Skąd ta pewność? — roześmiał się i niby niechcący musnął ustami jej włosy.

Orkiestra niespodziewanie urwała. Cała tańcząca młodzież zaczęła z zapalem klaskać. Ale muzycy zastygli, znieruchomieli; instrumenty przestały żyć, stały się martwe. I nagle, jak z nastawionego na jazz odbiornika radiowego, buchnęły, zwały się na salę drgawki melodii rock and rolla. Parkiet zaczął szaleć. Nieznajomy zagarnął Xenię ramieniem, tak jak się zagarnia naręcze kwiatów — gestem czułym i obronnym. Zapanowało między nimi milczenie pełne obopólnego zachwyty.

Och, żeby przemówił! — pomyślała spłoszona i zalekniona. — Jeśli przemówi, będę wiedziała, że to ten sam miły przygodny tancerz, którego już nigdy zapewne nie spotkam... A tak... będzie mi się może zdawało... że to szczęście!

I przemówił. Czar prysnął.

— Czy pani tańczy rock and rolla?

— Mogę zatańczyć, choć nigdy tego nie tańczyłam. Będziemy robić to co inni, tylko bez tych wszystkich wyglupów.

— Właśnie, bez tych wyglupów. Gdzie i kiedy będę mógł panią spotkać?

— Nigdzie. Wyjeżdżam na urlop.

— Wolno wiedzieć, gdzie?

— Nad morze...

— Teraz? W maju? Morze będzie zimne... A czy nie mogliśmy się przedtem spotkać w jakiejś kawiarni?

— Chciałabym, ale nie mogę. — Uchwyciła mocniej jego rękę, która była ciepła i mocna. — Niech pan mi wierzy, że nie mogę.

— Rozumiem — odparł zimnym tonem — ma pani kogoś.

— Nie mam nikogo i... nie będę miała...

— Taka pani pewna?...

Xenia w tej chwili spojrzała przelotnie na salę i nagle... nagle potknęła się i nadepnęła swemu tancerzowi na nogę. Przyjrzał się jej ze zdziwieniem... Zbladła i przestała tańczyć.

— Czy pani się coś stało?

— Muszę wyjść! Natychmiast!... Muszę stąd odejść!

— Odprowadzę panią do stolika.

— Nie, nie, chwileczkę... — Pociągnęła go nagle w przeciwny róg parkietu, pod samą ścianę, w tłum tańczących.

A tymczasem karakułowa mama i jej córka Edyta kroczyły przez salę w towarzystwie bladego młodzieńca w okularach, rozglądając się za wolnym miejscem. Cała trójka przecięła parkiet, potrącana przez tańczących, i szybko pospieszyła w stronę baru, aby dopaść małego stolika, od którego wstawało jakieś towarzystwo, żegnane niskim ukłonem przez kelnera.

— Teraz! — szepnęła Xenia, ciągnąc za rękę zdumionego jej zachowaniem tancerza.

Zwinnie prześliznęli się pośród tańczących i podążyli w kierunku stolika, gdzie siedział Ofermacz z Grażyną, która przed chwilą przestała tańczyć.

— Do widzenia panu! — rzuciła szybko i nie oglądając się za nim rzekła do siedzących: — Ja was bardzo przepraszam, ale muszę zwiewać. I to momentalnie!

— Co się stało?

Stwierdziwszy, że jej tancerz wrócił już do swojej kompanii, Xenia prędko wyjaśniła, co zaszło:

— Jak na złość przyszła moja gospodyni. Razem z córką. Mogłyby mnie poznać!

Wyjęła z torebki pieniądze, położyła je na stole i już jej nie było.

Rozglądała się za taksówką, gdy dopadł ją Józek.

— Co ty wyprawiasz? Zachowujesz się wręcz skandalicznie. Najpierw, będąc w moim towarzystwie, tańczysz z jakimś nieznanym facetem, potem uciekasz i zostawiasz mnie z tym obcym kociakiem... Ostatni raz udało ci się namówić mnie na taki wyglup! Nigdy więcej z tobą nigdzie nie pójdę!

— Och, Józku! — jęknęła. — Wybacz mi! Ale nie mogę ryzykować, żeby mnie te baby poznały. Zrozum, że jestem w kobiecych kieckach. Bądźże rozsądny! Wprawdzie im mówiłam, że mam siostrę bliźniaczkę, ale lepiej, żeby się nie spotykały z tą „siostrą”. Mam nadzieję, że mnie nie widziały. I tak już matka ma co do mnie jakieś podejrzenia... Wiesz co?

— Co?



— Czy chcesz mi wyświadczyć wielką przysługę?

— Ani mi się śni!

— Błagam cię, idź i zatańcz z córką mojej gospodyni. Powiedz jej przy tym, że znasz dobrze Hektora Kasprowego, że to twój najlepszy przyjaciel...

— Tyś już z kretešem zbzikowała!

— Józku! Póki jeszcze muszę grać tę komedię, niech to będzie przynajmniej czysta robota. Twoje słowa będą dowodem, że Hektor Kasprowy naprawdę istnieje.

— Przecież pokazałaś im chyba swoją, a raczej kradzioną legitymację?

— Nie pokazałam. Nie jestem u nich meldowana. No, idź już, idź, kochany, i zatańcz z tą gąską, a ja pojedę na Pragę do ciotki.

— Ale skąd ja mam wiedzieć, która to? — spytał bardzo przytomnie Józek.

— Poznasz po mamie, która ma na głowie wielką czapę kręconych, czarno-srebrnych włosów i aksamitną suknię koloru bordo.

Zatrzymała przejeżdżającą właśnie taksówkę, wskoczyła do środka i odjechała, machając przez okienko ręką.

Oparła głowę o poduszki wozu i marzyła... Dzisiaj była kobietą i wolno jej było marzyć o... miłości.

Kim mógł być jej nieznajomy tancerz? Wyrażał się poprawnie, widać, że kulturalny chłopak... Inżynier? Prawnik? Malarz? Literat?... Za mało było czasu, aby się dowiedzieć. Zresztą, cóż by jej z tego przyszło? Spotykałaby się z nim jako kobieta, potem zaś, ujrawszy ją przypadkowo w męskim przebraniu, pomyślałby, że wariatka... Lepiej, że się bliżej nie poznają... Zostanie miłe wspomnienie. Ładne, delikatne, a przy tym trochę zmysłowe — jak perfumy „Soir de Paris” — jedna kropelka na sukni... Dobrze się stało... Potem to rozczarowanie — jak na sztuce, której pierwszy akt jest znakomity, drugi trochę gorszy, a trzeci do chrzanu!

Zaczęła przymierzać do miłego tancerza różne wady. Więc, na przykład, okazuje się przy bliższym poznaniu, że jest skąpy. Z jej szeroką naturą byłoby to nie do zniesienia! Albo pijak.



Brr! Aż się otrząsnęła. Nienawidziła pijaków. Snob? Też wstręt-na przywara. Lizus? Tchórz? Awanturnik?...

Jak to? Więc nie ma sympatycznych wad? Chyba tylko roz-rzutność... I to w stosunku do własnej kobiety... Ale to jest raczej zaletą — uśmiechnęła się.

Józek wrócił na salę zły i naburmuszony. Głupio mu było, że zostawił Grażynę samą przy stoliku, ale ujrawszy, że tańczy z kimś, uspokoił się trochę.

Też pomysł — złościł się na Xenię — proponować mi, żebym prosił do tańca lafiryndę, córkę gospodyni, i jeszcze w dodatku bujał pannicę, że znam tego Kasprowego! Nie pójdę! Nie poproszę! I co mi robi? Po co mnie miesza w tę całą durną kabałę? Nie wolno tak wyzyskiwać przyjaciół. Człowiek ma dość własnych kłopotów, żeby sobie brać jeszcze na kark cudze! Xenia ma źle w głowie, ale ja mam dobrze i dlatego nie ruszę się od stolika. Poza tym nie lubię tańczyć i tańczy źle... — usprawiedliwiał się w myśli sam przed sobą.

W zdenerwowaniu zaczął układać zapalki na stole, zapalił papierosa i rozejrzał się uważnie po sali.

Przy stoliku w pobliżu baru zauważył przysadzistą damulę w sukni bordo, obok niej siedziała panna cała ubrana na niebiesko.

— Nawet niebrzydka — zauważył mimo woli.

Panna rozmawiała z młodzieńcem w okularach i co chwila spoglądała do lusterka puderniczki.

Poczekaj, przerwę ja ci to mizdrzenie się i ten flircik z okularnikiem — pomyślał złośliwie. Spokojnym krokiem przeszedł salę, stanął koło ich stołu i poprosił pannę do tańca. Mama zrobiła minę zdziwioną i przyjrzała mu się od stóp do głów. Pannienka za to momentalnie się poderwała, jak gołąbek, któremu rzucono ziarno, i wyfrunęła z nim na środek parkietu. Nogi jej się plątały w zeznaniach tangowych, więc zaproponował, aby poszli do baru i napili się czegoś zimnego.

— Znam pani lokatora — dodał przy tym mimochodem. — To mój kolega i przyjaciel.

— Kasprowy? — ucieszyła się.

— Tak, Hektek. Byczy chłopak!

— Byczy — to nie jest właściwe określenie. Przeciwnie, szalenie subtelny, delikatny, może nawet zanadto, jak na młodego mężczyznę. Ale skąd pan wie, że on mieszka właśnie u nas?

Józek zastanowił się przez sekundę, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć. Na koniec wybrnął z kłopotu.

— Pokazywał mi kiedyś panią przez okno, jechaliśmy tramwajem, a pani szła właśnie przez Aleje.

— Możliwe... — spojrzała na niego z sympatią. — Ale że pan mnie zapamiętał...

— Takich oczu się nie zapomina!

Gołąbek zagruchał jakimś z głębi piersi wydobytym śmiechem:

— Moje oczy pan widział z okna tramwaju?

— Właśnie spojrzała pani w naszą stronę...

Zeszli z parkietu i przeszli przez salę, nie zatrzymując się przy stoliku, choć karakułowa mama obserwowała to z nieopisanym zdumieniem, a błąd młodzieniec w okularach — z niemym oburzeniem. Przy barze, na wysokim krzeselku, siedział ów nieznajomy, który poprzednio tańczył z Xenią. Teraz popijał samotnie. Spojrzał na Ofermacza, przypomniał sobie, że widział go w towarzystwie swojej tancerki i zwrócił się do niego:

— Napije się pan ze mną? Poproszę panią o dwie duże!

— Nie piję! — rzekł Józek stanowczym głosem.

— Ja także nie. Dziś wyjątkowo. Uciekła mi przepióreczka w proso! Panie, pan mnie nie zna — mówił już głosem lekko zamazanym — ja pana także nie znam, ale niech mi pan powie, kto to była ta pani, która z panem siedziała?

— Moja koleżanka — odparł sucho Józek.

— Jak koleżanka, to koleżanka, trudno. Ale dlaczego ta koleżanka tak ode mnie uciekła? Co ja jej zrobiłem?

— Chodźmy stąd — szepnął Józek do swej towarzyszki. — Za dużo tu pijaków, docisnąć się nie można...

— Raz w życiu człowiek trafi na swój typ, a pan mówi, że to koleżanka... i że wobec tego miała prawo porzucić mnie na środku sali... No, bo jest pana koleżanką. Poproszę jeszcze jedną dużą!...

— Więc jeśli chodzi o Kasprowego, to... — zagaiła poprzednim tonem Edyta odchodząc od baru.

— Kto tu mówi o Kasprowym? Kasprowy to ja! — zawołał niespodziewanie nieznajomy i wpił nie bardzo przytomne oczy w przerażoną twarz Józka.

— Chodźmy! Chodźmy! — Edyta była z lekka przestraszona.

— Ten pan jest kompletnie zalany! — mruknął Józek i ująwszy Edytę energicznie pod ramię poprowadził ją w stronę stolika, gdzie czekała zaniepokojona karakułowa mama.

— Dlaczego ten pan powiedział, że jest Kasprowym? — zapytała dziewczyna podejrzliwie.

— Typowe rozdwojenie jaźni na skutek nadużycia alkoholu. Równie dobrze mógł powiedzieć, że jest Giewontem.

— A może to jego brat albo kuzyn?...

— I to możliwe. Ale przede wszystkim pijak!

— Kto to była ta koleżanka? I dlaczego mu uciekła?

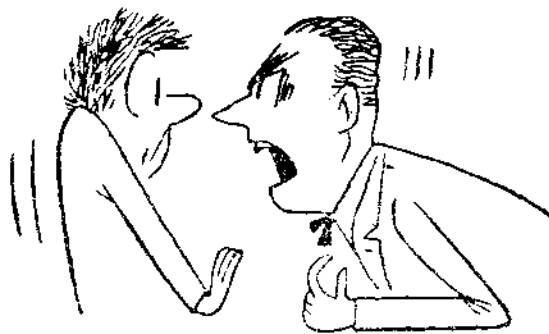
— Koleżanka z redakcji. Miła dziewczyna, ale musiała odejść, bo pracuje w nocnej redakcji i musi przyjąć telegramy do jutrzejszego numeru — błagował jak z nut.

— Aha! A może pan kiedyś odwiedzi u nas pana Hektora? Bardzo bym się cieszyła... My z matuchną przepadamy za nim, ale ja na przykład wolę bardziej męskie typy. On taki jeszcze dzieciuch... Bardzo zresztą inteligentny, ale jako mężczyzna to nie tego... Trochę zniewieściały... Z początku szalenie mi się podobał, ale potem przekonałam się, że to nie mój typ.

— A pani woli bardziej rosochatych, bardziej muskularnych, chciałem powiedzieć?

— Tak — odparła z całą swoją bezgraniczną naiwnością — coś tak, jak pan...

Pocałował pannę w rączkę, skłonił się godnie karakułowej mamie i wrócił do swojego stolika — ni to rozbawiony, ni to poważny.



Rozdział XI

Gdy nazajutrz rano Xenia, jak gdyby nigdy nic, przyszła do redakcji, Józek zerwał się od biurka, podbiegł do niej i poprosił ją o chwilę rozmowy.

— Słuchaj — zaczął — twoja komedia omyłek komplikuje się. Czy wiesz, kim jest twój wczorajszy tancerz?

— Ten uroczy młody człowiek?

— Uroczy, uroczy — mruknął ze złością Józek — pijak wstrętny! Więc to jest właśnie Hektor Kasprowy.

— Cooo? To okropne! — Xenia opadła na krzesło i zasłoniła oczy ręką. — Skąd wiesz? — wyszeptala.

— Sam się po pijanemu przyznał. Ale to jeszcze nie wszystko, była przy tym ta twoja pupilka, czy jak ją tam nazwać... No, córka twojej gospodyni.

— Neeee! — wrzasnęła Xenia tak głośno, że siedzący przy sąsiednim biurku kolega obejrzał się zdziwiony. — W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak popełnić samobójstwo. Taka kompromitacja!...

— Nie martw się, był zalany. Wy tłumaczyłem panience, że powiedział to po pijanemu.

— On? Jak odchodziłam, był zupełnie trzeźwy.

— Ale przez ciebie się zalał. Plótl, że jesteś jego typem, że go zostawiłaś na środku parkietu i tym podobne rzeczy. Aleś nawarzyła piwa, moja panno. To już nawet nie piwo, ale jakiś gęsty krupnik.

— I co teraz zrobić, Józku? — Xenia była w tej chwili biedną, małą, nieszczęśliwą dziewczynką.

Józkowi żal się jej zrobiło.

— Idź, znajdź go gdzieś i przyznaj się, że mu zwędziłaś legitymację. Uważam, że tak by było najuczciwiej.

— Za żadne skarby świata! Co by sobie o mnie pomyślał? Nie, nie zrobię tego! Zresztą — gdzie go będę szukać?...

— Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz mnie posłuchać. Przecież skoro mu się tak spodobałaś, to cię nie pozwie do sądu o oszustwo i na pewno ci wybaczy. A jeśli ma poczucie humoru, to się tylko uśmieje z tej całej historii.

— Ale o jednym nie wiesz... On mi się tak szalenie podoba... Już dawno nikt mnie tak nie zainteresował. I to właśnie ja musiałam zrobić temu człowiekowi podobne świństwo!... Neeee, to straszne! Chciałabym się teraz pod podłogę schować!

— W tym domu jest na pewno piwnica, idź tam, jeśli to ci tylko przyniesie ulgę...

— Nie kpij sobie, to wszystko razem jest potworne!

— Słuchaj, dam ci dobrą radę: ucieknij od tych bab i zmyl pogonie. Może spotkasz jeszcze gdzieś swój ideał na mieście... Nic mu nie mów o swojej męskiej skórze i o tym, że byłaś Hektorem Kasprowym, tylko bądź dalej tą, którą poznał w „Kamerze”. To takie proste.

— Wcale nie takie proste... Moje baby z pewnością zawiadomią milicję, *zaczną mnie szukać...

— Udać, że musisz nagle wyjechać.

— I gdzie wówczas zamieszkać? Wolę wszystko niż spędzić jeszcze jedną noc u ciotki!

— Więc może u tej twojej Grażyny?...

— Grażyna mieszka z cudzą babką...

— Wolałbym spać na dworcu w poczekalni z cudzymi babkami niż dalej tak okłamywać ludzi! — rzucił Józek z pasją.

— Mnie to już też obrzydło. Będę teraz szukać innego pokoju ze zdwojoną energią... Mój Boże! — jęknęła po chwili Xenia. — Po co ja w ogóle chodziłam do tej przeklętej „Kamery”?...

Patrząc teraz na nią, nikt by nie przypuszczał, że bywała młodym, energicznym chłopcem...

— Kismet! — zauważył sentencjonalnie Ofermacz i zaraz

dodał trochę złośliwie: — Ale w tym typku nie radzę ci się durzyć...

— ?...

— Pijaczyna?

— Już ja bym go potrafiła oduczyć od picia — rzekła typowo po kobiecemu.

— Mam wrażenie, że masz względem niego nie tylko poważne przewinienia, ale i poważne zamiary.

— I tak już pewnie nigdy w życiu się nie spotkamy. On mieszka gdzieś pod Warszawą...

Powróciwszy po pracy do domu Xenia spotkała w przedpokoju Edytę.

— Gdzież to się pan tak lumpował przez pół dnia i całą noc?

— zapytało ją dziewczę z miną filutki.

Z jednej strony ucieszyła się, że wszystko jest po dawnemu, z drugiej zaś zmartwiła, że tak jest, jak było.

Na tę małą nie ma sposobu! — pomyślała. — Jeżeli po tym, co powiedział niegdyś Acuś, i teraz, po wyznaniu autentycznego Kasprowego, nie domyśliła się prawdy, to w takim razie, gdybym weszła z powrotem w kobiecą skórę, myślałaby, że jestem mężczyzną, który się przebrał za kobietę. Tutaj chyba działa najsilniej autosugestia. Jej marzenie, aby mieć sublokatora męzczyznę, było tak silne, że gdybym się nawet przyznała do wszystkiego, nie uwierzyłyby mi! Właściwie idealny typ na żonę. W każdym niedołędze i lamadze widziałyby wspaniałego samca i byłyby z nim niezmiernie szczęśliwa. Jest to zanikający typ kobiety, z którą mężczyzna może robić, co zechce. Jeśli się kiedyś dostanie pod wpływ porządnego człowieka, będą z niej jeszcze ludzie... Ja już i tak z tego przedwojennego ciasta zrobiłam dużo. Uzdrowiłam ją fizycznie, odhisteryzowałam. A więc to wszystko, cała ta moja głupia komedia komuś się jednak przydała. Edyta jest teraz naprawdę miłą, prostą dziewczyną, a że kocha mężczyzn, to już trudno — taka jej natura, natura puszystej, czarnej kotki... I, tak jak kotka, będzie na pewno nadzwyczajną matką, kochającą nade wszystko dzieci swego samczyka...

Tak rozmyślała Xenia, ażeby się jakoś we własnych oczach zrehabilitować.

— Poznałam pana przyjaciela — rzekła po chwili Edyta, nie doczekawszy się odpowiedzi na poprzednie pytanie. — A bo wie pan — byliśmy wczoraj w „Kameralnej” z mamą i jednym naszym kuzynem.

— Taaak? — zdziwiła się Xenia nieszczerze.

— Ten przyjaciel mówił o panu tak sympatycznie. „He-kték”.. Podobno jest pańskim kolegą.

— Taki raczej niski, krępy brunecik?

— Nie zauważyłam, żeby był niski. Szalenie miły i dobrze wychowany. Cudnie się z nim tańczyło! Aha, i był w barze taki jakiś pijany kolega, który twierdził, że to on jest Kasprowym...

— Doprawdy? To zabawne.

— Może jakiś kuzyn pana?

— Możliwe, Kasprowych jest jak psów. Nie powiedział przypadkiem swojego imienia?

— Nie miał na to czasu, bo ten dobrze wychowany młody



...KASPROWYCH JEST JAK PSÓW!..

człowiek zabrał mnie stamtąd. I słusznie — z pijakami to nigdy nie wiadomo... Chciał się koniecznie napić z pana kolegą, bo twierdził, że ma chandrę, ale pana kolega kategorycznie mu odmówił. Nie cierpię pijaków! — dodała ze złością.

— Ja też! — odparła Xenia, po czym posmutniała, zwiędła, jak gdyby cała ta rozmowa kosztowała ją dużo wysiłku.

Uśmiechnęła się do Edyty i poszła do swego pokoju.

Od czasu tej dziwnej historii Xenia straciła humor i spoważniała. Nie wiedziała, co ma z sobą dalej robić. Czy dać ogłoszenie do gazet, że „niejaki” Hektor Kasprowy ma w redakcji „Głosu Prawdy” swoją legitymację do odebrania? Czy żyć dalej tak jak dotychczas i zapomnieć o wieczorze w „Kameralnej” oraz o tancerzu, który jej utkwiał w sercu jak cień?

Jeśli da ogłoszenie, gazeta wpadnie z pewnością w ręce karakułowej mamy i jej córki. I co wówczas? Jakże będzie wyglądała w ich oczach?

Nastąpił jednak cały splot wydarzeń, które miały zdecydować o dalszych losach Xenii.

Człowiek bardzo często bywa wysłańcem losu dla innych ludzi, sam o tym nie wiedząc. Takim wysłańcem losu była Xenia, gdy zapoznała Józka z Edytą.

— Słuchaj, kiedy ja bym cię mógł odwiedzić w Alei 3 Maja? — zapytał Józek pewnego dnia.

Xenia zdziwiła się — nigdy dotychczas jej tego nie proponował, raptem teraz!

— Przyjdź! Bardzo proszę! — zawołała. — Kiedy tylko zechcesz. Obecnie prawie wcale nie wychodzę po południu z domu. Motor nawalił, siedzę i pracuję...

— Nie chciałbym ci przeszkadzać.

— Ależ ja się bardzo cieszę, gdy mi ktoś przeszkodzi w pisaniu; jestem wtedy zupełnie wytłumaczona...

— A tę małą też możesz zaprosić do siebie?

— Ach tak! — Xenia przygryzła wargi, żeby się nie roześmiać. — Miła dziewczyna, prawda? — spytała nie patrząc mu w oczy, by się nie zmieszał.

Józek zapalił papierosa.

— Taka sobie... Zdziwiająco naiwna.

Umówili się na dzień i godzinę.

— Niech pani przyjdzie dziś do mnie o piątej — rzekła Xenia do Edyty. — Będzie ten mój przyjaciel, którego poznała pani w „Kameralnej”.

Edyta ogromnie się ucieszyła.

— Ten przemiły pan? Ach, jak to dobrze!

Xenia przygotowała wino, ciastka, i poprosiła gospodynię aby zaparzyła mocnej kawy.

— Już wiem, że będzie pan miał gości! — uśmiechnęła się swoim „złotolitym” uśmiechem karakułowa mama. — Kolegę. Mówiło mi dziecko, że to taki kulturalny i miły młodzieniec.

— Wszyscy moi koledzy są mili i kulturalni.

Edyta wystroiła się do „dostojnego gościa”, jakim był dla niej każdy młody mężczyzna. Włożyła nylonową białą bluzkę i perełki na szyję. Czarne włosy rozpuściła na ramiona, a oczy podkreśliła ciemnym ołówkiem. Ujrawszy ją, matka klasnęła w ręce.

— No, czy ona nie jest zachwycająca? Niech pan sam powie, panie Hektorze! Anioł, istny anioł!

— Udała się pani! — rzekła Xenia obojętnie.

— Niech mama przestanie... — rzekł „anioł” — to takie śmieszne...

Józek przyszedł punktualnie, mało mówił i był pełen godności. Gdy Edyta na chwilę wyszła z pokoju, Xenia roześmiała się i rzekła:

— Słowo daję, w tym ciemnym ubraniu i z tą namaszczonej miną wyglądasz na konkurenta.

— Proszę cię, przestań! — rozzłościł się. — Wolno mi robić, co mi się podoba.

— Napij się wina, to ci dobrze zrobi.

Była niesłychanie ubawiona tą nową sytuacją. Edytę uważała po trochu za swój wynalazek, za swoje dzieło i była raczej zadowolona, że dziewczyna podoba się Józkowi; jednakże odczuwała pewną przykrość na myśl, że on, ten jej jedyny przyjaciel i powiernik, ukrywa przed nią, iż się interesuje tą małą.

— Józek — rzekła do niego któregoś dnia — chodź dzisiaj ze mną do kina.

— Nie mogę, jestem zajęty.

— Czemu nie powiesz po prostu, że idziesz gdzieś z Edytą?

— Co ty sobie wyobrażasz? — oburzył się. — To bardzo przyzwoita dziewczyna, która by sama z mężczyzną nigdzie nie poszła.

— Ty kłamco! — parsknęła śmiechem. — Nie dalej jak wczoraj widziałam was idących pod rękę Alejami Ujazdowskimi.

— Chyba przechodziliśmy przez jezdnię! — odparł czerwony jak burak. — Każdy mężczyzna, gdy przechodzi z kobietą przez jezdnię, bierze ją pod ramię.

— Nie o to chodzi — dokuczała mu — ale przecież powiedziałeś, że ona się nigdzie z tobą sama nie pokazuje.

— A co to ciebie obchodzi? — odburknął niegrzecznie. — Twoja sprawa czy moja?

— Och, Józku, Józku! — westchnęła i zrobiło się jej nagle bardzo przykro.

Stosunek Edyty do niej też uległ zmianie. Stała się jakaś obca, zimna, milcząca. Czego ja narobiłam — myślała biedna Xenia. — Po co ich z sobą poznałam...

Poczuła się osamotniona i uboga. Coraz częściej myślała o prawdziwym Kasprowym i była już zupełnie zdecydowana wyznać mu całą prawdę. Ale gdzie go szukać?

Zacząła chodzić po kawiarniach, do kina, teatru. Raz nawet wieczorem, w kobiecym stroju, zajrzała do „Kameralnej”. On jednak przepadł jak kamień w wodę!

Karakułowa mama też była teraz jakaś mniej uprzejma niż dawniej. Ustały śniadanka przynoszone przez gospozię do łóżka. Mówiła, że jest bardzo zajęta i nie ma czasu obsługiwać pana lokatora. Xenia więc robiła sobie kawę w pokoju na maszynie, a wieczorem kupowała masło i bułki w sklepiku.

Pewnego dnia cały powód tej dziwnej zmiany wyszedł na jaw.

— Józek — rzekła Xenia, gdy zostali sami w pokoju redakcyjnym — powiedz mi, dlaczego w stosunku do mnie tak się ostatnio zmieniłeś?

— Zdaje ci się...

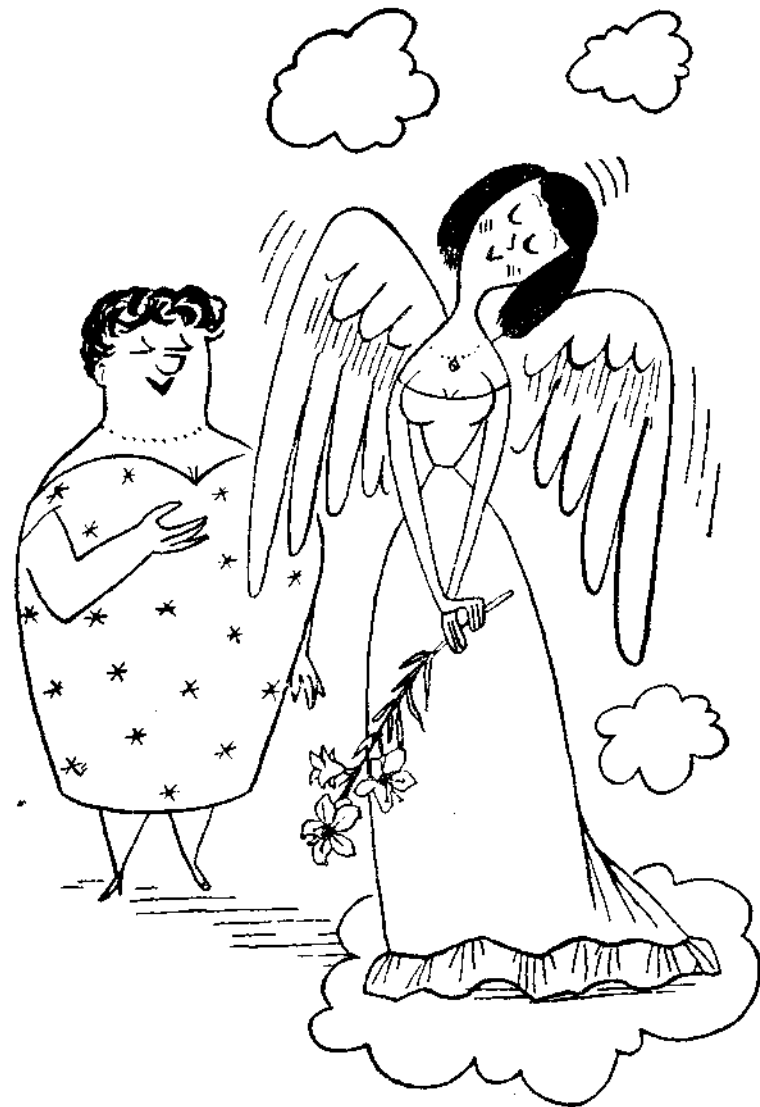
— Popatrz mi w oczy, łobuzie? O co chodzi?

— O nic, zaręczam ci...

— Masz zamiar się żenić?

I wówczas Józek nie wytrzymał. Wybuchnął.

— Taak! Żenić się! A gdzież ja z żoną zamieszkać? Mam ją



wprowadzić do swojej kawalerki, gdzie mieszka trzech kawalerów?...

— Ach, więc o to chodzi... — zagryzła wargi.

Przyszło jej na myśl, że przyjaźń kończy się wówczas, gdy się zaczyna miłość... do kogoś innego!

— Trzeba mi było od razu powiedzieć. Rozumiem, ożeniłbyś się, gdyby mój pokój był wolny, tak?

— No tak... — wyznał Józek i wyciągnął do niej obie ręce. — Gniewasz się?

— Nieee, skąd, przykro mi tylko, że byłeś ze mną taki nieszczery... I Edyta też... Trzeba było powiedzieć, jak człowiek do człowieka, o co chodzi.

— Ach, nie mówmy już o tym! — rzekł szybko. — Zapłaciłaś za pół roku z góry, masz prawo mieszkać. Ja może dla nas coś znajdę, będę szukać.

— Nie szukaj — rzekła Xenia — ja i tak mam zamiar skończyć z tą głupią komedią... Nie wiem, może zrezygnuję z Warszawy i przeniosę się do matki, do Krakowa... — W tym momencie głos jej się załamał. — W każdym bądź razie wyniosę się z tego pokoju, nie chcę wam „siedzieć” na drodze do szczęścia! — To ostatnie słowo wypowiedziała z leciutką ironią.

— Ty mnie już nie lubisz! — zawołał Józek dawnym, ciepłym tonem.

— Lubię — odparła — ale już nie tak jak dawniej... Trzeba było ze mną w tym wypadku szczerze postępować. Przekonałam się — dodała po chwili — że nie można na ludzi liczyć... Nigdy na ludzi, tylko na człowieka... na swojego człowieka... — dorzuciła cicho.

Gospodyni Xenii miała w Łodzi brata, lekarza, do którego od czasu do czasu jeździła. Tego dnia wracała właśnie do Warszawy dziennym pociągiem i z zapalem rozmawiała ze swą warszawską znajomą, która siedziała naprzeciwko niej. Pod oknem jakiś młody człowiek czytał „Problemy”.

— Odremontowałam nareszcie moje mieszkanko na Żoliborzu — mówiła znajoma karakułowej mamy — i szukam na jeden pokój lokatora.

Młodzieniec pod oknem drgnął i odłożył na chwilę pismo.

— Oczywiście — ciągnęła dalej damula — nie może to być w żadnym wypadku kobieta.

— Doskonale panią rozumiem! — zarechotała gospodyni Xenii. — Lokatorki są niemożliwe! Piorą, gotują, prasują!

— I co gorsza — dorzuciła jej znajoma — chlapią się cały ranek i wciąż zajmują łazienkę.

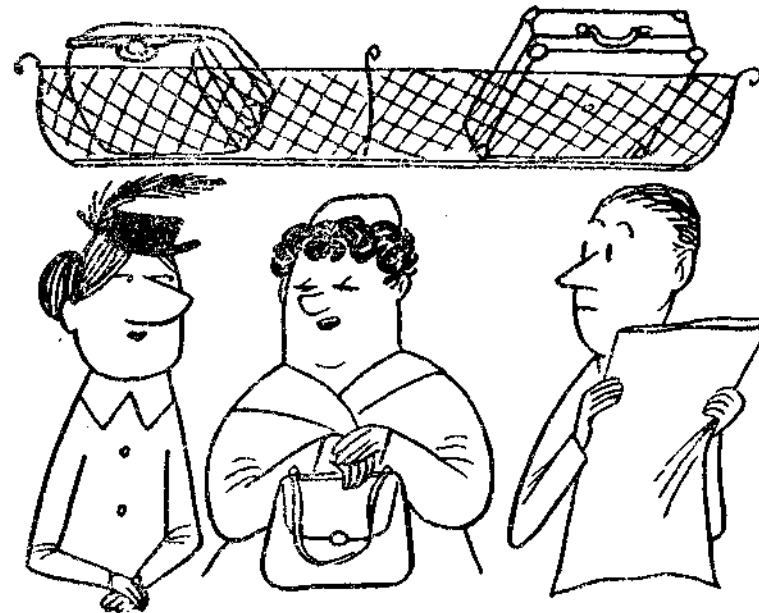
— Mam dla pani stosownego lokatora — rzekła nagle karakułowa mama i energicznie poprawiła kapelusz, który wskutek ruchu pociągu zsunął jej się na czoło. — Młody, sympatyczny, wypłacalny, mówię pani: ideał!

— Któż to taki? — zainteresowała się tamta.

— Mój lokator. Widzi pani, córka mi się zaręczyła. Dziecko takie i zachciało jej się wyjść za mąż.

— To się zdarza...

— No i potrzeba dla nich pokoju... Inaczej nigdy bym się nie pozbywała tego młodzieńca. Mówię pani, co za chłopak! Nie pije, nie urządza żadnych rozróbek, aż nazbyt spokojny jak na młodego mężczyznę!



— Dawać! — rzekła łakomie paniusia. — A jak on się nazywa? Czy to ktoś z przyzwoitego towarzystwa? Bo nie chciałabym hołoty jakiejś do domu wpuszczać!

— Nazywa się skromnie. Być może, że jest chłopskiego pochodzenia, ale nie znać tego po nim... Na imię mu Hektor, tak dosyć nawet starożytnie, ale za to nazwisko tylko... Kasprowy.

— Cooo?! — krzyknął nagle młodzieniec, siedzący pod oknem. — Jak?

— Hektor Kasprowy — odparła karakułowa mama i spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Ha-ha-ha-ha! — zaśmiał się zdrowym śmiechem młody mężczyzna. — To paradne!

— Wcale nie paradne! Nazwisko, powiedziałabym, raczej skromne...

— Coraz lepiej! A to ci heca! — Śmiał się teraz drwiąco i patrzył na nią ironicznym wzrokiem.

— Nie rozumiem, dlaczego pan się tak śmieje. Ostatecznie różne są teraz nazwiska... Znam o wiele gorsze...

— Oczywiście! — dodała jej znajoma. — Zresztą nie nazwisko zdobi człowieka, ale wychowanie, kultura, wykształcenie...

— Właśnie — przytaknęła gospodyni Xenii — a on ma duże wykształcenie i kulturę. Jest z zawodu dziennikarzem.

— Dziennikarzem? — powtórzył ze śmiechem nieznajomy.

— Coś takiego! I taki kulturalny, pani powiada?...



— Cóż w tym dziwnego? Ale pan chyba go zna, skoro to nazwisko zrobiło na panu takie wrażenie...

— Czy go znam? — teraz już niemal zaczął się dusić od śmiechu. — Pewnie, że go znam, i to od małego... Od takiego szczeniaka! Ach — rzekł do siebie — co za pyszna historia!

— Może to pana kolega?

— Jeśli pani chce wiedzieć prawdę, to tak. Kochamy się w każdym razie bardzo.

Matka Edyty uśmiechnęła się.

— To może go pan odwiedzi, póki jeszcze mieszka u nas?...

— Oczywiście, zaraz jutro! — zapalił się nieznajomy. — Poproszę o dokładny adres.

Wyjął notes, zapisał, uśmiechnął się, podziękował i wysiadł na którejsz z podwarszawskich stacji.

— Ach, drogi panie Hektoru! — rzekła karakułowa mama, przyjechawszy z dworca do domu. — Mam dla pana wspaniałą wiadomość!

— No, cóż takiego? — spytała Xenia bez entuzjazmu.

— Będzie pan miał pokoik u mojej znajomej, która gwałtem pragnie mieć sublokatora mężczyzną. Świeżo wyremontowane mieszkanko, z wygodami, cacko! Gospodyni osoba kulturalna, miła, wesoła. Będzie tam panu jak w raju!

— Nie chcę raju — odrzekła Xenia z westchnieniem — nie chcę sublokatorskiego pokoju.. Wyjeżdżam niedługo do Krakowa, do mojej matki...

— Jak to? Chce pan porzucić Warszawę? Naszą Warszawę?

— Tak — westchnęła Xenia z głębokim żalem — moją Warszawę, która mnie odpycha, która mnie nie chce...

— Co pan plecie? Jak to nie chce? Czy myśmy pana nie chcieli? Czy było nam razem źle?

— Było aż za dobrze, ale zaszły tego rodzaju okoliczności, że... przestało być dobrze.

— No, trudno, proszę pana. Los! Siła wyższa! Skoro dziecko chce gwałtem wyjść za męża... Trudno się dziecku sprzeciwić... Zaszкодziłoby to jej na zdrowiu... Zresztą pana kolega jest tak dobrym i porządnym chłopcem, że doprawdy nie widzę żadnych przeszkód uniemożliwiających to małżeństwo. Tro-

chę mnie razi jego nazwisko, ale cóż: za nazwisko człowiek nie odpowiada...

— A jak odpowie, to... niegrzecznie! — odparła ze złością Xenia.

Nie rzekłszy już ani słowa weszła szybko do swego pokoju i gospodyni nie miała okazji, by jej opowiedzieć o dziwnym nieznanym, spotkanym w pociągu.

Rozdział XII

Następnego dnia po południu, gdy Xenia wróciła z redakcji i zmęczona, zupełnie zniechęcona do życia położyła się na tapczanie, ktoś nagle zadzwonił. Usłyszała otwieranie drzwi, potem jakiś męski głos, jak gdyby znajomy, pytający o coś czy o kogoś, i donośny głosik gospodyni, która zawołała:

— Ależ jest, jest, na pewno bardzo się ucieszy!

Rozległo się pukanie do drzwi pokoju Xenii.

— Panie Hektorze!

— Proszę! Co takiego?

— Ktoś do pana. Kolega.

I wówczas stało się coś wręcz nieprawdopodobnego, coś co przeszło wszelkie oczekiwania!

Na progu stał jej tancerz z „Kameralnej” i patrzył na nią wzrokiem ubawionym, a zarazem niezmiernie zdziwionym.

— Hektorku! — zawołał i łupnął oniemiałą Xenię w plecy.

— Jak się masz, stary draniu!

Gospodyni, uśmiechnięta gościnnie, cofnęła się i znikła w korytarzu.

Dwóch Hektorów stało naprzeciw siebie — ~~ten~~ fałszywy i ten prawdziwy.

— A więc to pani! — rzekł prawdziwy i usiadł w fotelu.

Kiwał głową i przyglądał jej się na pół ironicznie, na pół z rozczuleniem.

— Na miłość boską, ciszej! — jęknął na to fałszywy. — Po

co mają się domyślić, kim jestem naprawdę... Proszę nie mówić do mnie „pani”.

— A więc, „kolego”, co to ma znaczyć? To przebranie i ta komedia pod płaszczykiem Hektora Kasprowego?

— Proszę mnie wydać w ręce milicji! — szepnęła Xenia. — Jestem oszustem i złodziejem... Złodziejką — poprawiła się.

— O milicji nie ma mowy — odparł spokojnie prawdziwy Hektor. — Mogłem od razu ogłosić w prasie, że unieważniam legitymację. Nie zrobiłem tego jednak, bo zmieniłem zawód i pracuję teraz w handlu zagranicznym. Z dziennikarstwem zerwałem zupełnie, obecne zajęcie o wiele bardziej mi odpowiada. Ach, gdybym przypuszczał, że ktoś się podszyje pod moje nazwisko i że tym kimś będzie... kobieta... Ale wywołałem w domu mały pożar, od żelazka do prasowania — uśmiechnął się. — Spaliły mi się wówczas różne papiery i byłem pewien, że ta legitymacja też się znajdowała między nimi. Na szczęście dowód osobisty miałem przy sobie.

— I pomyśleć — zawołała Xenia — że wszystkie właścicielki mieszkań chcą mieć tylko chłopów sublokatorów! A ja jak żyję nie zaproszyłam nigdzie ognia i nie spowodowałam pożaru...

— Ale za to pani pierze i myje się, a my podobno nie! Tak pani w każdym razie twierdziła podczas naszego pierwszego spotkania.

Oboje zapalili papierosa.

— Co za dziwny zbieg okoliczności — rzekł po chwili milczenia — że takie bądź co bądź świństwo musiała mi zrobić kobieta, która od pierwszego wejrzenia tak mi się spodobała...

— I... i teraz już nie będę mogła podobać się panu?

Spojrzał na nią ironicznym wzrokiem.

— Sądzę, że nie... Jestem sam człowiekiem uczciwym i nie noszę wszelkiego oszustwa i kantów.

— Mój Boże, co za pech — żałośnie wykrztusiła Xenia — że wówczas coś mnie skusiło, by pójść potańczyć... I że właśnie wtedy musiałam pana poznać...

— Nie rozumiem. Jakież znaczenie miało to dla pani?

— Ciszej! „Dla pana”, nie „dla pani”... Jakie znaczenie?



Pan się nie domyśla? Ach, teraz, kiedy już nigdy między nami nic nie będzie...

— Ciszej! — roześmiał się Hektor.

— ... mogę się panu przyznać, że była to u mnie sympatia od pierwszego wejrzenia...

Prawdziwy Hektor podniósł na nią wzrok. Gdyby i ona była spojrziała na niego w tej chwili, dostrzegłaby w jego oczach, wśród iskerek złości i ironii, również jakieś męskie rozczulenie.

— Ale powiedz mi, drogi kolego, po co, u diabła, cała ta farsa? Przed wojną była we Francji taka zdolna pisarka, nazywała się Maryse Choisy. Aby się dostać do męskiego klasztoru na Mont Atos, do którego cały rodzaj żeński nie miał wstępu (do tego stopnia, że nawet kur nie trzymano w obrębie zabudowań klasztornych), zoperowała sobie biust i w przebraniu wędrownego pielgrzyma dostała się do tego przybytku, przeznaczonego wyłącznie dla płci męskiej. Jest to fakt autentyczny. Napisała potem pasjonującą książkę o swym pobycie na Mont Atos... Powieść ta miała tytuł „Jeden miesiąc u mężczyzn”... Ale dlaczego pani, nie mając zamiaru wstąpić do męskiego zakonu, urządziła całą tę hecę, tego zupełnie nie rozumiem.

— Chciałam mieszkać w Warszawie... — wyznała Xenia spuszczać oczy. — Jako kobieta nie mogłam nigdzie dostać pokoju sublokatorskiego, a ponieważ mam bardzo męski typ urody...

— No, nie tak znowu bardzo... — uśmiechnął się Hektor. — Ja bym się nie dał nabrać. Ta pani gospodyni musi być chyba lekko ślepawa...

— Ciszej, na miłość boską!

— Zupełnie nierealna i powieściowa historia. Dla Kaestnera. Czytała go pani?

— Nie...

— Wielki brak w wykształceniu. Więc właśnie ten pisarz-humorysta pisywał takie, rzec by można, fantastyczno-realistyczne powieści. Pani historia byłaby dla niego wspaniałym tematem. Widocznie jednak nie ma tak fantastycznego tematu, którego by samo życie nie potrafiło wymyślić...

Xenia spojrziała na niego. Był chyba inteligentny i, zdaje

się, odczytany. I z każdą chwilą bardziej jej się podobał. Niestety, sprawa (jak sądziła) była najzupełniej przegrana.

— Niech pani przyzna... — ciągnął dalej Hektor — przepraszam, ciągle się mylę; więc niech „kolega” przyzna, że mieszkanie mieszkaniem, ale przede wszystkim zagrała tu żyłka rasowego dziennikarza, który chciał zaznać rzeczy niezwykłych, a potem je opisać...

— Być może — przyznała. — Przez pewien czas bawiła mnie ta „męska skóra” i uważam, że jako kobiecie-literatce te doświadczenia mogą się bardzo przydać.

Hektor znowu zapalił papierosa.

— W każdym razie zawiniła pani przeciwko mnie. Czy chciałaby mi pani dać to jakieś zadośćuczynienie?

— Marzę o tym — wykrzyknęła z zapalem.

— Proszę mi więc darować tę swoją niezwykłą przygodę, zrobię z tego powieść na odcinki. Od czasu do czasu zajmuję się pisaniem kryminałów; może potem jakiś wydawca zlakomilby się na to. Oczywiście puściłbym pod jakimś pseudonimem... Ostatecznie temat zupełnie niezwykły i bardzo na czasie.

— Ależ proszę bardzo! — ucieszyła się. — Jeśliby to tylko mogło naprawić między nami stosunki...

— Nie wiem, o jakich „stosunkach” pani myśli? — spytał chłodno Kasprowy.

— Tylko o przyjacielskich — odparła i znowu spuściła oczy.

— Ta nieprzyjemna sprawa musi się odleżeć — rzekł wstając. — Może czas przykryje ją kurzem zapomnienia. Może po latach spotkamy się gdzieś przypadkowo. Pani, oczywiście w kobiecym stroju, będzie popychać wózek z małą córeczką, zaś obok wózka będzie biegł kilkuletni synek. Ja zaś, mam nadzieję — w tym momencie uśmiechnął się — przemknę obok pani własną maszyną, Fordem lub Fiatem najnowszego typu...

— To pan będzie pchał wózek z dzieciakiem, a ja przejadę obok pana własnym samochodem — odparła Xenia butnie.

Roześmiał się i wyciągnął do niej rękę. — Może los pozwoli, że oboje będziemy jechali własnymi wozami... i że się zderzymy na jakimś zakręcie!... A teraz poproszę o moją legitymację — rzekł chłodno — chyba już nie będzie koledze potrzebna?

Xenia bez słowa sięgnęła po portfel, znalazła legitymację na

nazwisko Hektora Kasprowego i trochę drżącą ze zdenerwowania ręką podała mu ją.

— Dziękuję uprzejmie! — Skłonił się lekko i otworzył drzwi, po czym dodał głośno: — Bądź zdrow i uważaj na zakrętach, cholero!

Sytuacja Xeni była nie do pozazdroszczenia. Od kudłatej mamy powinna się była już lada dzień wynieść, na co młoda para czekała z wielką niecierpliwością. A powrót do Krakowa przejmował ją dreszczem przerażenia...

Pokój Xeni w Krakowie, z którego się wymeldowała, matka jej wynajęła jakiejś urzędniczce o płaskiej, bladej twarzy, podobnej do księżycy. Ta niepokazna na pozór istota potrafiła niebawem zapanować niepodzielnie nad starszą panią; kontrolowała, ile wypala elektryczności, przestrzegała przed nadmiernym używaniem gazu w łazience i stale odsuwała z paleniska w kuchni jej rondle, by na ich miejscu ustawić swoje. Była przy tym uprzedzająco grzeczna i początkowo płaciła punktualnie miesięczny czynsz w wysokości 150 złotych. Po jakimś czasie wystarała się jednak o przydział kwaterekowy i obniżyła opłatę za pokój do stu złotych. Po roku płaciła już tylko pięćdziesiąt plus świadczenia, a gospodyni musiała się na to godzić, bo panica miała przydział i z najśladszym uśmiechem oświadczyła, że płaci tyle z dobrej i nieprzymuszonej woli, gdyż zasadniczo mogłaby dawać tylko cztery złote plus świadczenia.

Matka Xeni zajmowała się szyciem bluzek dla spółdzielni krawieckiej i z tego żyła życiem pozbawionym zarówno wielkich radości jak i ciężkich zmartwień. Była istotą cichą, łagodną i zrezygnowaną. Córkę jedynaczkę kochała bardzo, ale każdy przyjazd Xeni zakłócał jej spokój i rozstrajał nerwy. Przez pierwsze trzy dni kochały się szalenie i spoglądały na siebie z rozczuleniem, ale potem ich zupełnie odmienne charaktery dawały znać o sobie w zaczepnych uwagach i powiedzeniach, zaczynających się zazwyczaj od słów: „bo mama powinna...”, „bo tyś powinna, moje dziecko...”

— Mama powinna wyrzucić tę lokatorkę na zbity łeb! Pra-

wie nic nie płaci, a rządzi się w ramach mieszkaniu, jak gdyby to ona tu była panią!

— A ty, moje dziecko, nie powinnaś była przenosić się do Warszawy i pozostawiać wolnego pokoju. To tylko twoja wina!

Od nitki do kłębka. Szara włóczka maminych wymówek rozwlekała się po całym pokoju, zaczepiała o stare, wytarte fotele (z dobrych czasów), zwisała z portretu mamy, malowanego przez Axentowicza (i przedstawiającego ją jako śliczną, słodką



blondynkę z wielkimi niebieskimi oczyma), owijała się wokoło secesyjnej lampy z szafirowym kloszem...

Myśl, że nie mając już własnego pokoju, będzie musiała mieszkać w jednym razem z matką, przejmowała Xenię nieomal grozą. Obie zwariujemy — przewidywała ponuro, ściskając skronie. — To będzie nie do wytrzymania!

Siedziała w redakcyjnym pokoju mając przed sobą stos nadstaniego materiału. Nie była jednak w stanie zabrać się do roboty. W innych pokojach świegotały jej koleżanki wyjmując z ręcznych siatek zakupione ciuszki i pokazując je sobie nawzajem. Do uszu Xeni wyraźnie dolatywało ich paplanie.

— Ileś za to dała?

— Powiedz, gdzie to można dostać?

— Cooo? Krajowe? Nigdy nie uwierzę!

— Odprzedaj mi...

Półowa redakcyjnego personelu nie miała nic do roboty. Obowiązkiem było tylko siedzieć. Praca polegała na tym, aby nie opuszczać... pracy, której przeważnie nie było. Należało zjawiać się i wychodzić z redakcji punktualnie, o ściśle oznaczonej godzinie. Czasem któryś z redaktorów przybiegał z plikiem papierów prosząc, aby ktoś to szybko przepisał na maszynie. Panny czyniły to chętnie, ponieważ palce stworzone są nie tylko dla „manikuru”, ale i do gimnastyki, a główka nie tylko dla fryzjera, ale i do tego, by czasem trochę pomyśleć i nie zrobić błędu maszynowego bądź gramatycznego.

Ze wszystkich kobiet zatrudnionych w redakcji najłżejsze, a zarazem najbardziej odpowiedzialne zajęcie miała sekretarka naczelnego redaktora. Siedziała przy biurku w ładnie urządzonej saloniku, z portretami dostojników nad głową i odbierała telefony.

— Musi pan poczekać albo zadzwonić później, redaktor jest na kolegium — mówiła do słuchawki. — Redaktor bardzo zajęty. W jakiej sprawie?... — Dzisiaj niemożliwe, redaktor wyjeżdża za granicę...

Zadowolona, że spławiła „stronę”, wyciągała z szuflady biurka powieść kryminalną, zapalała papierosa i czytała ze smakiem tak długo, póki nie otworzyły się drzwi od sanktuarium i naczelny nie przywołał jej w jakiejś sprawie do siebie.

Do zasepionej i zamyślanej Xeni przyszedł Ofermacz. Ubierał się teraz starannie niż dawniej, co dzień się golił i miewał nieomal wyprasowane spodnie...

— Cóż za ponura mina?! Chcesz „Giewonta”?

— Dziękuję. Mam swoje, takie same.

Zapalili.

— Unikaszk mnie od jakiegoś czasu — rzekł smętnie Józek.

— Zdaje ci się.

— Wcale mi się nie zdaje. Masz do mnie żal...

— Nie mam do ciebie żalu, co najwyżej mogę cię żałować, żeś wpadł.

— Co przez to rozumiesz? Czy to, że chcę się żenić?

— Pewnie! To tak, jakbyś podpisał czek in blanco. A los ci może wypisać na nim, co zechce: pięcioro dzieci, tysiąc kłótni z teściową, pięćdziesiąt tysięcy drobnych utarczek z żoną, która ci będzie robić sceny zazdrości...

— Mnie? — Ofermacz spojrział na nią ze zdziwieniem. — To chyba ja jej...

— Zakochałeś się, bracie.

— Nie zakochałem się, tylko mi przypadła do serca.

— To chyba na to samo wychodzi — uśmiechnęła się Xenia.

— Niezupełnie. Jest pewna subtelna różnica: przede wszystkim ujęła mnie tym swoim spontanicznym uczuciem do mnie...

Xenia zasłoniła dłonią usta. Miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Jacyż ci mężczyźni są beznadziejnie głupi i zarozumiali! Przecież ta mała zgodziłaby się wyjść za każdego, kto by nosił portki. Przecież i do niej na początku zapalała gorącym i „spontanicznym uczuciem”. Nie powiedziała tego oczywiście Józkowi, tylko zapytała:

— Powiedz mi, co ci się w niej najbardziej podoba?

— Przede wszystkim to, że jest taka sentymentalna i taka staroświecko wychowana. Bardzo kobieca, delikatna, nie ma w sobie nic z tych dziarskich, wysportowanych dziewcząt nowoczesnych.

Dobrze mi tak — pomyślała Xenia. — Po co w ogóle interesowałam się tą bladą gęsią i chciałam z niej zrobić nowoczesną kobietę, zdrową i pełną krzepy? A tymczasem... Są jeszcze mężczyźni, którym „przypadają do serca” tylko takie typy,

jak ona. To cię lepiej wiedziało, „co się panom podoba”... Ale jakim panom? Takim jak Ofermacz... A może nie tylko takim?...

Czuła się pobita na całej linii i ponuro spoglądała na szarą od popiołu popielniczkę, do której weisnęła dogasającego papierosa.

— Szczęście zatruwa mi jedynie dręcząca myśl, że ty przez nas tracisz mieszkanie i znów będziesz musiała szukać jakiegoś locum.

— Nie martw się, dam sobie radę! — podniosła dumnie głowę. — Nie należała do tych istot, które przegrawszy na życiowej loterii, zadowolają się grosikiem ludzkiego współczucia. — Mam już coś napiętego — skłamała patrząc mu prosto w oczy.

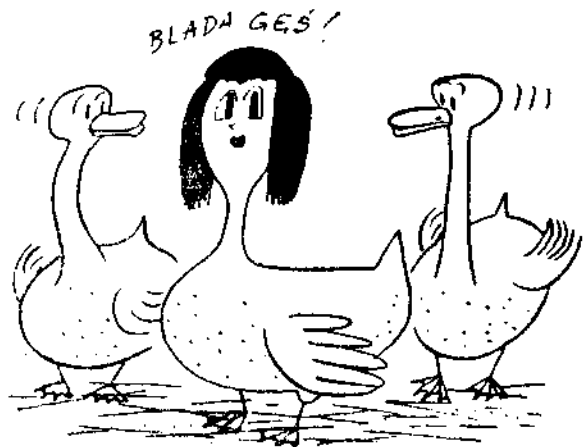
— Taaak? To bardzo się cieszę.

— Poza tym od chwili, gdy się zjawił Kasprowy, nie mogłabym już dalej udawać mężczyzny i mieszkać u tych pań. Los tak chciał. Kismet! — dodała filozoficznie.

Do pokoju wszedł woźny.

— Jakaś pani do pani redaktor. Mówi, że ma ważny interes.

Xenia przestraszyła się. Jakaś pani do niej? Ważny interes? A może to karakułowa mama, która, domyśliwszy się wreszcie wszystkiego, przyszła jej zrobić awanturę i powiedzieć, że jest niecną oszustką?...



— A jaka pani? Młoda, stara? — przezornie spytała woźnego.

— Młoda i niczego sobie.

— To niech pan poprosi. Józku — zwróciła się do Ofermacza — wyjdź proszę. Nie wiem, co to za pani, ale lepiej, żeby cię tutaj nie było.

Ofermacz wyszedł jednymi drzwiami, a drugimi weszła Grażyna. Była blada i tak niestarannie umalowana, że wargi miała krzywe, co jeszcze bardziej potęgowało gorzki ich wyraz.

— Grażyna! — ucieszyła się Xenia, ale przyjrząwszy się jej, zmieniła ton i zapytała z przerażeniem: — Co się stało?

— Stało się bardzo wiele — odparła Grażyna powoli i jak gdyby dozując efekt swych słów. — Babcie sparaliżowało i dziś pogotowie zabrało ją do szpitala.

— Boże! To straszne!

— Straszne dla niej, gdyż pewnie już z tego nie wyjdzie, ale dla mnie to szczęście!

— Ach, Grażyno, jak ty możesz? — Xenia zasłoniła twarz ręką. — To potworne, co mówisz...

— Nie znasz całej historii. Nie wiesz, dlaczego ją sparaliżowało. Za moją krzywdę Bóg ją pokarał! — rzuciła Grażyna z zaciętym wyrazem twarzy.

— Opowiedz wszystko. — Xenia szybko zapaliła papierosa i podsunęła pudełko Grażynie.

— Wyobraź sobie — w tym momencie głos Grażyny przeszedł w wysoki, rozedrgany ton — ona mnie posądziła o kradzież! — Wytrzymała teatralnie efekt tych słów, po czym ciągnęła dalej: — Gdzieś się zapodziała jej złota broszka z kameą i zaczęła wrzeszczeć, że to ja ukradłam. „Trzeba zadzwonić na milicję! Przeszukać rzeczy lokatorki! Nikogo innego w pokoju nie było! Jak to nigdy nie wiadomo, kogo się do domu wpuszczają!” I tym podobne rzeczy... — Tu Grażyna nie wytrzymała nerwowo i łzy popłynęły z jej oczu.

— Może ci zrobić kawę? — spytała zaniepokojona Xenia. — Mam tu wszystko, czego potrzeba... — Wyjęła z szafki rondelki, elektryczną grzałkę, puszkę z kawą i dwie szklanki. — No, a teraz mów dalej.

— Więc — ciągnęła wśród łkań Grażyna — weszła gospo-

dyni i zaczęła matkę uspokajać, ale na mnie spoglądała podejrzliwie, jak na złodziejkę. „Może pani przez nieuwagę wzięła tę broszkę?” — zwróciła się do mnie, jak przed wojną moja matka do swojej służącej. — „A to taka pamiątkowa rzecz... No nic, trzeba jeszcze przeszkukać wszystkie kąty, a jeśli się nie znajdzie... To bardzo dziwne, przecież do tego pokoju nikt obcy nie wchodzi. Ja sama sprzątam...” Wtedy zaczęłam się modlić żarliwie do świętego Antoniego. Obiecałam mu pięćdziesiąt złotych i coś mi szepnęło wtedy, abym odsunęła łóżko od ściany...

— No i co? No i co? — zapytała Xenia nalewając kawę do filizanek.

— No i wyobraź sobie, że broszka leżała najspokojniej właśnie za łóżkiem.

— Co za szczęście! — zawołała Xenia i popiła tę pokrzepiającą wiadomość łykiem kawy, co także uczyniła nieszczęsna Grażyna.

— Wtedy ja — opowiadała dalej — wsiadłam na obie te jędze, powiedziałam, że idę na milicję wnieść skargę o niesłuszne posądzenie i że podam do „Głosu Prawdy”, gdzie pracuje znajoma dziennikarka, wzmiankę o prywatnej inicjatywie, która nie tylko bierze od lokatorki wygórowany czynsz, ale jeszcze w dodatku gnębi ją ile się da i posadza o kradzież. Wtedy... Ach, to było straszne! Babci oczy stanęły w ślup, zachwiała się i sztywna runęła na łóżko. Po jakimś czasie wróciła do przytomności, ale nie odzyskała już władzy w rękach i w nodze. Przyjechało wezwane przez gospodynię pogotowie i zabrało ją do szpitala. Myślę — dodała ze złym błyskiem w oczach — że do domu już nie wróci. Ma siedemdziesiąt dwa lata.

— Chyba po takiej historii wyniesiesz się od tych strasznych mieszczańek?...

— Wprost przeciwnie. Nastraszyłam babę i teraz jest słodziutka; przeproszała mnie, zapewniała o wielkiej do mnie sympatii i przysięgała, że nikogo więcej nie dokwateruje. Wmawiała mi przy tym, że to tylko ta biedna, zdziecinniała staruszka psuła między nami stosunki. Ale ja mam głowę na karku. Pomyślałam sobie: teraz tak mówisz, bo się mnie boisz, ale niech tylko babcia umrze, zaraz mi kogoś innego do pokoju wpakujesz! Więc do paniusi powiadam w ten sposób: „Moja pani...” Uważasz

„moja”, aby brzmiało bardziej pogardliwie! Więc mówię: „Moja pani, ja się na razie wstrzymam z tą wzmianką w prasie, ale za to wezmę sobie współlokatorkę, swoją przyjaciółkę, bo z taką osobą jak pani to nigdy nic nie wiadomo...” A ona na to: „Ależ proszę bardzo, choćby od jutra! Gdyby zaś moja biedna matka, co dał Boże, powróciła do zdrowia, to zamieszka w kuchni... Ja sama rozumiem, że młodej osobie nie bardzo przyjemnie mieszkać z taką zdziecinniałą starowinką”... Teraz to sobie dopiero, małpa, uprzytomniła!

— A o jakiej przyjaciółce myślałaś? — spytała Xenia z nadzieją w głosie.

— No... chociażby o tobie — odparła Grażyna dopijając resztek kawy.

Xenia zerwała się z krzesła i objęła ją za szyję.

— Grażynko! Jesteś na medal!

— Ale będziesz musiała płacić połowę mojego czynszu i połowę świadczeń — odparła rzeczowo Grażyna — jeśli to babsko nie zażąda, abyś dodatkowo płaciła za łóżko...

— Na wszystko się zgadzam — zawołała rozpromieniona Xenia.

— Poza tym ja lubię czytać wieczorami...

— Ja też...

— Od czasu do czasu będziesz musiała zniknąć na całe popołudnie... Kiedy mój chłopak przyjedzie do Warszawy...

— Przysięgam! Kiedy tylko zechcesz...

— Śniadanie raz ty mnie będziesz podawała do łóżka, raz ja tobie.

— Co dzień ja! — zadeklarowała Xenia ochoczo.

Życie się do niej znowu uśmiechnęło i powiedziało: „Widzisz, jednak myślę o tobie!”

— No, to możesz się jeszcze dzisiaj sprowadzić do mnie ze wszystkimi betami.

Uściskały się kilkakrotnie i Grażyna, pomalowawszy sobie usta prawidłowo, wyszła pozostawiając za sobą lekką smugę wody toaletowej „Poemat”.

Xenia została sama. Aby mieszkać w Warszawie, dosłownie idę „po trupach”! — pomyślała. — Cóż za ponura historia z tą babką! Doprawdy, Grażyna w tym wypadku nie ponosi żadnej

winy. Broniła się, biedna, jak mogła, nie przypuszczając nawet, jaki straszny skutek wywrą jej słowa. A jednak?... Czy naprawdę Grażyna jest zupełnie niewinna? Jakież przekleństwa rzucała w duchu na sklerotyczną staruszkę! Siła nienawiści była taka, że mogła zabić! A znowu z drugiej strony: dlaczego owa babcia tak obrzydzała życie Grażynie? dlaczego, nie mając na to żadnych dowodów, posadziła ją o kradzież?...

Pod wpływem tych myśli zapisała sobie aforyzm na kawałku papieru: „Na starość trzeba być tak miłym i dobrym dla bliźnich, by nie stać się tym gościem, który za długo u kogoś siedzi i którego wszyscy mają dosyć”...

Wstała szybko i otworzyła drzwi do sąsiedniego pokoju.

— Józku! — zawołała wesołym głosem i skinęła na niego palcem. — Chodź tu na chwilę. Znalazłam pokój w pięknym mieszkaniu na Muranowie. Dziś wieczór się tam przenoszę!

Rozdział XIII

Radość obu pań, że „pan Hektorek” znalazł pokój i że się od nich wynosi, była aż nadto widoczna. Był to zresztą raczej osobniiony wypadek, aby sublokator rozstawał się w takiej zgodzie i harmonii z właścicielką mieszkania.

— Tak nam z panem było dobrze — mówiła karakułowa mama — ale też ze świecą szukać tak kulturalnego mężczyzny, jak pan... I gdyby to nie chodziło o szczęście dziecka, tobym się na progu położyła, a pana stąd nie wypuściła!

— Mnie też z paniami było jak w raju! — skłamał uprzemie „Hektorek”. — I gdyby nie kolega Ofermacz i jego wielka miłość do panny Edyty, kijem by mnie stąd nie wygnano. Ale cóż — tu nastąpiło westchnienie i uśmiech — siła wyższa!

Obie panie ochoczo pomagały sublokatorowi pakować jego skromną garderobę i w trakcie tego znalazły trzy damskie bluzeczki.

— A to co? — zdziwiła się gospodyni.

— Ach, to bluzki mojej siostry — rzekła niecierpliwie Xenia, która już po uszy miała tej całej komedii, lecz postanowiła do końca grać rolę mężczyzny, by się nie narazić na śmieszność. — Nawet nie wiem, skąd się tu wzięły... — dodała wzruszając ramionami.

— Teraz już — zauważyła wesołutko Edyta — nic nie stoi na przeszkodzie naszemu ślubowi.

— Widzi pan, jak dziecku pilno! — zarechotała tłusciutka mama i pogłaskała córkę po gładkiej, ciemnej główce. — Ej,

ty, ty! Takie niby niewiniątko, a do małżeństwa się pali, że aż strach!

— Bo ja go kocham! — szepnęła panienka i zaróżowiła się. — Mam nadzieję, panie Hektorku, że pan będzie na naszym ślubie!

— Niestety, nie dam rady! — odparła Xenia. — Biorę teraz urlop i jadę do matki do Krakowa.

— Och, jaka szkoda!... Nie wiedziałam, że pani Kasprowy mieszka w Krakowie...

— Pani Kasprowy? — zdziwiła się Xenia mimo woli.

— To pana mamusia inaczej się nazywa?

— Tak, nazywa się inaczej, ponieważ wyszła drugi raz za mąż. — I chcąc zmienić temat, zapytała: — Ślub weźmiecie cywilny czy też kościelny?

— Najpierw cywilny — odpowiedziała mama — zaś potem kościelny, tak jak się należy. Ja w śluby cywilne nie wierzę, lecz skoro tego wymagają, to niech będzie.

— A czy panna Edyta wystąpi w białej sukni z welonem?

— Oczywiście. Dziecko twierdzi, że inaczej ślub byłby nieważny. To cała ona, prawda? — Matuchna spojrzała na córkę z rozczuleniem. — Przerobi się moją białą koronkową szatę, w której występowałam na koncertach, welon chyba się zrobi z nylonu. Ale co to wszystko będzie kosztować! — westchnęła ciężko.

— No i ślubny indyk na przyjęcie — dodała Xenia poważnie.

— Tak — zawołała Edytka — indyk musi być. I torty!

— Przyjęcie będzie raczej skromne — rzekła mama. — Zaproszę tylko brata z żoną i dziećmi, no i oczywiście rodzinę pana Józka. Ale, ale, panie Hektorku! Czy pan zna może jego rodziców? Mówił, że mieszkają obecnie w Opolu, ojciec jest profesorem gimnazjalnym. Wolalabym, żeby był profesorem uniwersytetu albo politechniki...

— Kiedy w Opolu nie ma uniwersytetu ani politechniki — odparła Xenia.

— Ale w Warszawie są.

— Widocznie nie mogli znaleźć mieszkania w Warszawie po wojnie — nabierała matuchnę Xenia.

— Tak, to jest argument — zgodziła się mama. — A czy pan

nie orientuje się, panie Hektorku, co to za rodzina ci Ofermacze? Nigdy się nie spotkałam z tym nazwiskiem.

— Och, to bardzo stara rodzina — blagowała Xenia. — Podobno jeden z Ofermaczów był giermkim króla Łokietka, a nazwisko Łokietek też brzmi raczej skromnie i proletariacko.

— To prawda! — ucieszyła się karakułowa mama. — Szalenie mnie pan uspokoił, panie Hektorku, bo oddawać jedyne dziecko w jakieś niewłaściwe ręce...

— Przecież po Józku od razu widać, że pochodzi z dobrej rodziny — wtrąciła Edyta. — Taki dobrze ułożony, świetnie wychowany.

— Tak — rzekła mama — najważniejsze to dobre wychowanie.

Xenia sprowadziła sobie taksówkę. Wzięła walizkę do ręki.

— Pocałujmy się na pożegnanie — rzekła wesoło.

Cmoknęła w oba policzki mamę, potem córeczkę i wybiegła na schody.

— A proszę nas odwiedzać! — zawołała za nią Edyta.



— Jak najczęściej — dorzuciła mama.
I w ten sposób odbyło się pożegnanie Hektora Kasprzewego.

Xenia nie spodziewała się, by mieszkanie we wspólnym pokoju z drugą kobietą mogło płynąć po różach — już raczej po „różu”, którego plamy widniały na ręcznikach i pościeli Grażyny. Nie myślała jednak, że przyjaciółka będzie przybierała wobec niej tak stanowczy i apodyktyczny ton.

— Ja idę do biura, a ty sprzątniesz pokój i pościeliesz tapczany — rozkazywała Grażyna.

— Kiedy ja też muszę iść do redakcji!

— Ty możesz się spóźnić, ja nie.

Grażyna, która nigdy nie grzeszyła porządkiem, teraz zwracała wciąż Xeni uwagę, że robi bałagan.

— Mówiłam już tyle razy, żeby bluzek i żakietów nie kłaść na krzesła, tylko wieszć w szafie.

— Kiedy w szafie jest tak mało miejsca.

— I proszę nie wieszć swoich rzeczy na moich wieszakach. Wypraszam to sobie! Ile razy mam powtarzać, abyś nie używała moich ręczników?...

— Przepraszam cię bardzo, pomyliłam się, nigdy już tego nie zrobię...

Xenia początkowo przyjmowała pokornie tego rodzaju kwaśne uwagi — była wdzięczna Grażynie, że ją wzięła do siebie umożliwiając w ten sposób pozostanie w Warszawie i pracę w redakcji. W końcu jednak jej krewki temperament wziął górę nad uczuciem wdzięczności.

— Przestań! Rozumiesz? Mam dosyć tych ciągłych uwag!

— Taak? A ja mogę cię mieć dosyć i wymówić ci mśczenie!

— Nie radzę, bo wtedy gospodyni dokwateruje ci natychmiast jakąś obcą osobę.

Po takiej sprzeczce dłuższy czas z sobą nie rozmawiały. Grażyna posiadała wybitnie rozwinięty zmysł „tego, co jej się należy”. Od Xeni wymagała więc należytego uczucia wdzięczności, co przejawiało się w ciągłym zapotrzebowaniu na drobne usługi ze strony tamtej.

— Pamiętaj, jak będziesz na mieście, kup kawy, bułek i masła. Przydałoby się trochę kwiatów do wazonów. Tylko nie zapomnij!

„Dzientelmen”, jakim była z natury Xenia, kupował to wszystko za własne pieniądze, co Grażyna uważała za całkiem naturalne. Pod koniec miesiąca Xenia była tak wypompowana finansowo, że ledwie starczało jej pieniędzy na papierosy.

— Może byś ty, Grażyno, dała kiedyś pieniądze na bułki, masło i cukier? — zbuntowała się pewnego dnia. — Ja już naprawdę nie mam ani grosza.

Grażyna spojrzała na nią wzrokiem pełnym pogardy i wyższości.

— Proszę cię bardzo, weź, leż na moim stoliku nocnym. Sądziłam jednak, że przynajmniej w ten sposób będziesz się starała zrewanżować za to, co zrobiłam dla ciebie.

Grażyna należała do tych kobiet, które lubią wciąż coś od innych pożyczać, a nie lubią oddawać. Nosiła więc bluzki i szaliki Xeni, pudrowała się jej pudrem i na twarz nakładała jej krem.

— Ten twój krem, jest bardziej „do twarzy” niż mój...

Po kilku tygodniach tego wspólnego pożycia Xenia nie mogła się już zorientować, co ma, a czego jej brak. Do rzeczy nie przywiązywała wielkiej wagi, nie była pozbawiona wad, lecz nikt nie mógłby jej zarzucić drobiazgowości. Gdy jednak nie znalazła w walizce nowej pary nylonów, zaczęła ją zamykać na klucz przed Grażyną.

— Widzę — rzekła oschle przyjaciółka — że zamykasz teraz przede mną swoją walizkę ze „skarbami”. To bardzo praktyczne, ale przyznam się, że się tego po tobie nie spodziewałam.

— To od czasu — odparła spokojnie Xenia — jak mi zabrałaś nową parę pończoch.

— Dziwię ci się, że w ogóle o tym wspominasz — wycedziła Grażyna. — Za to wszystko, co dla ciebie zrobiłam...

„Nie ma tego złego, co by na gorsze nie wyszło!” — pomyślała wówczas Xenia i z melancholią przypominała sobie swój pokój w Alei 3 Maja, gdzie była mimo wszystko u siebie i gdzie nikt jej wciąż nie czynił wymówek, że ją wziął do siebie z litości

(a przecież teraz płaciła połowę czynszu plus dodatkowo gospodyni sto złotych miesięcznie!).

Jakby odpowiadając na jej myśli, Grażyna rzekła:

— Wiesz, Xeniu, zaczynam żałować tej biednej babci. Jaka była, taka była, ale jej obecności nie odczuwałam tak, jak twoją odczuwam. Przynajmniej nie było tego bałaganu, takiego nieporządku jak teraz...

— Nie martw się — odparła na to Xenia — gospodyni mówiła, że babci paraliż częściowo ustąpił i że prawdopodobnie powróci do zdrowia. A jak do zdrowia, to i do... domu. Nie ludź się, że zechce zamieszkać w kuchni.

Grażyna zaniepokoiła się. Mimo wszystko, nie mówiła serio i wołała tysiąc razy młodą i apetyczną Xenię niż odrażającą staruszkę.

— A gdzie byś ty się wtedy podziała, biedaczko?

— Ja? Ja jestem piłką nożną, którą los kopie... Wpadnę znów do jakiejś bramki, z której mnie wykopie, gdzie będzie chciał, gdzie popadnie... — Uśmiechnęła się gorzko i zapaliła papierosa.

Grażyna rzuciła się jej na szyję.

— Nie cierpisz mnie, prawda? Ale widzisz, ja się zrobiłam taka nerwowa... Wszyscy staliśmy się jacyś źli w tej Warszawie. Jeden człowiek warczy na drugiego i szczyrzy zęby. Coś niedobrego dzieje się z ludźmi...

— To prawda — przytaknęła Xenia i zamyśliła się nad słowami Grażyny.

Kilka dni panowała między nimi zgoda i tylko w nocy Grażyna, którą budziło własne chrapanie, stękała i wołała w stronę legowiska Xenii:

— Nie chrap, na miłość boską, wciąż mnie budzisz!

Rozbudzona Xenia leżała nie mogąc zasnąć i przed oczyma jej zjawiał się raz uroczy Pan Wero, to znów Hektor Kasprowy, ten prawdziwy...

Wero wciąż jej się podobał: brunet z siwiejącymi włosami... Kasprowy był ciemnym blondynem z gatunku „rzadkich” blondynów, bo włosy wyraźnie mu rzedniały nad czołem. Miał wypukłe niebieskie oczy, a ona wołała piwne. Mimo to był przystojnym młodzieńcem, doskonale zbudowanym, z ramionami

prostymi jak wieszadło. O tym pierwszym w ogóle powinna była przestać myśleć, a drugi po tej całej niesamowitej historii na pewno przestał myśleć o niej. Śnił jej się dwa razy, ale jakież to miało znaczenie? Zostanie starą panną, chyba że znajdzie jakiegoś chłopca z mieszkaniem. Z mieszkaniem? To znaczy z sublokatorskim pokojem przy rodzinie albo w najlepszym razie z kawalerką.

Leżąc na tapczanie z otwartymi oczyma, zastanawiała się, czy dwoje ludzi mieszkających w jednym pokoju może żyć z sobą w zgodzie i kochać się. Nie, nie może! Po jakimś czasie muszą się zacząć nienawidzić — jak dwa odrębne zwierzęta, zamknięte w jednej klatce.

On chce spać, ja muszę w nocy pracować, czytać, przeglądać redakcyjne materiały. Ja mam ochotę się do niego przytulić, on chce spać. Ja mam ochotę wyjść gdzieś z nim wieczorem, on chce spać. On wyjątkowo nie chce spać, ponieważ wypił coś na mieście, a ja jestem zmęczona, mam ochotę położyć się i zaraz zasnąć. On naturalnie będzie wymagał, abym była i żoną, i kochanką, i gosposią, i człowiekiem pracującym. Będzie mi z wymówką w oczach pokazywał swoje dziurawe skarpetki, powtarzając: „inne żony...” A jeśli, nie daj Boże, zaczną się rodzić dzieci? Strach pomyśleć!... Najlepiej nie wychodzić za męża, tylko mieć kochanka. Ale znowu gdzie i u kogo wyprawiać te miłosne harce? W sublokatorskim pokoju, do którego w każdej chwili może zapukać właścicielka mieszkania?...

Te ponure myśli spędzały jej sen z powiek, więc zaczynała liczyć owce (tak jak Fernandel w filmie „Lunatyk”) i doliczywszy do stu zasypiała — aby po godzinie być zbudzoną przez Grażynę głośnym jękiem:

— Przestań wreszcie chrapać!

Pewnego popołudnia, gdy wróciła z redakcji do domu, drzwi od pokoju zastała zamknięte. Po dłuższym pukaniu ukazała się Grażyna — w rozpiętym szlafroku, z rozburzonymi włosami i spuchniętymi wargami.

— Przyjechał mój chłopak — szepnęła — proszę cię, idź i nie wracaj aż późnym wieczorem.

Schodząc po schodach Xenia zapragnęła zginąć pod kołami rozpedzonego samochodu. Zmysł humoru, który jej nigdy nie opuszczał, podsunął jej w tym momencie idiotyczne pytanie: samochodu, tak, ale jakiej marki? Warszawa, wóz solidny, silny, przejechałby ją może na śmierć, ale to żaden honor być przejechaną przez samochód tak popularny i często spotykany. Lepiej przez Simcę Aronde albo przez nowiutkiego Volkswagena... Albo jeszcze piękniej i oryginalniej byłoby zginąć pod kołami amerykańskiej maszyny z długim wspaniałym ogonem, koloru czerwono-kremowego.

Rozmyślając tak, omal że nie wpadła naprawdę pod koła Fiata 600. Kierowca, jakiś przystojny brunet, zahamowawszy wóz tuż przy jej biuście, wrzasnął:

— Jak idziesz, cholero? Z Grójca paniusia przyjechałaś czy co?!

Odskoczyła w bok postanawiając utopić się w Wiśle, ale... latem, gdy woda będzie cieplejsza.

Szła bez celu zastanawiając się, co dalej robić z tym tak pięknie rozpoczętym popołudniem. Przystanęła przed wystawą sklepu z porcelaną na ulicy Świerczewskiego. Przypomniała jej się w tej chwili czytana kiedyś bajka o królu Brzydalu i królowej Brzyduli, którzy dokładali wszelkich starań, aby w ich państwie wszystko było.. jak najbrzydsze. Ludziom patrzącym na tę wystawę, tak jak zresztą i na wiele innych, mogło się здаwać, że nasz przemysł został przejęty przez tę królewską parę. Wszystko, co nęciło wzrok skromnych kobiecinek, spoglądających z pożądaniem na ową witrynę, było tak przemożnie brzydkie i pozbawione smaku, że mogło budzić nawet pewnego rodzaju podziw. Piętrzyły się tam kwadratowe i podłużne talerze w kolorowe kratki lub paski (projektowane przez plastyków!), a wśród nich uwijały się ni to tygrysy, ni jaszczurki — białe w ciemne łatki, czerniły się taneczne figurki szklane i porcelanowe, wyglądające tak, jakby były wykonane z kręconego drutu. Olbrzymie wazony, projektowane przez samą królową Brzydulę, pyszniły się żółto-szafirowymi kwiatami. Koło nich stały wielkie, płaskie dekoracyjne misy, malowane w olbrzymie surrealistyczne buziaki lub beznadziejne, biało-niebieskie widoczki. Ceny tych „cacek” były równie „wyniosłe” jak wazony i imbryki do kawy.



Nie brakło również fajansowych garnuszków-bliźniaczków, szafirowych lub żółtych kikutów, histerycznie powykręcanych...

Dla kogo są te cuda? Kto to będzie kupował? — myślała Xenia.

Odpowiedź na to nieme pytanie padła natychmiast z ust dwóch tęgiej panius, które stały obok niej, wpatrzone łakomy-
mi oczyma w te wszystkie wspaniałości.

— Muszę kupić dla córki taki wazon — rzekła pierwsza. — Na nowe mieszkanie.

— A ja — powiedziała druga — takiego tygrysa porcelanowego. Mężowi na imieniny. Ucieszy się!...

— Patrz pani na ten komplet talerzy w kratkę! Piękny!

— To pewnie do śledzi.

Xenia odeszła zgnębiona. Wpływ króla Brzydala i królowej Brzyduli był potężny. Wszystko, co stworzyli najokropniejszego, miało odbiorców, a nawet entuzjastów. Przypomniała sobie widzianą w okresie gwiazdkowym wystawę odzieży damskiej i męskiej w Krakowie na ulicy Grodzkiej, gdzie manekiny miały twarze diabłów z wywieszonymi czerwonymi jęczorami, z różkami na głowie. Czyż mogło być coś bardziej wymownego niż ten pomysł? Szatańska konfekcja z najlichszych materiałów na diabelskich manekinach!

Wszystko dobrze, ale co tu robić do wieczora? Do kogo pójść?...

Pomyślała, że dawno już powinna była odwiedzić swoją miłą znajomą, Danusię Odżywulską, która wyszła za mąż za młodego architekta i mieszkała w przedwojennej kamienicy na rogu Bartoszewicza i Kopernika. Xenia miała w notesiku zapisany dokładny jej adres.

Wyobrażam sobie, jak się Danusia ucieszy...

Poszła na przystanek „setki”, wsiadła do autobusu i pojechała w kierunku „serca” Warszawy.

Należy do dobrego tonu ganić dzisiejsze budownictwo na korzyść przedwojennego. To jednak, co Xenia ujrzała w tej wysokiej wielopiętrowej kamienicy, nie przejęło jej zachwytem i szacunkiem. Na najwyższym piętrze, na którym mieszkała jej znajoma, znajdował się długi, załamany w połowie korytarz, z którego szereg drzwi prowadził do oddzielnych pokoików, zwanych

szumnie kawalerkami; na końcu korytarza — wspólna łazienka, ubikacja i coś w rodzaju kuchenki. Istny koszmar! Przedwojenni architekci byli widocznie optymistami nie znającymi zupełnie kobiet; nie przewidywali, jakie swary i kłótnie pociągnie za sobą używalność wspólnej łazienki i kuchni...

Zapukala do drzwi oznaczonych numerem zapisanym w notesiku. Otworzyła jej pani „domu”, młoda blondyneczka, w typie „dziewczęcia polskiego”. Rzuciły się sobie na szyję.

— Jak ślicznie wyglądasz!

— A ty!

— O wiele lepiej niż ostatnim razem, gdyśmy się widziały.

— Jaki masz piękny kostium!

— A tobie jak ślicznie w tym nylonowym fartuszk!

Wyczerpawszy chwilowo zapas komplementów, którymi kobiety obsypują się nawzajem z łatwością, a które znaczą akurat tyle, co pobieżne pocałunki, weszły do środka. Xenia rozejrzała się po kawalerce, czyli małym pokoiku z olbrzymim balkonem. Połowę pokoju zajmował duży stół kreślarski, założony papierami, przy jednej ścianie stał szeroki tapczan, nad którym bujał hamak zawieszony na hakach u sufitu, przy drugiej ścianie półka z książkami, na środku zaś symboliczny okrągły stół z wciśniętymi wstydliwie krzesłami i fotel, do którego poprowadziła Xenię Danusia odsuwając, a raczej przesuwając natłoczone meble.

— Siadaj — rzekła — tylko musimy mówić ciszej, aby się Maciś nie obudził.

— Macie kotka? — zainteresowała się grzecznie Xenia.

— Ach, to on zapewne śpi w tym hamaku...

W tym momencie zawiniątko zawieszona nad tapczanem odezwało się. Był to odgłos przypominający wrzask pawia połączony z miauczeniem kotki.

— To nie kotek — roześmiała się Danusia — to nasz ukochany synek, Maciś. Obudził się, trzeba go będzie nakarmić.

Wyjęła z hamaka ryczące zawiniątko, położyła je na kolanach i odpakowała małą głowę apoplektycznego staruszka w furii; do jego spoconego czoła przyklepionych było kilka włosków niewyraźnego koloru.

— Moje ty cud, moje ty szczęście jedyne — zaczęła prze-

mawiać do niego najczulszymi słowy — nie płacz, nie płacz, mamusia da zaraz dziecku papu...

Ustawiona tym widokiem Xenia pomyślała, że gdyby ze wstrętnych staruszków śliniących się, bezzębnych, niedołęźnych i robiących pod siebie miał wyrosnąć człowiek — może rodzina też by się z nimi tak cackała; ponieważ jednak mogą się oni przemienić jedynie w coś jeszcze gorszego, a mianowicie w nieboszczyków, więc przejmują zazwyczaj tylko odrazą i wstrętem. Sprawa ściśle umowna.

Kobiecisko tymczasem wydobyło z zanadru dziewczęcą małą pierś z niebieskimi żyłkami i różowym dziobkiem i wpakowało ów dziobek do bezzębnej jamy ustnej noworodka, który uspokoił się i zaczął łakomie ssać; tylko po czerwonej, pomarszczonej mordce spływały jeszcze łzy wściekłości.

— Prawda, jaki on śliczny? — zachwycała się młoda mamusia. — Wykapany tatuś!

— Jak można to porównywać do twojego męża! — oburzyła się Xenia; która nie posiadała za grosz instynktu macierzyńskiego. — Przecież Janek jest bardzo przystojnym chłopcem.

— Teraz jesteście bzydzy, bośmy się niedawno urodzili — plotła mamusia — ale zobacz ciocia, jacy będziemy niedługo duzi i piękni! A wiesz, ile on waży? Sześć kilo dwieście piętnaście gramów, choć ma dopiero trzy tygodnie! Szczęście ty moje! — cmoękła Macusia w gołe ciemię.

— Więc jak to jest? — zainteresowała się Xenia. — Mieszkacie wszyscy troje w tym małym pokoiku? Bez kuchni i łazienki? Jak to wytrzymujecie?

— Musimy — westchnęła Danusia. — Mamy obiecane większe mieszkanie, ale na razie nic nie poradzimy. Musiałam przerwać pracę, choć zarabiałam tysiąc pięćset złotych miesięcznie. Chciałam sprowadzić tutaj swoją mamę, aby zajęła się dzidziusiem, ale Janek stanowczo się temu sprzeciwił.

— Nie dziwię się — wtrąciła Xenia — to by już było istne piekło!

— On wziął na siebie cały ciężar zarobkowania. Zamecza się, robi projekty po nocach, a ja cały dzień siedzę przy małym. W pokoju nie ma miejsca na wózek, więc wózek stoi w korytarzu, a Maciuś śpi w hamaku. — Mówiła to wszystko z weso-

łym wyrazem twarzy, jak o rzeczy całkiem naturalnej. — Najgorszy kłopot mam z pieluszkami...

— W dodatku pieluszki! — jęknęła Xenia.



— Gdzie jest małe dziecko, tam muszą być zasiusiane pieluszki. Gdy sąsiedzi idą do pracy, wtedy je piorę i wieszam na naszym balkonie.

— Boże, co za potworne życie! Ja bym nie wytrzymała i pół dnia! — W tym momencie Xenia nieomal z rozczuleniem pomyślała o Grażynie i ich wspólnym pokoju.

— A ja jestem bardzo szczęśliwa — odparła Danusia. — Janek kocha mnie i małego... Tylko ciebie mogę żałować, moja Xeniu, że cię podobne szczęście nie spotkało...

— To zależy, co kto nazywa szczęściem — chciała powiedzieć Xenia, ale zamilkła.

Młoda mama odstawiła dziecko od piersi i zapięła bluzkę. Dzieciak rozwrzeszczał się na nowo, więc wzięła go na ręce, zaczęła kołysać i śpiewać do snu. Po chwili powieki opadły na dwie niebieskie szparki, a usta wykrzywione szkaradnym grymasem zamknęły się, tworząc małą, wygiętą, różową linię. Danusia położyła palec na ustach.

— Z a s n ą ł — szepnęła z zachwytem.

— Więc ty, moja biedna Danusiu, nie możesz w ogóle wyjść na miasto? — przyciszonym głosem spytała Xenia.

— Oczywiście, że nie. Siedzę w domu bez przerwy, czasem tylko wyjdę na balkon zaczerpnąć powietrza. I, rozumie się, chodzę na spacer z małym, na długie, cudowne spacer, w czasie których, jeśli nie ma kolejek, załatwiam różne zakupy... Zasadniczo wszystko kupuje Janek.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł młody, wysoki mężczyzna o jasnych włosach i białych rękach. Danusia podbiegła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Och, jak to dobrze, że przyszedłeś, najdroższy. Mamy gości, Xenię.

— Czy pani już widziała naszego syna? — zapytał z dumą ojciec. — Prawda, jaki wspomniały byczek?

— Widziałam. A byczek chyba dlatego, że ma głos bawołu. Ja się zresztą nie znam na noworodkach. Wszystkie wydają mi się zupełnie podobne do siebie...

Dzieciak, zbudzony wejściem ojca, zaczął ryczeć jakby potwierdzając słowa Xenii. Tatusz wyjął go ostrożnie z siatki i kołysał, błyskając mu przed oczkami zegarkiem. Miał przy tym

wyraz twarzy tak błogi, że się od tego widoku robiło jakosć cklowie na sercu. Uspokoiwszy malca, usiadł obok żony, objął ją za ramiona i przytulił do siebie.

— Przyniosłem wszystko, co kazałaś — rzekł całując jej włosy — puder dla małego i cukier, masło, bułki i coś dla ciebie... winogrona!

— Och, jakis ty miły, jaki dobry! Popatrz, Xeniu, jakiego mam męża!

— Tak — dumnie stwierdził ideał z uroczym uśmiechem — takiego męża jak ja to ze świecą szukać. Ale i żona się udała, prawda, panno Xeniu?

— Prawda — mruknęła Xenia.

Zupełnie przybita tym ich szczęściem, wzięła torebkę z tapczanu, pożegnała się i wyszła.

Do późnego wieczora włóczyła się po ulicach Warszawy pogrążona w myślach. Jakie różnorodne są oblicza szczęścia. Jak twarze Światowida. Jedna z nich ma pomarszczoną twarzyczkę noworodka, z wykrzywionymi od płaczu usteczkami i zaciśniętymi powiekami. Moje szczęście mogło mieć inną fizjonomię: sympatyczną twarz młodego mężczyzny, lekko łysiejącego, o miłych ustach, mówiących niewiele, ale z sensem. Twarz przypadkowo poznanego tancerza, którego już pewnie nigdy nie spotkam...

Zastanawiała się, jak trudno zetknąć się przypadkowo, na ulicy albo w kawiarni, dwojgu ludziom, którzy poczuli do siebie gwałtowną sympatię... Może dlatego, że Warszawa jest tyle w jednej, a każda z nich inna — w każdej dzielnicy mieszkają ludzie, niepodobni do mieszkańców dzielnic pozostałych, inaczej ubrani, o innych obyczajach... Taka Wola na przykład to zupełnie inne miasto niż Saska Kępa, a Nowy Świat jakże się różni od Starego Miasta, gdzie mieszka tylu artystów... łącznie z panem Wero. Ludzie z Mokotowa mają swoje kawiarnie, teatry i kina; jeśli nie muszą, nie jeżdżą do śródmieścia. Ci z Woli i Ochoty prawie nie znają MDM-u, żyją w pobliżu stolicy, w małych zaśmieconych miasteczkach o wielkich blokach z czerwonej cegły, jednakowych i beznadziejnych, budowanych według projektów króla Brzydala i królowej Brzyduli; mają tam własne WSS-y, Gospody i Bary, wokół których piętrzą się skrzynki z butelkami po piwie, leżą metalowe kabzle, nie opodal zaś

kilku pijaków, jak gdyby wyciągniętych ze stosu popiołu i odpadków, obrzuca się wyzwiskami, równie brudnymi i cuchnącymi jak oni, lub też pada sobie w objęcia... Ale dokąd, do której z tych Warszaw chodzą ci, którzy mieszkają w miejscowościach podwarszawskich i tylko dojeżdżają tu co dzień rano?...

Przed Xenią szedł mężczyzna wysokiego wzrostu, w jasnym płaszczu z paskiem i granatowym berecie. Serce jej zabiło gwałtownie. Znała ten chód... Przyspieszyła kroku i zajrzała mężczyźnie w twarz. Nie, to nie był ON, nawet niepodobny... Życie nie jest romanssem — uśmiechnęła się smutnie — nie, nie jest romanssem powieściowym, w którym ludzie pragnący się spotkać zawsze się spotykają.

Gdy powróciła do domu, Grażyna spała mocnym snem, uśmiechnięta, z jednym ramieniem podłożonym pod głowę. Obok tapczanu leżał jej „strój do polowania”: nowa nylonowa kombinacja, kupiony niedawno w Cedecie czarny pasek do podwiązek, obszyty koronką i cienkie kaprony.

Xenia, zdjęta nagłym rozczuleniem na myśl, że Grażyna w niczym nie przypomina wrzeszczącego noworodka („nowosmrodka”, jak go brzydko w myślach nazwała), pochyliła się nad nią i lekko pocałowała ją w zaróżowiony policzek.

— Kochany... — mruknęła Grażyna przez sen i obróciła się do ściany.

Rozdział XIV

Hektor Kaspr^owy zły był na siebie, że nie mógł zapomnieć tej „wariatki”, jak w myślach nazwał Xenię. Chodziła mu po kościach jak nerwoból. Klula go w oczy, gdy zamykał powieki i próbował zasnąć. Gniotła go gdzieś w okolicy serca. Pracował niedbale i niechętnie, na ulicy oglądał się za każdą dziewczyną krótko ostrzyżoną.

Kiedys przystanął przed wystawą Cedetu w Alejach Jerozolimskich przyglądając się aparatom radiowym i telewizyjnym, jak to normalnie mężczyźni. Prócz niego stało przed witryną jeszcze kilku gapiów; jedni czekali na tramwaj i nie mieli co robić, inni kombinowali, ile miesięcy trzeba by było nie jeść, by móc sobie kupić telewizor. Jakiś mężczyzna o nic nie mówiącej fizjonomii stanął w pobliżu Kasprowego.

Skąd ja go znam? — zastanawiał się Hektor. — Już wiem, to ten z „Kameralnej”, który wtedy był z tą „wariatką”.

Postanowił zaczepić Ofermacza.

— Czy mogę prosić o ogień?

— Proszę bardzo — odparł pan o nic nie znaczącej fizjonomii i podał mu pudełko zapalek, przy czym spojrzeli sobie w oczy.

— My się znamy, poznaliśmy się w „Kameralnej” jakieś dwa, trzy miesiące temu... Był pan wtedy w towarzystwie dwóch pań...

— Nie przypominam sobie — rzekł tamten — ale być może. Czasem się nie pamięta... szczególnie, gdy się jest trochę pod gazem...

— Jasne! — uśmiechnął się Kasprowy. — Poznaliśmy się przy barze, pan stał z taką przystojną brunetką.

— To moja żona! — rzekł z dumą Ofermacz. — Pobraliśmy się niedawno.

— Gratuluję! Piękna kobieta.

— Prawda? — ucieszył się Józek. — A jaka dobra, gospodarna...

— Niektórzy ludzie to mają szczęście. Ale pan zapewne nie przypomina sobie mojego nazwiska. Kasprowy jestem. Hektor Kasprowy.

— Cooo?! — zawołał Ofermacz i jego okrągłe oczka zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe. — Niemożliwe! Coś podobnego!

— Dlaczego moje nazwisko zrobiło na panu takie wrażenie? Czy dlatego, że takie oryginalne?

— Neeee, nie... Nic podobnego. Bardzo często spotykane nazwisko. Ja sam... — zaplątał się zupełnie — znałem takiego jednego... Ale właściwie to nie był Kasprowy...

— No widzi pan! — roześmiał się szczerze Hektor. — A teraz czyby pan nie pozwolił zaprosić się na kawę? Tu naprzeciwno, do „Roxany”.

Ofermacz zmieszany i zakłopotany spojrział na zegarek.

— Nie bardzo mam czas... Żona czeka z obiadem... Teściowa...

— Na małą chwilę — nalegał Hektor. — Wypijemy kawę i pożegnamy się. Chciałem pana o coś zapytać, a tutaj na ulicy...

Józek skinął głową na znak zgody.

— No tak, oczywiście, poznaliśmy się przy barze w „Kameralnej”, teraz sobie przypominam. Ale pan był wtedy trochę na... na bańce, że tak powiem...

— Nawet nie trochę — roześmiał się ochoczo Kasprowy — ale to była wina pańskiej koleżanki, która podczas tańca opuściła mnie na środku sali i związała.

Przeszli jezdnię, przemykając się między licznymi samochodami. Usiedli w „Roxanie” przy stoliku i Hektor zamówił dwie duże kawy. Był tak zadowolony z tego niespodziewanego spotkania, że byłby z tej radości chętnie zamówił cztery duże kawy poczwórnie wzmocnione.

— Ale ja zapomniałem się panu przedstawić — rzekł Józek

podnosząc się lekko z krzesła. — Ofermacz jestem. Józef Ofermacz.

Podali sobie dłonie ponad stołem.

— Bardzo mi miło. Pan zapewne dziennikarz?

— Skąd pan wie? — zdziwił się Józek.

— Poznałem po oczach. Ta bystrość spojrzenia oczu, które niby nic, a wszystko dojrzą i zaobserwują... Zresztą jesteśmy po części kolegami. Zacząłem od dziennikarstwa, a teraz pracuję w handlu zagranicznym. Może dojdę kiedyś... do rangi ministra komunikacji, nic nie wiadomo...

— A może pan zostanie dyrektorem jakiegoś teatru — zaśmiał się wesoło Józek.

— Niewykluczone. Warszawa to miasto wszelkich możliwości, niespodziewanych wzniesień i upadków. Ale proszę pić kawę, bo wystygnie, a ta lura zimna jest już naprawdę nie do przeknięcia! A w której redakcji pan pracuje? — zapytał na pozór obojętnie.

— W „Głosie Prawdy”. Pisuję tam artykuły gospodarcze.

— A ta pańska koleżanka?

— Która koleżanka?

— Ta wysoka blondynka, krótko ostrzyżona, która mnie wtedy w „Kameralnej” nagle porzuciła i uciekła.

— Xenia?

— Nie wiem, jak jej na imię. Czy ona, proszę pana, nie jest z lekka kopnięta?

— Jak najbardziej — odparł Józek, po czym szybko dodał — przez los.

— Ach, taak... I ona też pracuje w „Głosie Prawdy”?

— Owszem. Prowadzi kącik satyryczny.

— Uhum... To dlatego taka pozbawiona poczucia humoru.

— Nie rozumiem. Ona jest szalenie dowcipna.

— No wie pan! — Pan to nazywa dowcipem: nagle obrazić się nie wiadomo o co na swojego tancerza i splantować go na środku sali...

— Musiała mieć swoje powody, nawet domyślałem się, jakie. Nie chciała się spotkać ze swą gospodynią, która wraz z córką weszła na salę.

— To znaczy z pańską obecną żoną, tak?

— Widzę, że pan wszystko już wie, pan jest zadziwiająco bystry.

Kasprowy uśmiechnął się.

— Niech pan będzie spokojny, nie mam żadnego dodatkowego zajęcia, o które mógłby mnie pan podejrzewać. Po prostu ma się to oczko i pamięć wzrokową.

Roześmieli się obydwaj.

— Zazdroszcze panu — rzekł Kasprowy lyknawszy pół szklanki ciemnego, niesmacznego płynu — szczęścia w małżeństwie. To się zdarza również rzadko, jak wygrana kilkuset tysięcy w Totolotka. A czasem trafi człowiek pięć cyfr i okazuje się, że otrzymuje tylko kilkaset złotych. Z małżeństwem dzieje się często podobnie.

— Pan też powinien się ożenić — rzekł Józek.

— Żadna mi się do tego stopnia nie podoba. Każdej coś brakuje. Jeśli jest interesująca, to ma grube nogi, a jeśli nogi ma zgrabne, to rysy twarzy grube. Gdy ma ptasi głosik, to mózdzek jest przeważnie taki sam, a jeśli fizycznie nic jej nie brakuje, to ma znów podły charakter. Zwykle tak bywa.

— A wysokie i płaskie pan lubi? — zapytał Józek myśląc oczywiście o Xeni.

Kasprowy spojrział na niego jak dyplomata na dyplomata, który doskonale się orientuje, o co tamtemu chodzi, ale udaje, że się nawet nie domyśla.

— Wie pan, to zależy... Może być wysoka, ale kij ma dwa końce, człowiek też. Chodzi o głowę i nogi; te muszą być w porządku.

— A duże stopy pana nie rażą?

— Wolę oczywiście małe — uśmiechnął się Kasprowy (obydwaj mieli wciąż przed oczyma Xenię) — ale skoro nie może być inaczej...

— Nie, nie może być inaczej.

— Pan mówi tak, jakby pan miał na myśli określoną osobę, a przecież rozmawiamy ogólnie...

— Oczywiście — przytaknął szybko Józek.

Przestraszył się, że powiedział za wiele i że występuje jak gdyby w roli swata swej kochanej koleżanki, Xeni, której szczęścia gorąco pragnął.

— Pan wybaczy — spojrział wymownie na zegarek — ale ja już jestem spóźniony na obiad, a dziś mamy goląbki z ryżem — dodał ze smakiem.

— Tak — westchnął z humorkiem Kasprowy — pieczone goląbki nie lecą same do gąbki! Trzeba się na to ożenić...

Przywołał kelnerkę i po zapłaceniu rachunku zwrócił się zdecydowanie do Ofermacza:

— Czy mógłbym wpaść do pana, do redakcji? Będę miał dla pana zamówienie na artykuł o naszym handlu zagranicznym...

— Ależ proszę bardzo! — ucieszył się Józek. — Proszę przyjść, kiedy będzie panu najwygodniej. Urzęduję co dzień od dziewiątej rano do trzeciej po południu...

— Zajdę od razu jutro, około pierwszej. Nie ma sensu tego cdwlekać — rzekł Kasprowy.

Uścisnęli sobie serdecznie dłonie i rozeszli się — obydwaj w doskonałych humorach.

Ofermacz zastanawiał się, czy o spotkaniu z Kasprowym opowiedzieć Xeni, postanowił jednak, że nie pisnie ani słowa. Niech ma przyjemną niespodziankę!

Kasprowy zjawił się w redakcji „Głosu Prawdy” punktualnie o godzinie trzynastej. Wszedł do obszernego pokoju, gdzie pracowały maszynistki, które na jego widok natychmiast podniosły z zaciekawieniem kudłate łebki.

— Chciałbym się widzieć z redaktorem Ofermaczem.

— Pierwsze drzwi na lewo, potem korytarzem i potem trzecie drzwi na prawo...

Kasprowy rozejrzał się wokoło, lecz nie ujrzawszy osoby, o którą mu chodziło, poszedł korytarzem i zapukał do wskazanych drzwi.

Ofermacz przyjął go bardzo serdecznie. Hektor wyjął pudełko „Giewontów” i podsunął je Ofermaczowi.

— Przestałem palić — westchnął Józek. — Codziennie odkładam do skarbonki dziesięć złotych... Na pralkę dla żony — dodał konspiracyjnie.

Kasprowy przeciągał wizytę, wciąż spoglądając na drzwi. I doczekał się — bo oto w pewnej chwili otwarły się jak wrota

Sezamu i do pokoju wszedł jego skarb z plikiem papierów pod pachą.

Na widok niespodziewanego gościa „skarb” stanął, niby koń osadzony w miejscu nagłym szarpnięciem cugli.

— Och! — parsknął, złożył papiery na krzesło i uciekł.

— Xeniu! — zawołał Józek od biurka, szybko odsunął krzesło i wybiegł za nią.

Po chwili wrócił z głupią miną.

— Szukałem jej, znikła jak dym z papierosa. Nie ma jej w całej redakcji! Widzi pan, co to za głupia koza!

Był tak zdenerwowany, że sięgnął po papierosa i głęboko zaciągnął się dymem.

— Po prostu — rzekł z goryczą Hektor — nie chce mnie widzieć (grali już teraz z sobą w otwarte karty).

— Nieee, tylko widzi kolega, ona się pana wstydzi po tym wszystkim, czego narobiła. Wcale jej się nie dziwię. Ja na jej miejscu... — puścił kłęb dymu z papierosa.

— Niech pan jej powie, proszę, że dawno zapomniałem o tej głupiej historii i że bardzo chciałbym się z nią zobaczyć, porozmawiać trochę...

— To skończona wariatka — rzekł z irytacją Józek. — Nie wiem, czy zdołam ją przekonać, ale oczywiście, że powtórzę jej pana słowa. Tym bardziej — dodał wstydliwie — że pan jej się też bardzo podoba...

— Skąd pan wie? — Kasprowy poderwał się z krzesła.

— Zwierzała mi się — rzekł Józef i spuścił oczy.

— Jutro do niej zadzwonię — rzucił wesoło Kasprowy i wstał.

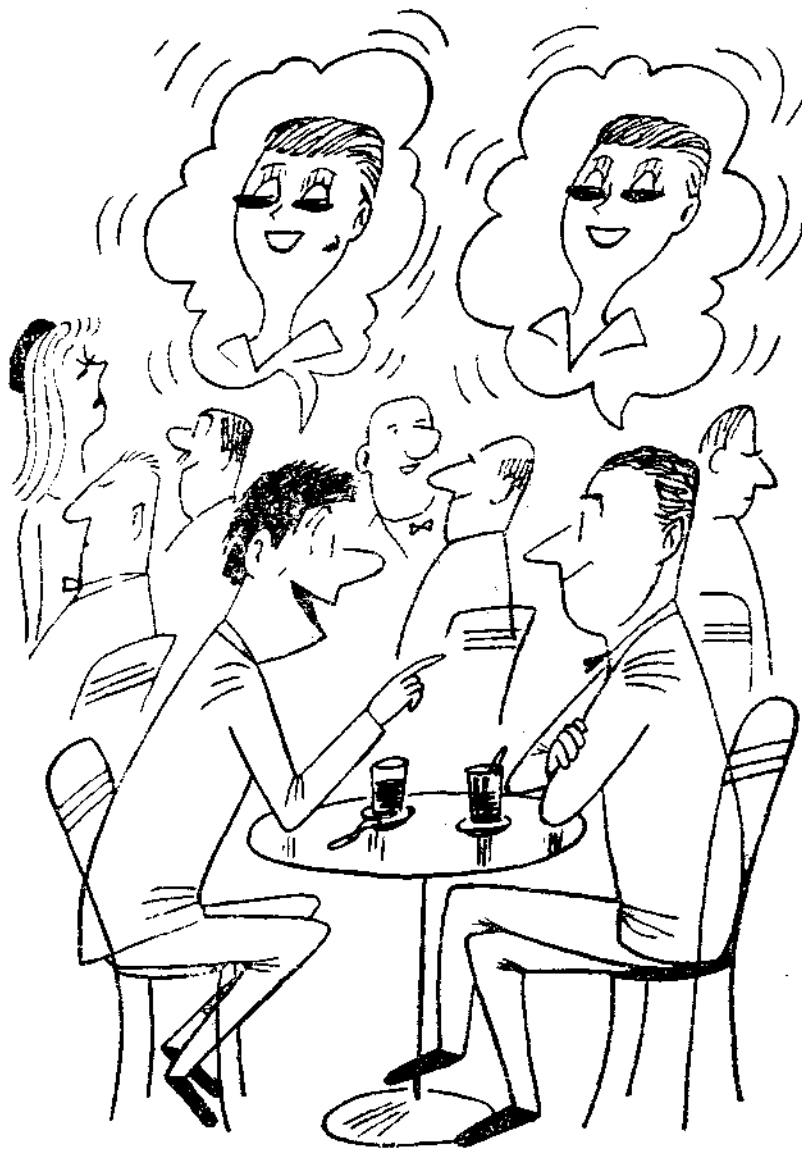
— Proszę koniecznie napisać ten artykuł. Płacimy nie najgorzej za prace zlecone tego rodzaju.

— Naturalnie, że napiszę — Józek uściśnął gorąco rękę gościa.

Pożegnali się. Idąc przez ulicę Hektor gwizdał „Que sera, sera...”, zrzucił łokciem jakąś książkę ze stoiska ulicznego, nadepnął pieskowi na nogę i najuprzejmiej przeprosił jego właścicielkę a wysiadając z autobusu zgubił rękawiczkę...

Nazajutrz w przedpołudniowych godzinach zadzwonił do redakcji.

— Poproszę do telefonu panią Xenię.



- Kogo?
- Panią Xenię. Dział satyry — dodał przytomnie.
- To znaczy wewnętrzny 00 54. W takich wypadkach telefon bywa zawsze zajęty. Kasprowy uzbroidł się w cierpliwość, odczekał długą rozmowę Xenii, która właśnie mówiła z Kamillą, i w końcu usłyszał jej głos.
- Halo! Kto mówi?
- Tu Kasprowy.
- Chwila milczenia.



— Niech pani nie odkłada słuchawki! — wrzasnął. — Muszę się z panią zobaczyć.

— Dobrze — odpowiedział głos, jak gdyby trochę drżący — ale gdzie?

— Gdzie pani zechce, byle zaraz.

— Niech pan przyjdzie do naszego klubu na dół. Zejdę tam za chwilę.

Słuchawka zamilkła. Kasprowy, który dzwonił z budki telefonicznej znajdującej się w pobliżu redakcji, wielkimi susami biegł przez chodnik. Wszedł do klubu. Zdjął płaszcz w szatni i usiadł przy pierwszym lepszym stoliku. Po kilkunastu minutach weszła Xenia. Wydała mu się brzydsza i szczuplejsza niż wówczas w „Kameralnej”. Od czasu gdy przestała być chłopcem, włosy jej odrosły i czesała się teraz modnie, płasko z tyłu, a ze strączkami włosów z przodu, które jej wyrastały jak gdyby z uszu i brwi. Przywitali się. Xenia miała lodowatą rękę.

— Napije się pani kawy?

— Oczywiście. Pan pewnie także. Kawa stała się teraz w Polsce napojem narodowym. „Kawimy się” wszyscy bez pamięci — uśmiechnęła się.

— Ale tylko inteligencja. Lud woli mocniejsze trunki...

Powiedziawszy to zamilkł i pomyślał, że miał jej tyle do powiedzenia, a teraz wszystko uciekło. Ona, zapalając papierosa, pomyślała to samo.

— Wie pani co — rzekł nagle — wtedy w Alei 3 Maja, gdy przyszedłem zrobić pani małą scenę o... Kasprowego, lepiej nam się rozmawiało...

— To prawda — przytaknęła. — Może dlatego, że byłem jeszcze wtedy „za chłopca”.

— O, proszę pani, jestem zupełnie normalnym mężczyzną i nie cierpię kobiet w spodniach!

— No, to w takim razie — roześmiała się — powinniśmy się może trochę posprzeczać...

— O, o! Właśnie! Ale pani szalenie zmizerniała od czasu, gdyśmy się widzieli. Przpracowanie?

— Żle sypiam. Mieszkam ze znajomą w jednym pokoju. A pan trochę wyłysiał. Robi się panu zbyt „inteligentne” czoło. Przejechał dłońią po włosach.

— Cóż, droga pani, starzejemy się, czas leci jak setki z tysiączki. Każdy miesiąc to taka jedna różowa secina. Wkrótce skończę trzydzieści lat.

Xenia miała ochotę powiedzieć, że ona też — za kilka lat, nic jednak nie powiedziała, tylko nieznacznie westchnęła.

— Mieszka pan dalej w Leśnej Podkowie? — zmieniła temat.

— Tak. Ale to już niedługo potrwa. Budowa kamienicy na Chmielnej dobiega końca, mam tam obiecane mieszkanie. Pokój z kuchnią i łazienką. Może już za miesiąc będę się mógł wprowadzić.

— Jaki pan szczęśliwy! To pewnie pan się i ożeni — zaryzykowała odważnie.

— Ożenić? Nigdy! Spokój i wolność to dla mnie synonim szczęścia.

— Dla mnie też. Zupełnie nie rozumiem, po co kobiety wychodzą za męża.

— Jak to dobrze, że jesteśmy tego samego zdania. Ja też nie rozumiem, po co mężczyźni się żenią. I żeby jeszcze dwoje pozostawało tylko parą. Ale gdzie jest dwoje, tam zawsze może być troje...

— A gdzie troje, tam i czworo... — podchwyciła Xenia. — Wtedy już koszmar!

— To znaczy, że pani nie lubi dzieci?

— Nienawidzę!

— Umówmy się, że będziemy się tak zachowywali, jakbyśmy mieli zamiar zostać małżeństwem! — zaśmiał się ironicznie. — Ale, wie pani, wołałem panią z tymi krótko ostrzyżonymi włosami.

— A cóż mnie to obchodzi, że mnie pan wołał — odburknęła. Uroczy tancerz z „Kameralnej” z każdą chwilą mniej jej się podobał. — No, ja już muszę wrócić do redakcji — rzekła poprawiając włosy w lusterku.

— I nie powinna się pani malować.

— Niech pan mi da święty spokój! — zachnęła się. — Nie mam zupełnie zamiaru chcieć się panu podobać.

— A więc jednak posprzeczałyśmy się — rzekł wesoło. — Ja też muszę już iść.

Skinął na kelnerkę i zapłacił za obie kawy.

— Kiedy się znowu zobaczymy? — zapytał i przytrzymał jej rękę w swojej ciepłej, mocnej, trochę twardej dłoni.

— Nie wiem...

— Przestałem się pani podobać...

— Kto panu powiedział, że mi się pan kiedykolwiek podobał?

— Mały palec, a raczej mały pan Ofermacz.

— Głupi plotkarz!... Może jednak rzeczywiście, wtedy po dansingu... Ale to mi już dawno wywietrzało z głowy.

— Mnie też... Bo pani również zrobiła na mnie wrażenie. Wówczas był taki specjalny nastrój: muzyka, wódka, kobiety. Przyznam się, że nie mogłem o pani zapomnieć. Chodziła mi pani po kościach.

— Pan mnie też... — szepnęła.

— Szkoda, że nam obojgu to przeszło — westchnął.

— Szkoda...

— I pani sądzi, że już nie wróci?

— Nie wiem...

— W każdym razie ja jeszcze do pani zadzwonię. Umówimy się na wieczór do jakiegoś lokalu. Zgoda?

— Zgoda, jeśli nie będę miała nic lepszego w projekcie.

— Czy chodzi o lepszego faceta?

— Nie znam „facetów”.

— Za tydzień do pani zatelefonuję. Tylko mam jedną prośbę, trochę głupią... Pani się nie pogniewa?

— No, niech pan powie.

— Jak się umówimy, niech pani włoży tę śliczną sukienkę, co wtedy... Żeby był ten sam obraz.

Xenia uśmiechnęła się smutno i nic nie odpowiedziała. Śliczna sukienka nie była przecież jej własnością, lecz Grażyny, a nie wiadomo, czy ona teraz zgodziłaby się jeszcze raz ją pożyczyć...

Pożegnali się w drzwiach klubu.

Tej nocy Xenia bardzo cicho płakała w poduszkę.

Kasprowy nie zadzwonił ani za tydzień ani za dwa. Xenia wciąż pytała telefonistki, czy nie było do niej telefonu.

— Miał do mnie dzwonić taki wysoki, przystojny pan...

— A skąd ja mam wiedzieć, czy ten, kto dzwoni, jest wysoki, albo przystojny? — logicznie odpowiedziała panna i wzruszyła ramionami.

Serce Xenii krwawiło, a raczej krwawiła zraniona ambicja (to bardzo łatwo pomylić!). Czula się upokorzona i przegrana. Po prostu przestała mu się podobać, więc zwiął. A swoją drogą bardzo brzydko wyglądała tego dnia...

Wskutek ciągłego myślenia o Kasprowym poczuła, że jest w nim zakochana, i to... nieszczęśliwie. Nowoczesna, wysportowana dziewczyna nieszczęśliwie zakochana! Rzecz wręcz śmieszna! A jednak...

Twarz Hektora zamazywała się w jej pamięci, z trudem składała ją, jak klocki obrazkowe. Garbaty nos nie pasował do ust, widocznie ON miał orli. Orli znów całkiem nie szedł w parze z oczyma, które najlepiej pamiętała — były jasne i obrośnięte rzęsą, jak leśne stawki.

ON zauważył, że było jej bardziej do twarzy w męskim uczesaniu, więc kazała sobie włosy przyciąć mniej więcej tak samo, jak wtedy, kiedy była „za chłopca”. Powiedział, aby się nie malowała, kupiła zatem bardzo jasną pomadkę do ust i gdzie mogła wystawiała twarz na słońce, żeby się opalić i nie używać różu

i pudru. Chwilami starała się go sobie obrzydzić; wmawiała w siebie że jest przeciętnym, lysiejącym przechodniem, który przeszedł przez jej życie zatrzymawszy się tylko na moment, jak na scenie drugoplanowa postać epizodyczna...

Pograżona w tych myślach, Xenia chodziła zaszępiła, co fatalnie wpłynęło na redagowany przez nią „Kącik humoru”, który stał się tak nudny, że nawet naczelny zwrócił jej na to uwagę. Grażyna też była jakaś zgaszona, widocznie coś z jej chłopakiem nie całkiem klapowało — czyli według określenia Xenii nie było „wsio okej”!

Któregoś dnia Grażyna zaproponowała Xenii, aby się razem wybrały do kabalarki.

— Jak to? — zdziwiła się Xenia. — Coś takiego jeszcze istnieje?

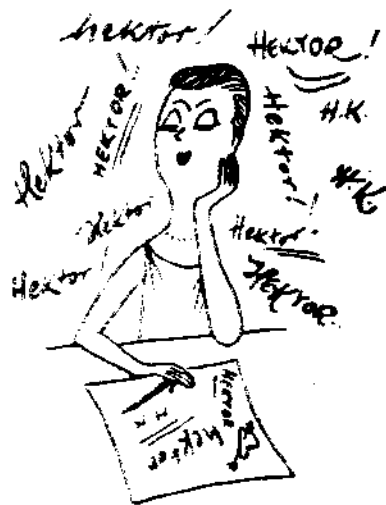
— Oczywiście, tylko robią to pokątnie i w wielkiej tajemnicy. Danusia zdradziła mi jej adres w zamian za adres krawcowej. Podobno przepowiada nieomylnie.

— Jeśli jest tak, jak mówisz, to będą do niej kolejki, a ja już mam dosyć kolejek warszawskich i tego nieustannego „dnia kolejkarza”. Zresztą nie wierzę w takie bzdury...

— Kto by tam wierzył! — przytaknęła gorąco Grażyna. — I właśnie dlatego można spróbować, ot tak sobie, dla hecy. Ja w każdym razie wybieram się do niej dzisiaj, bo dzisiaj piątek. Mogę cię z sobą zabrać.

W okolicy Pałacu Kultury stoją jeszcze dzisiaj na pół rozwalone i spalone mumie kamienic — straszliwe memento wojny — spoglądające pustymi oczodołami okien bez szyb na biały przepych pałacu. Gdzieś widać jeszcze oznaki życia: za mętną szybą czerwieni się pelargonie lub szalwia w doniczce, zieleni się kaktus. Przypomina to starą, zniszczoną mogiłę, na której jakaś pieczołowita ręka kładzie troskliwie wianuszek z nieśmiertelników, sady bratki wierząc, że i zmarłym będzie to mile.

Obie przyjaciółki z odrazą i niepokojem przeszły przez małe zaśmiecone podwórko i wstąpiły na szare, brudne i niemal zawalone schody. Jak zwykle w takich rudkach, czuć było kotami, choć samych kotów widać nie było. Xenia pomyślała, że staro-



żytni Egipcjanie, którzy między innymi zwierzętami czcili również i koty, mieli przytępiony zmysł powonienia.

Zapukały do drzwi, na których widniało nazwisko: *A n a s t a z j a* Dubczyk.

— To tutaj! — rzekła Grażyna.

Wyjrzała mała dziewczynka w brudnej sukience, z bławatkami oczu w szarej twarzyczce.

— Do kogo? — zapytała nieufnie.

— Tu podobno mieszka ta pani, która stawia karty.

Dziewczynka bez słowa wpuściła je do izby, która była zarazem i kuchnią, i pokojem, i poczekalnią. Stara babcia, skrzyżowanie człowieka z pajakiem i pajęczyną, gotowała coś na piecyku. Obok kuchennego pieca stał wózek z dzieckiem, które ryczało. Przy stole, rękami zasłaniając uszy, siedział kilkunastoletni ładny chłopak i pisał coś w zeszytce. Na wkleśłym, zniszczonym tapczanie czekało kilka „klientek”. Miały chustki albo kolorowe berety na głowach i tępe, ponure twarze. Siedziały w płaszczach barwy popiołu z piaskiem, z szeroko rozkraczonymi nogami, obutymi w pantofle bez pięt, które ukazywały pończochy pochłapane błotem.

Xenia chwyciła Grażynę za rękę.

— Chodźmy, przecież nie będziemy tu czekały jak głupie, i w dodatku w takim powietrzu. Przyjdziemy innym razem.

— Drugi raz nie będzie nam się chciało tu przyjść. Zostańmy.

Oparły się o ścianę i czekały na swoją kolej, jak w Ubezpieczalni.

— Chciałam się od tej wróżki dowiedzieć — rzekła jedna z kobiet — czy długo tak się będę męczyć z tym swoim chłopem. Znowu całą noc spędził w izbie wytrzeźwień. Wszystkie jego zarobki idą na wódkę. Ona przepowiedziała kiedyś mojej sąsiadce śmierć w rodzinie, no i niedługo potem ta sąsiadka teściową pogrzebała...

— Co pani powiesz? — zdziwiła się druga. — To znaczy, że dobrze przepowiada. Ja to bym chciała, żeby mi wskazała szczęśliwe numery w Totka. Sklepek bym sobie założyła — dodała z rozmarzeniem w oczach.

— A ja bym chciała wiedzieć — odezwała się trzecia —



kiedy mojego starego puszcza. Inni narobili kantów, a on niewinnie siedzi... Właśnie byłam w szpitalu na chorobie, kiedy to się stało...

Obok nich, na kiwającym się stolku, siedziała ładna, młoda dziewczyna w kokieteryjnej nylonowej chusteczce. Ta prawdopodobnie miała inne kłopoty.

Po godzinnym czekaniu przyszła kolej na przyjaciółki.

Pokój, do którego weszły, przedstawiał zniszczone drobno-mieszczkańskie marzenia. Stały w nim dwa małżeńskie łóżka z wysoko ułożonymi poduszkami, przykryte siatkową kapą z frędzlami. Na obu łóżkach leżały, czymś niewidocznym podparte, okrągłe i trójkątne poduszczyki z marszczonego różowego jedwabiu. Nad nimi wisiała na ścianie duża fotografia małżeńskiej pary w słabnych strojach: on miał czarne wąsiki, ona czarno podmalowane powieki; oboje wytrzeszczali oczy w przyszłość, o której jeszcze nie wiedzieli, czy będzie jasna, czy ciemna... Pod drugą ścianą wybrzuszał się dumnie kredens z orzecha kaukaskiego, za którego szklaną witryną paradowały kolorowe kryształowe kielichy.

Przy okrągłym stole, przykrytym narzutą, siedziała „wrózka”. Była to osoba w wieku nijakim, z wielką czupryną, utlenioną na złoty kolor; na jej pospolitej twarzy nic się nie malowało poza sztucznymi rumieńcami i ustami, pociągniętymi ciemnowiśniową pomadką. Miała na sobie suknię przypominającą i rozchełstaną perkalową nocną koszulę, i tandetną nieświeżą „poddonkę”. Na stole leżała talia potluszczonych i zniszczonych kart.

Na pierwszy ogień poszła Grażyna, mimo wszystko trochę zemocjonowana.

— Przepowiadam przyszłość i przeszłość — wyrecytowała jednym tchem wróżka. — Z przeszłością o dziesięć złotych drożej.

— Przeszłość znam — rzekła Grażyna — proszę mi powiedzieć to wszystko, co ma mnie spotkać w najbliższej przyszłości.

— Połóż pani tutaj na kartkach dwudziestaka, aby się wróżba sprawdziła.

Grażyna posłusznie wyjęła z torebki dwadzieścia złotych i po-

łożyła na talii. Xenia spojrzała na ręce kabalarki i pomyślała, że charakter i upodobanie człowieka o wiele łatwiej poznaje się po rękach niż po twarzy. Twarz można ucharakteryzować, nadać jej odpowiedni wyraz — na ręce nie ma rady! Czerwone pazury nie zmieniają pospolitego wyrazu krótkich, tłustych palców, łopatkowatych paznokci, szerokiej małej dłoni.

Kabalarka wlepiła oczy w sufit.

— Święty Xenofonie, święta Agato męczenniczko, święty Hermesie i sześciu młodzianków w piecu ognistym, wzywam was, abym oświecona przez wasze pośrednictwo ujrziała w tych kart-



kach, co się ma stać, co się nie odstanie, czego serce pragnie, a co duszę ukoi, złe i dobre. Amen. Proszę powtórzyć: amen.

— Amen! — powtórzyła Grażyna z głupkowatym uśmiechem.

— Nie wyglupiaj się! — Xenia trąciła przyjaciółkę łokciem, po czym ironicznie spojrzała na kabalarkę. — To pani jest taka pobożna?

— Kto z Bogiem, Bóg z nim — odparła tamta karcącym tonem. — To nie jest czarne maggi, tylko białe maggi, a białe maggi zawsze z Bogiem i świętymi pańskimi.

— Chyba „magia”, a nie „maggi!” — poprawiła ją rozbawiona Xenia.

Kabalarka popatrzyła na nią ze złością i kazała Grażynie rozdzielić karty na trzy kupki.

— Duże powodzenie w domu publicznym na tańcówce — recytowała teraz jednym tchem — urzędowa osoba w domu, daleka podróż na wylocie, zazdrosna przyjaciółka z kłopotem do domu. W niedalekiej przyszłości blondyn z ożenkiem...

— Nie znam blondyna — przerwała jej Grażyna.

— Proszę wyciągnąć trzy karty. Co serce ukoi, a pragnienie wzmoże... Brunet się ściele, szatynka z zadróścią koło niego.

— Zgadza się — rzekła z triumfem Grażyna. — To jego żona! I co, rozwiedzie się?

Kabalarka tylko czekała, aby klientka „puściła farbę” i zaczęła mówić o sobie, ochoczo więc przytaknęła, że brunet na pewno się rozwiedzie, że „mariążowa karta jest koło Grażyny, choć bubek żółedny stoi na przeszkodzie”. Skończyła i tłuste, chciwe ręce złożyła na podółku.

— A teraz pani...

— Tylko proszę bez tego pobożnego wstępu ze świętym Xenofontem i świętym Hermesem, bo szkoda czasu — rzekła Xenia.

Wróżka spojrzała na nią z odrazą.

— Spróbuję — mruknęła ponurym głosem — proszę karty zebrać na trzy kupki.

Polizała paluchy i zaczęła karty układać w dwa rzędy.

— Co serce niepokoi, a w głowie płonie: matka chora na nogi, chodzić nie może...

— Nieprawda! — przerwała jej Xenia ze złością. — Moja matka nigdy na nogi nie chorowała i nie chodzi, a biega.

— No, to zachoruje! Szpital się ściele. Dziesiątka winna obok, dużo gości w domu. Babce interes dobrze idzie, karta pieniężna koło niej...

Xenia ze śmiechem zwróciła się do Grażyny:

— Babci „interes” dobrze idzie, uważasz, w niebie z aniołkami. Może tam sklep z delikatesami założyła... hihih!

— Jak mnie pani masz obśmiewać, to nie będę kładła i już! — obrazila się wróżka.

— Za moje pieniądze nie wolno mi trochę pożartować? Proszę, niech pani stawia dalej.

Zdenerwowana wieszczka zapaliła papierosa i zmiarkowawszy, że ta ironiczna klientka ma jednak zamiar zapłacić za wróżbę, zaczęła pleść dalej:

— List w drodze w urzędowej sprawie, kłopot z szatynką w domu, zazdrosną, mała kradzież na wylocie, brunet się ściele...

— A może to nie brunet, a szatyn? — zainteresowała się mimo woli Xenia.

— Może być szatyn — zgodziła się kabalarka.

— No i co? Przyjdzie? Zatelefonuje? — Xenia pytała z zainteresowaniem, zapomniawszy o swoim kpiącym stosunku do kabaly.

— Połóż paniusia tutaj, na królu sercowym, piątkę, to się zaraz dowiemy. — A gdy Xenia spełniła jej żądanie, rzekła z namaszczeniem: — Co serce ukoi, a pragnienie wzmoże: ożenek.

— Mój czy jego?

— Wspólny. Ino co kłopoty w domu z mieszkaniem. — Pochyliła się, aby podnieść torebkę Xeni, która spadła z poręczy krzesła i znalazła się pod stołem. — No, to byłoby wszystko.

Dała tym do zrozumienia, że seans skończony i że inne klientki czekają na swoją kolej. Zapłaciły więc, kiwnęły wróżce na pożegnanie głową i wyszły.

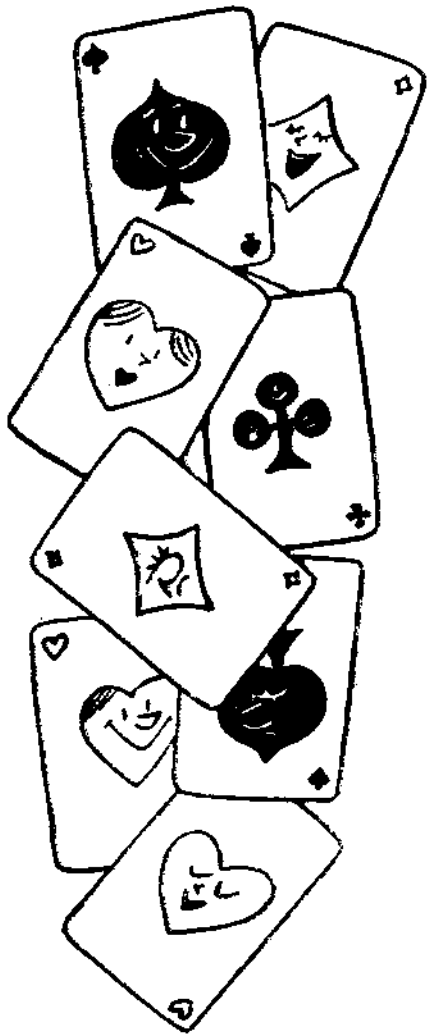
W przejściu jedna z paniusów chwyciła Xenię za rękaw.

— No i co? No i co? Dobrze mówi? Prawdę? Warto do niej iść?

— Któż z nas zna prawdę? — odparła Xenia sentencjonal-

nie. — Ale iść można. Tylko jeśli wywróży, że pani matka choruje na nogi, a babcia handluje, to niech jej pani od razu odpowie, że buja!

— Jakżeż buja, paniusiu, jakżeż? Taż to sama prawda! Mamusia moja, jak zeszłego roku poszła na chorobę, z tych nóg



właśnie, tak jeszcze do dzisiaj leży, a babcia na bazarze ciuchami handluje. Dobrze powiedziała, lecę do niej!

Gdy Xenia w powrotnej drodze (którą odbywały tramwajem) zaczęła szukać swojej miesięcznej karty, spostrzegła z nie miłym zdziwieniem, że atrakcyjny różowy języczek setki nie wyziera z przegródki torebki; dokładny przegląd zawartości nie dał pożądanego rezultatu.

— A widzisz! — rzekła poważnie Grażyna. — Jedna wróżba już się sprawdziła: przecież kabalarka przepowiedziała ci najwyraźniej małą kradzież...

Rozdział XV

Złośliwość losu nie na tym polega, że nie spełnia on naszych marzeń, lecz że spełnia je z wielkim opóźnieniem, gdy już człowiek nie liczy na ich realizację.

Szczęście — to pozyskanie obiektu swoich marzeń w chwili, kiedy się tego najbardziej pragnie, a nie w długi czas później, gdy siła pragnienia osłabnie. Toteż głos Kasprowego, który zabrzmiał pewnego dnia w słuchawce, nie nappełnił Xenii radością, lecz raczej żalem i goryczą, że stało się to tak późno — gdy przestała już o nim myśleć.

Hektorek przeproszał, mówił, że był dłuższy czas za granicą i że koniecznie chciałby się z nią zobaczyć. Odpowiadała mu obojętnym, chłodnym głosem.

- Gdzie się spotkamy?
- Może w klubie redakcji „Głosu Prawdy”?
- A kiedy?
- Teraz jestem bardzo zajęta, może w przyszłym tygodniu...
- Którego dnia?
- Powiedzmy w środę...
- O której?
- Między pierwszą i drugą.
- A czy się pani na mnie gniewa?
- Nieee! Zobojeźniałam na to wszystko...
- Jaka szkoda! A może to się da naprawić?
- Może... Do widzenia!

Xenia postanowiła się zemścić i nie przyjść na to spotkanie.

Ale już we wtorek wiedziała na pewno, że pójdzie, lecz weźmie z sobą Grażynę. Kasprowy wścieknie się, nie zastawszy jej w kawiarni samej... Mogłaby równie dobrze zaprosić do swojego stolika kogoś z kolegów redakcyjnych, ale to by było szyte zbyt grubymi nićmi i kto wie, czyby się Hektor nie obraził. O wiele subtelniej będzie wziąć z sobą babę...

— Grażynko, czy mogłabyś pójść ze mną jutro w południe na kawę?

— Nie wiem, czy uda mi się zwolnić z biura.

— Błagam, zrób to dla mnie!

— Dlaczego tak ci na tym zależy?

— Chciałabym, aby moi koledzy redakcyjni widzieli, jaką mam ładną i elegancką przyjaciółkę.

— No, skoro tak, to się postaram.

Obie młode kobiety ubrały się jak mogły najlepiej. Grażyna włożyła swój nowy kostium, który uwydatniał jej talie, a Xenia białą bluzkę i granatową plisowaną spódniczkę, wiedząc z doświadczenia, że panowie najlepiej to lubią. Uczesana w „simonkę”, z ustami lekko uróżowanymi, wyglądała jak starsza harcerka, jak marzenie tych chłopców, którzy nie lubią kocia-ków.

Kasprowy zjawił się w kilka minut po nich. Wyglądał o wiele bardziej atrakcyjnie niż ostatnim razem. Miał na sobie nowy, doskonale skrojony popielaty garnitur i zagraniczny krawat. Kiedy ją ujrzał, wszystko na twarzy mu się rozszerzyło — usta, oczy, fałdy koło ust. Przypominał psa, który dawno nie widział swojej pani i cieszy się całym pyskiem. Gdyby miał psi ogon, z pewnością uderzałby nim radośnie o podłogę.

Szedł tak szybko w stronę ich stolika, że po drodze potracił kelnerkę roznoszącą kawę i przewrócił jakieś puste krzeselko. Gdy Xenia przywitała się z nim chłodno i przedstawiła go przyjaciółce, psi entuzjazm znikł. Kasprowy spoglądał na Grażynę pochmurnym wzrokiem, myśląc tylko o tym, kiedy sobie pójdzie i zostawi ich samych. Grażyna jednak, biorąc ten wzrok za najlepszą monetę, zaczęła go kokietować. Uważając, że zdobywanie nowego mężczyzny powinno polegać na gadaniu byle czego — rozgdała się po kobiecemu, przerywając paplaninę krótkimi śmieszkami i strzelaniem mocno podmalowanymi oczyma.

— Przecież my się znamy. Doskonale pana sobie przypominam; był pan kilka miesięcy temu w „Kameralnej”. Tylko że wtedy nie zwracał pan na mnie najmniejszej uwagi, do czego zupełnie nie jestem przyzwyczajona. Tańczył pan jedynie z Xenią, która jest kochaną dziewczyną, ale o nowoczesnych tańcach nie ma pojęcia. Ja natomiast jestem urodzoną tancerką...

Kasprowy wcale nie słuchał gadaniny Grażyny, wpatrzony w Xenię, która udając, że tego nie widzi, piła kawę i paliła papierosa.

— Szalenie lubię plisowane spódniczki i białe bluzki — rzekł. — W takim stroju każda ładna dziewczyna jest podwójnie dziewczyną i podwójnie ładną.

— To mój mundur, który kładę do pracy — skłamała Xenia. — Co dzień tak się ubieram.

Kasprowy już się zmartwił, że to nie dla niego tak się wystroił, gdy nagle Grażyna zaczęła się śmiać.

— Niech jej pan nie wierzy! Pierwszy raz ma tę spódniczkę na sobie, kupiła ją wczoraj na ciuchach. A do pracy kładzie zawsze czarny sweter i starą spódnicę w szkocką kratę...

Xenia zaczerwieniła się i z wściekłością spojrzała na niedyskretną przyjaciółkę: po co wzięła z sobą tę gadatliwą idiotkę?! „Kobieto, psycho marna!” — pomyślała i o sobie, i o Grażynie.

Kasprowy trochę się zmieszał i ręką zasłonił zażenowany uśmiech. Zrozumiał, dlaczego Xenia zabrała na to spotkanie swą przyjaciółkę: chciała, aby nie byli sami we dwoje, a równocześnie pragnęła go podrażnić. Postanowił zrobić jej także na złość.

— Jak pani świetnie w tym szaroniebieskim kolorze — zwrócił się do Grażyny. — Pani należy do tych kobiet, które nie przechodzą nie zauważone. Gdyby pani pojechała do Włoch, byłaby pani wciąż narażona na zaczepki mężczyzn.

— Ach, proszę pana — odparła Grażyna zerknąwszy tryumfująco na Xenię — na to nie potrzeba jechać do Włoch, w samej Warszawie jest się również ciągle zaczepianą. Zresztą Włochy to takie małe miasteczko, nie sztuka mieć tam powodzenie...

Kasprowy spojrzał na Xenię i oboje zaśmiali się jednocześnie. Uwaga Grażyny rozładowała nieszczerą, wymuszoną atmosferę, która unosiła się nad ich stolikiem.

— Ja mówiłem o Włoszech, nie o Włochach — rzekł Hektor śmiejąc się. — Pani jest naprawdę wspaniała!

Patrzył na Grażynę, ale śmiał się do Xeni. Wiedziała o tym doskonale — zrobiło jej się słodko i rzewnie na sercu. Tak, nie było wątpliwości: kochała tego uroczego drania, który już tyle krwi jej napsuł, i czuła, że on także... Ale rozmyślenia na ten temat postanowiła snuć w łóżku, gdy Grażyna zgasi światło...

Po chwili wstała.

— Muszę wyjść do szatni, by zatelefonować.

Był to oczywiście manewr. Jeśli Kasprowy jest domyślny, pójdzie także do szatni po papierosy.

Dogonił ją w połowie drogi i mocno schwycił za rękę.

— Po co pani przyprowadziła tę idiotkę? Mnie na złość?

— Przecież pan oczu od niej nie odrywa. Ładna, prawda?

— Piękna. Ale ja wolę takie jak pani.

— To znaczy?... Panie Hektorze, jeśli pan powie, że pan nie lubi kobiet ładnych, tylko inteligentne, to już się nigdy nie zobaczymy.

— Nie powiem, ponieważ jest pani skończoną idiotką.

— Co takiego?! — wyrwała rękę z jego uścisku. — Co pan powiedział?

— Skończoną idiotką — powtórzył, ale takim tonem, jakby jej mówił najczulsze słowa; a potem kilka razy wyszeptał jej imię: Xenia, Xenia, Xenia...

— Co? — spytała cicho i miękko.

— Nic, już wszystko dobrze. Kiedy pójdziemy potańczyć? Jutro, o dziesiątej wieczorem będę na panią czekał przed „Kameralną”. Tylko proszę nikogo z sobą nie zabierać.

— Dobrze... Hektorze. A teraz wróćmy na salę. Ja pierwsza, a pan za chwilę...

Grażyna po oczach i wyrazie ust Xeni od razu poznała, że tych dwoje dogadało się.

— No i co? — spytała ironicznie. — Umówiliście się na randkę?

— Skąd?... W ogóle nie rozmawialiśmy. Ja poszłam telefonować, on kupował papierosy.

— Nie kłam. Ale nie radzę ci się w nim bujać. Tak samo uwodzi ciebie, jak mnie, i gdybym tylko zechciała, zaraz by się ze mną umówił na spotkanie. Tani, prowincjonalny uwodziciel.

— Zupełnie zgadzam się z tobą — przytaknęła gorąco Xenia. Rozmowę, którą z nim odbyła przed chwilą, chowała na sercu pod bluzką jak cenny złoty medalion, który u innych mógłby wzbudzić zazdrość i chęć kradzieży.

Kasprowy wrócił, usiadł i przywołał kelnerkę. Po chwili wszyscy troje znaleźli się na ulicy.

— Ja wracam do redakcji — rzekła Xenia.

— A ja do biura — oświadczyła Grażyna.

— Podprowadzę panią do przystanku autobusowego — rzekł Hektor do Grażyny i wziął ją pod ramię. — Pozwoli pani?

— Ależ oczywiście... — Grażyna spojrzała na Xenię wzrokiem, w którym był tryumf i politowanie, spojrzenie jej mówiło: — Widzisz, biedaczko, że twój chłopak woli mnie! Ale czyż można mu się dziwić?

Teraz chodziło o to, aby wyłudzić od Grażyny ową nylonową sukienkę, w której Hektor poznał Xenię. Przecież wyraźnie wspominał, że mu się w niej bardzo podobała.

— Grażynko — zaczęła — idę dziś wieczorem na imieniny mojej kuzynki i potrzebuję jakiejś cocktailowej sukni. Pożycz mi tę twoją nylonową w kwiaty.

— Także coś! Moją najładniejszą suknię? Zwariowałaś!

— Przecież raz mi ją już pożyczałaś wtedy, pamiętasz... kiedy byłam jeszcze chłopcem.

— Nie pożyczę ci jej, zresztą wyglądałaś w niej jak beczka, jak beczka śmiechu, oczywiście.

— Mniejsza z tym, jak wyglądałam, proszę cię, pożycz! Powiedz co chcesz za to?

— Nie prowadzę przedsiębiorstwa „wynajmu sukien wieczorowych”... Zresztą nie masz nic takiego...

— Podobała ci się moja włoska chustka, ta nowa. Weź ją sobie.

— Na zawsze? — zapytała Grażyna, tak jak zwykły pytać dzieci, gdy coś otrzymają lub wyłudzą od swoich rówieśników.

Xenia zawahała się na moment, lecz potem powiedziała zdecydowanym tonem:



— Na zawsze.

— Nie... Nie, nie chcę, potem powiesz, że jestem interesowna. Weź już sobie tę suknię, tylko żebyś mi jej nie powalała.

— Uprzejmość za uprzejmość — rzekła ochoczo Xenia. — Ty mi pożyczasz swoją ulubioną suknię, a ja ci daruję szalik, zgoda?

— No, niech już będzie — łaskawie zgodziła się Grażyna i wyciągnęła z szafy „suknię szczęścia”, jak ją w myślach nazywała Xenia.

Kasprowy spacerował przed „Kameralną”. Ujrzawszy Xenię ucieszył się jawnie i szczerze. Weszli na salę dansingową, gdzie znaleźli mały stolik, wcisnięty między inne stoły. Siedzieli naprzeciwko siebie, paląc papierosy i na razie nie mówiąc ani słowa. Czekali, aż milczenie przemówi, a ponieważ w takich chwilach przemawia ono ustami kobiety, więc Xenia odezwała się pierwsza.

— Nawet pan nie zauważył, że mam na sobie tę samą suknię, co wtedy... Wtedy, kiedy pierwszy raz poprosił mnie pan do tańca.

— Zauważyłem. Jest w niej pani tak do twarzy, że w ogóle nie powinna jej pani zdejmować.

— Ładnie by wtedy wyglądała!

— Kto?

— Pan się pyta? Suknia!

— Aha! Racja. A czego się napijemy?

— Może... wermutu.

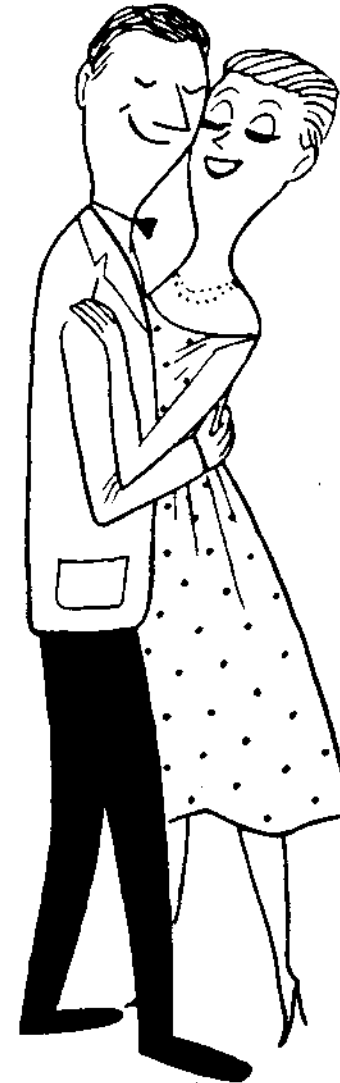
— Kiedyś poszedłem z pewną piękną panią na dansing — rzekł uśmiechając się. — Gdy zapytałem, czego się napije, odpowiedziała bardzo dystygowanie: „Ja poproszę o kieliszek wermausu”! — Dobrze, co?

Oboje się roześmieli.

— I wie pani — mówił Kasprowy — od tego czasu nie pijam już w lokalach wermutu, obrzydziła mi go. Można być zabawnym, ale nie należy być śmiesznym, prawda?

— A ja... jestem jaka?

— Pani? Szalenie zabawna... I dlatego tak panią polubiłem od pierwszego zamienionego z panią słowa. Utarło się powiedze-



nie: „zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia”, a to jest nieprawda. Wygląd jest oczywiście bardzo ważny, tak jak okładka książki, ale wartość danego dzieła oceniamy nie na podstawie okładki, lecz pierwszych przeczytanych rozdziałów.

— Pan ma dzisiaj swój inteligentny dzień — zauważyła Xenia.

— Robię wszystko, aby się pani spodobać.

— Już się stało — rzekła Xenia i spuściła oczy.

Kasprowy nic na to nie odpowiedział, tylko skinął na kelnera i zamówił, bez porozumienia się z nią, dwie eksportowe wiśniówki.

— Musimy jakoś oblać naszą zgodę. A teraz chodźmy za-
tańczyć.

Wstali i poszli na parkiet, gdzie już kilka par z ponurymi twarzami i w milczeniu uprawiało ćwiczenia taneczne.

Taniec dwojga ludzi, którzy się sobie podobają, można by było nazwać przymiarkami erotycznymi. Poznaje się wówczas najlepiej zapach danej osoby, temperaturę rąk, rodzaj oddechu i sprężystość mięśni. Xenia z uczuciem najwyższej radości wtuliła się w swojego tancerza, on zaś objął ją tak mocno, że broszka, którą miała przypiętą do sukni, zaczęła ją dotkliwie ugniatać. Xenia przemknęło przez myśl, że gdyby miłość między dwojgiem ludzi ograniczała się jedynie do takiego erotycznego tańca, toby nie istniały wówczas żadne miłosne zawody, tragedie i porzucenia. Tylko że kto powie „a”, musi powiedzieć i „b”; tego rodzaju taniec to właśnie „a”, zaś „b”, które po nim nastąpi, może wszystko zepsuć...

Orkiestra przestała grać i tak jak w bajce Andersena niewidzialna Wróżka-Skoronózka zawołała:

— Wszystko na swoje miejsce!

Młodzi chłopcy i dziewczęta, jeszcze przed chwilą w transie, teraz szli do stolików z obojętnymi twarzami, jak gdyby się nic przedtem nie działo; nie mówili do siebie ani słowa, a jeśli rozmawiali, to o rzeczach obojętnych i blahych.

Xenia z Hektorem wrócili do stolika. Ona podparła rękami twarz, unikając spojrzenia Hektora. Była trochę zmieszana, jak po miłosnej przygodzie.

— Napijmy się — powiedział, tak jak mówią na ogół mężczyźni w podobnej sytuacji, i trącił się z nią kieliszkiem.

Spojrzeni sobie w oczy.

— No tak — rzekł Hektor po chwili — ale gdzie ja będę dzisiaj nocował?

— Jak to gdzie? U siebie w domu.

— Taak, ale jak się dostać do domu, czyli do Podkowy? O tej porze odjechała już ostatnia kolejka. Taksówka kosztowałaby majątek. Chyba na dworcu...

— A nie ma pan w Warszawie żadnych znajomych?

— Właściwie nie mam... Myślałem... — położył swoją dużą, silną rękę na jej długich palcach.

— Co pan myślał?

— No, myślałem, że... że ty, Xeniu, przenocujesz mnie u siebie.

— Jaaa?

— Po co to „jaaa”? Nie udawaj, że nigdy nie nocowałaś u siebie żadnego chłopaka.

Xenia spojrzała na niego z żalem — tak jakoś nieładnie to powiedział. Zapaliła papierosa.

— Nie jestem u siebie — rzekła chłodno — mieszkam z moją przyjaciółką Grażyną.

— Pech nieludzki! — mruknął. — I co ja biedny zrobię?

— Nie wiem.

— Gniewasz się? — Znow położył rękę na jej dłoni.

— Nie gniewam się — mruknęła — ale to nie było zbyt zgrabnie powiedziane.

— Przyznaję, ale chciałbym spędzić z tobą tę noc... — szepnął.

— Tylko tę jedną? — zapytała ironicznie.

— Nieee, ty jesteś cudna! — zaśmiał się. — Jedną i drugą, dziesiątą i setną!

— Jednym słowem proponujesz mi romans. A ja nie chcę! — rzekła butnie i podniosła brodę do góry.

— Nie chcesz? A ja myślałem, że my dwoje — to całkiem udana kombinacja.

— Nie chcę romansu — odparła. — Mężczyźni pod tym

względem są wstętni, bo tak samo określają kobietę, która im się oddała, jak tę, która oddaje się innym.

— Ma się to doświadczenie, cooo? — zauważył z cynicznym uśmiechem.

— Ma się. A w ogóle dosyć już tej zabawy. Proszę mnie odwieźć do domu.

— Słuchaj, Xeniu... — Przynął się razem z krzesłem i objął ją ramieniem.

— Co za maniery! — rzekła wydymając wargi.

— Nie rozumiem, dlaczego w tańcu wolno objąć tancerkę, a bez muzyki — nie. Głupia konwencja, której nie uznaję... Kiedyś podsłuchałem siedzącą na ławce parkę; ona — typowa „egzystencjalistka”, w czarnym szaliku okręconym wokół szyi, on — prosty miły chłopak. W pewnym momencie powiedział jej tak, jak to się dawniej mówiło: „Kocham cię!”, a ona na to: „No wiesz, nie wyglupiaj się!” Wtedy postanowiłem, że nigdy żadnej dziewczynie nie powiem tych słów... Widzisz, ja jestem taki jakiś... staroświecki.

— Ja też — szepnęła Xenia.

— A więc możemy sobie śmiało powiedzieć, że się kochamy.

— Możemy... — odpowiedziała Xenia trochę zachrypniętym ze wzruszenia głosem.

— Kochana! — szepnął Hektor i znów położył swą dużą rękę na jej dłoni.

Uczył to w sposób tak gorący, a jego ręka była tak ciężka, że Xenia, która przymknęła oczy, zdawało się przez moment, że to on cały spoczywa na niej i bardzo mocno się do niej przytula. Chwilę trwali w milczeniu, pełnym nie zrealizowanych pocałunków, uściśnień i objęć, a potem Hektor uniósł rękę i przesunął nią po włosach.

— Tak — rzekł z uśmiechem — ale z tym trzeba coś zrobić...

— Kiedy ja naprawdę mieszkam z Grażyną w jednym małym pokoiku.

— Głupstwo, nie o to chodzi! Mogę spacerować po mieście do rana... Ale zdaje się, że będziemy musieli się pobrać.

— Tu westchnął ciężko.

— Czy to takie straszne nieszczęście? — Xenia roześmiała się przepelniona radością, która jej podchodziła aż do gardła.

— Nie chodzi o nieszczęście — rzekł — chodzi o to, żeby to było szczęście albo coś w tym rodzaju.

— Będzie, Hektorze! — Xenia schwyciła teraz swoją największą życiową szansę i trzymała mocno, z całej siły. — Jesteśmy tak podobni do siebie...

— Pewnie. Nawet udawałaś mnie przez kilka miesięcy.

— Ach, już nie przypominaj!... Więc kiedy się pobierzemy?

— Oj, te dziewczęta: chciałyby już, zaraz, natychmiast! Poczekaj, kotku, najpierw muszę otrzymać mieszkanie, co, mam nadzieję, nastąpi w najbliższych tygodniach. Przydział już mam, tylko dom jeszcze nie gotowy...

— A jutro — rzekła rozpromieniona Xenia — przedstawię cię mojej rodzinie: cioci Prababskiej i kuzynce Kamilli.

— Widzę — westchnął Hektor — że nic nie zostało mi oszczędzone, jak powiedział cesarz Franciszek Józef po śmierci swego syna, Rudolfa...

— Zobaczysz, że to bardzo miłe panie i że pękną z wściekłości!

— Cieszę się, że jesteś taką stuprocentową babą, chociaż nie masz biustu i jesteś płaska jak deska... Można rzec: „babka w deseczkę”...

— Przestań kpić ze mnie!... A ty łysiejesz w dwa rogi. Trzeba koniecznie nacierać cebulą te łysiejące miejsca.

— Słodziutka! — rzekł rozbawiony.

Zapłacił rachunek i odwiózł ją do domu.

— A gdzie ty będziesz nocował? — Xenia już mówiła do niego tonem opiekuńczo-tkliwym.

— W fotelu.

— W hotelu?

— Nie w żadnym hotelu, tylko w fotelu. Przypomniałem sobie o jednym z kolegów, u którego nieraz już się tak nocowało! — Roześmiał się i pocałował ją w usta długo i „wnikliwie”.

Rozdział ostatni

Xenia z Kasprowym, jako para narzeczonych, postanowili złożyć wizytę ciotce Helenie. Drzwi otworzyła im pani domu z twarzą obleczoną w niekosmetyczną maseczkę cierpienia.

— Co się stało? — zapytała Xenia pochylając się nad artretycznie zgrubiałą ręką ciotki.

— Ach, moje dziecko, wyobraź sobie, że Acuś wymiotuje od rana. Co zje, to zrzuca.

— Pewnie zjadł coś niestrawnego... Ale pozwól ciocia, że jej przedstawię mojego narzeczonego.

— Co takiego?

Pani Helena wybałuszyła na Hektora swoje smutne, popielate oczy, które wyrażały zdumienie. Przyjrzała mu się od stóp do głów i wzruszyła ramionami.

— Głupie żarty! — mruknęła. — Ale niech się pan rozbierze i wejdzie do pokoju.

Hektor z trochę zażenowanym uśmiechem najpierw cmoknął ciotkę w rękę, potem zdjął z głowy beret i wszyscy troje weszli do pokoju, gdzie na nieświeżym obrusie widniały resztki niezamownego obiadu. Zimne kluski w salaterce, bladeżółte jak kolor palców ciotki, wyrażały beznadziejność tego domu. Pod oknem w dzieciennym łóżeczku siedział Acuś obłożony klockami i misiami. Na widok gości wyskoczył w pidżamie z łóżka i rzucił się Xeni na szyję.

— Sie mas! — zawołał i ugryzł ją w nos.

Xenia przytuliła go do siebie.

— Podobno chorujesz, stary, to nieładnie!

— A tak — zaczął się chwalić chłopak — wyzygałem całe śniadanie, potem marchewkę, legominkę i jeszcze będę zygając!

Xenia przezornie odsunęła go od kolan.

— A coś zjadł niezdrowego, przyznaj się?

— Poza pająckiem, którego wsadziłem do kulki z chleba, to nic takiego. Aha! I ctery lody!

Kasprowy śmiał się nieutulonym śmiechem, kiwając się na krześle. Ciotka spojrziała na niego karcącym wzrokiem.

— Nie ma się z czego śmiać, proszę pana. Dzieciak jest pozabawiony opieki, jego matka pracuje, a ja mam cały dom na głowie. — Spojrzała na Xenię, jak gdyby z wyrzutem. — Nie dziwnego, że go nie można dopilnować.

— Kto to jest ten stary? — zapytał Acuś wskazując palcem Kasprowego.

— Mój narzeczony, pan Kasprowy. Przywitaj się z nim.

Xenia ujrzała z przerażeniem, że chłopak przygotowuje ślinę, by plunąć na gościa. Błyskawicznie porwała go w objęcia i pocałowała w potarganą czuprynkę.

— Bądź grzeczny, Acusiu! Błagam cię.

— A jak nie będę, to co?

Stał przed nią z miną kogucika, obie ręce wkładając do kieszeni pidżamowej kurtki.

— Niech on stąd wyjdzie! — rzekł rozkazującym tonem.

— Acusiu! — jęknęła babka. — Ty mnie do grobu wpędzisz. Proszę cię, wracaj do łóżeczka.

— Ani mi się śni!

W tym momencie silne męskie ramiona uniosły go z ziemi i ułożyły w łóżeczku.

— Leż! — rzekł donośnym głosem Hektor. — Bo inaczej dostaniesz ode mnie w skórę!

Chłopak oniemiał z wrażenia. Przez chwilę spoglądał na Hektora przerażonym wzrokiem, po czym zaczął ryczeć jak kilka tygrysów i jeden radioodbiornik.

— Chodźmy stąd — szepnął Kasprowy do Xeni — tu jest nie do wytrzymania.

— Przejdźmy do pokoju Kamilli — rzekła ciotka. — On popłacze, popłacze, a potem zaśnie...

Kamilli w pokoju nie było, był tam za to nieporządek. Na tapczanie wałęsał się nieświeży biustonosz, na poręczy krzesła wisiały pończochy, a na ziemi leżały ranne pantofle, które klóciły się z rzuconymi na nie pantofelkami na szpilkach.

— Biedna Kama tak się spieszyła, że nie zdążyła posprzątać — rzekła ciotka w formie tłumaczenia.

Zabrała z tapczanu biustonosz, a pod tapczan wepchnęła nogą pantofle i usiadła na krześle, z którego poręczy zwieszały się pończochy. Gościowi wskazała wolny stółek.

— Więc coś ty mówiła, moje dziecko? Że ten pan jest twoim narzeczonym? Co to za jakieś nowe kłamstwa?

— Żadne kłamstwa — odezwał się Hektor — tylko przed kilkoma dniami zaręczyłem się z pani siostrzenicą, Xenią.

— Przede wszystkim ona nie jest moją siostrzenicą, a stryjeczną bratanicą, a poza tym nie wierzę, aby to było na serio.

— Dlaczego, cioteczko? — spytała Xenia przymilnie.

— Bo kto by, proszę pana, brał sobie za żonę takie półdiabłą jak ona? Przecież to nie jest poważna osoba, nie nadaje się absolutnie na żonę i matkę...

— Ja matkę już jedną mam — odparł Hektor z wrodzonym sobie humorem — a na żonę wybrałem sobie właśnie ją, ponieważ jest oryginalna i całkiem niepodobna do innych dziewcząt.

— A, że niepodobna, to się zgadzam. Straszne dziwadlo, chociaż charakter ma w gruncie rzeczy dobry. Ale jak pana nazwisko, przepraszam? Bo skoro pan ma naprawdę zamiar wejść do rodziny... chociaż ja w to nie bardzo wierzę...

— Jaka ze mnie gapa! — zawołała Xenia. — Rzeczywiście zapomniałam go przedstawić cioteczce. Nazywa się Kasprowy, Hektor Kasprowy. Dziennikarz z zawodu.

— Kasprowy... Kasprowy... — rzekła ciotka, pocierając czoło. — Skąd ja znam to nazwisko? Aha, zaczekaj! Czy ty się tak nie nazywałaś przez jakiś czas? Wtedy, kiedy się wyglupiałaś jako chłopiec?

Xenia roześmiała się trochę zmieszana i szybko zamieniła porozumiewawcze spojrzenie z narzeczonym.

— Skądże, cioteczko! Ja wtedy przybrałam nazwisko Karbowy. Pomyliło się cioci.

— Być może. Mam tak przemęczoną głowę, że już pamięć tracę. A czy to, proszę pana, przybrane nazwisko czy prawdziwe?

— Jak najprawdziwsze, proszę pani — odparł Hektor.

— No, trudno... Różne nazwiska chodzą po ludziach. Córka mojej przyjaciółki, na przykład, wyszła za pana Nędzę, no i okazało się, że to bardzo porządny człowiek.

— A czy dorobił się majątku? — spytała Xenia z poważną twarzą.

— Tego już nie wiem, moje dziecko... Dlaczego o to pytasz? W każdym razie stanowią bardzo dobrą parę. Więc kiedy macie zamiar się pobrać?

— Jak tylko otrzymam mieszkanie — odpowiedział Hektor.

— To znaczy nigdy — wesołym głosem orzekła ciotka — bo przecież mieszkania pan nie otrzyma.

Xenia czuła, że Kasprowego, mimo jego poczucia humoru, zaczyna już wściekłość ogarniać, więc odparła za niego, że dom się właśnie wykańcza i zostanie oddany do użytku za kilka tygodni.

— Czekaj tatka latka! — mruknęła pani Helena. — A do tego czasu co?

— Nic — rzekła Xenia — będziemy się kochali bez mieszkania.

— Domyślam się tego od początku. Pewno już dawno w ten sposób z sobą żyjecie... na gapę... — powiedziała mimo woli dowcip, który wywołał uśmiech na ustach obojga. — Znam ja was, młodych... Ślub wam daje słońce, a błogosławi nie ksiądz, lecz księżyc...

Xenia powstała i w nagłym przypiływie litości i rozczenia objęła ciotkę za ramiona.

— Jak to ciocia ładnie i poetycznie powiedziała! Muszę sobie zapamiętać.

— Ach, moje dziecko — rzekła udobruchana stara pani — ty mnie nie znasz... Gdy człowiek był młody, to mu się niejedno w głowie troiło, nawet poezje się kłeciło — dodała z lekkim zażenowaniem. — A jak będziecie mieć syna — powiedziała po chwili — to proszę, abym ja go trzymała do chrztu.

— No, widzi ciotuchna, jakeśmy się dogadały. Oczywiście, że tylko ciocia może być jego matką chrzestną.

— A jak go nazwiecie? — zaczęła snuć starobabskie marzenia pani Helena.

— Medor! — wypaliła Xenia.

— Co takiego?

— Hektor powinien mieć syna Medora. Prawda, Hektorku?

— Jasne! — roześmiał się szeroko.

— Nie rozumiem cię, moje dziecko; Medor to przecież nazwa psa.

— No, właśnie! Jak to cioci nic nie potrzeba tłumaczyć. Najpierw będziemy mieć psa, Medora, a później, jak się dorobimy, to sprawimy sobie coś w rodzaju Acusia. — W tym momencie westchnęła ciężko i ubawionym wzrokiem spozrzała na narzeczonego.

— Widzi pan, jaka to niepoważna osoba ta Xenia. Doprawdy nie wiem, czy pan z nią będzie szczęśliwy?

— Proszę pani — rzekł Hektor wstając — mnie się w Xeni podoba wszystko to, co panią razi, więc sądzę, że będzie mi z nią raczej dobrze. A zresztą — dodał wesoło — ja wcale nie pragnę być zanadto szczęśliwy. Szczęście pecha przynosi!... Teraz pani pozwoli, że się pożegnamy. Bardzo mi było miło poznać panią i... Acusia.

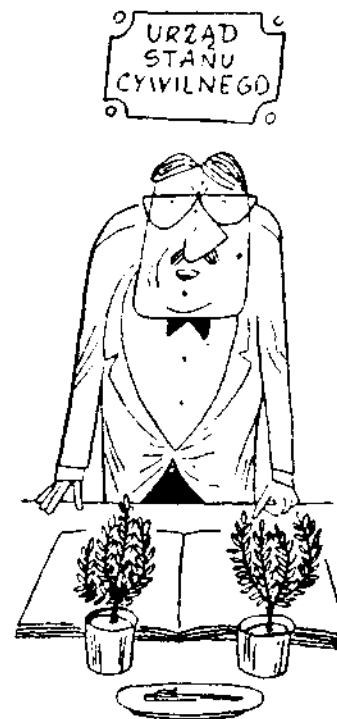
— Więc, moje dzieci — rzekła w końcu po ludzku pani Helena — życzę wam wiele szczęścia i tego mieszkania, chociaż nie bardzo w nie wierzę. A dajcie znać starej ciotce o dacie waszego ślubu, żebym przynajmniej poszła do kościoła i pomodliła się za was.

Nazajutrz po otrzymaniu kluczy od nowego mieszkania Xenia wzięła ślub cywilny z Hektorem. Świadkami byli Ofermacz i Grażyna, smutna i struta. Swój melancholijny nastrój tłumaczyła zalem, że traci sympatyczną sublokatorkę, de facto była wściekła, że przyjaciółka wychodzi za mąż wcześniej niż ona. Nie ma takiej przyjaźni między kobietami, która by tego rodzaju tryumf drugiej wybaczala. U mężczyzn dzieje się odwrotnie: cieszą się „gdy ich kolega „wpadnie”, a jeśli są jeszcze kawalerami, tryumfują, że to nie oni „dali się złapać”!

Meble, te najpotrzebniejsze, wzięli państwo Kasprowy na

raty i zaraz po ślubie mieli zamiar rozgościć się w nowym mieszkaniu, które było większą kawalerką z kuchnią i łazienką. To, że piecyk gazowy w łazience nie funkcjonował, stanowiło małą, ciemną chmurkę na błękitnie nieba. Nadchodziło lato i równie dobrze można się było kąpać w zimnej wodzie. Okno w tak zwanej „izbie” nie domykało się, ale to też był drobiazg. Mieszkanko było doskonale skomponowane, ale wymagało „adiustacji”, tak jak każde dzieło literackie, i Xenia, szczęśliwa bez granic, w ten sposób sprawę ujmowała. Przyjęcia po ślubie nie mieli zamiaru urządzać; projektowali, że dopiero po upływie pewnego czasu zrobią jakieś uroczyste „oblewanie” mieszkania.

Zaraz więc po obrzędzie ślubnym (podczas którego Xenia ba-



ła się, że parsknie śmiechem, szczególnie w czasie krótkiego przemówienia urzędnika stanu cywilnego, który zalecał, aby się kochali i rozmnażali dla Polski Ludowej) państwo Kasprowy udali się taksówką do nowego mieszkania, znajdującego się na ulicy Rutkowskiego. Przebiegli z bijącymi sercami trzy piętra. Kasprowy zaczął kręcić kluczem, okazało się jednak, że zamek był zerwany.

Widocznie ktoś włamał się do środka!

Gdy zaskoczeni tym faktem weszli do mieszkania, oczom ich przedstawił się widok, od którego ludzi chorych na serce może natychmiast szlag trafić.

Na środku pokoju, wśród olbrzymich tobołów, walizek i be-tów, siedziała tęga kobieta w chustce na głowie, z obrzękłą, czerwoną twarzą, bez wieku. — A wokół niej — pięcioro dzieci, z których najstarsze mogło mieć osiem lat. Jedno z dzieci wrzeszczało, drugie dłu-bało w nosie, a trzecie jadło kielbasę — wszystkie zaś razem bawiły się na podłodze w „klasy” kreśląc kratki kredą.

— Co pani tu robi? — wrzasnął Kasprowy, zielony z wra-żenia. — Przecież to nasze mieszkanie! Proszę się natychmiast wynosić!

— Oo, jaki mądry! Już się wynoszę! Nie potem się sprowa-dzała z dzieciakami z tamoj, żebym się miała wynosić. Pan się stąd zabieraj! Kto pierwszy, ten lepszy!

— Ale przecież my mamy przydział! — wykrzyknęła czer-wona ze złości Xenia.

— Widzicie, cholere, przydział! A ja mam dzieciaki, więc ja mam pierwszeństwo.

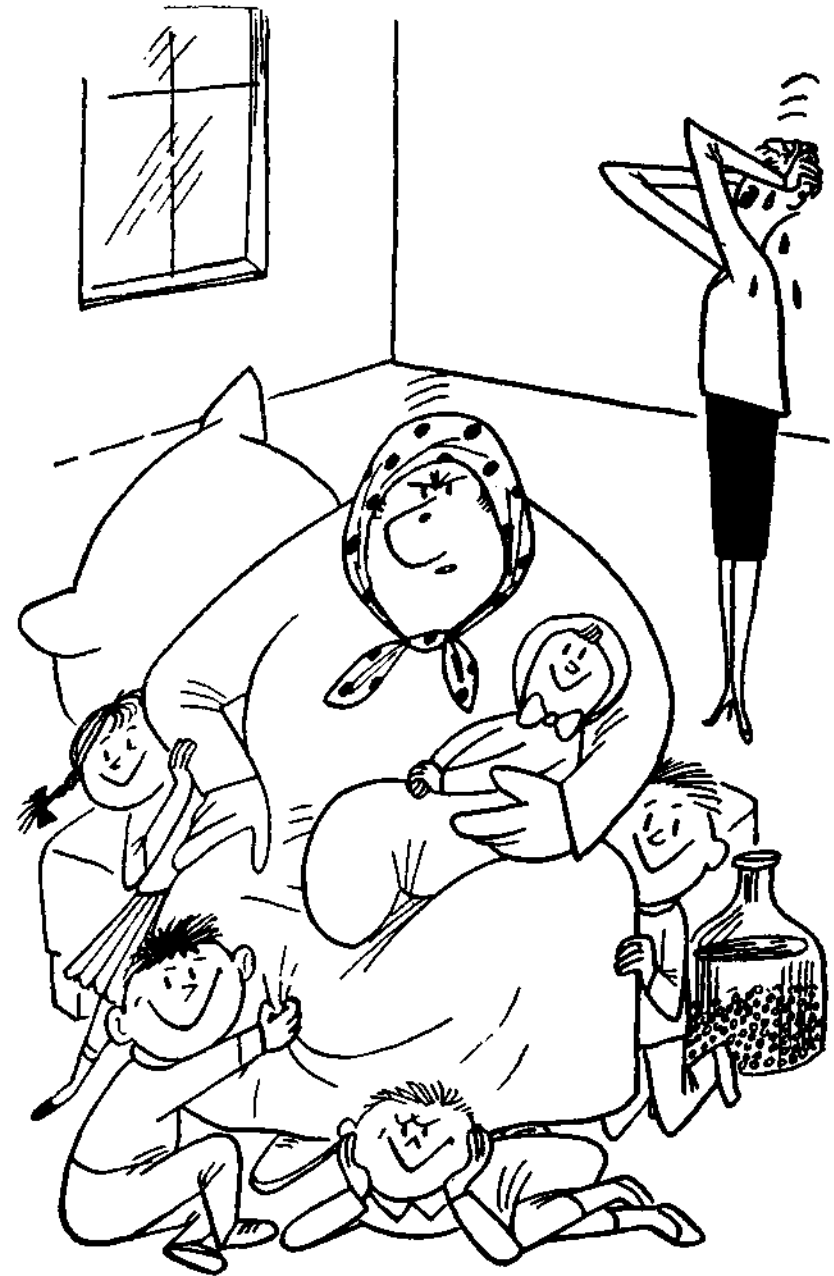
— Idę po milicjanta! — ryknął Kasprowy i wybiegł z miesz-kania.

Xenia usiadła na podłodze. Ich meble i rzeczy miały być przewiezione dopiero nazajutrz. Zbierało jej się na płacz.

— „Szczęście przynosi pecha!” — przypomniała sobie słowa Hektora.

— A weź se pani poduszkę, będzie mięcej. — Baba wskazała jej ręką jedną z własnych poduszek.

— Pani jest bezczelna!



— Bezczelna dlatego, że cholera chciałam trochę serca okazać. Wariatka!

Po długim czekaniu, podczas którego Xenia co chwila wyglądała przez okno, wszedł w końcu do mieszkania Hektor w towarzystwie milicjanta: Był to młody blondynek o jasnych rzęsach i niepewnym wyrazie twarzy. Obejrzał przydział mieszkaniowy Hektora, potem objął wzrokiem matkę z dziećmi i wzruszył ramionami.

— Dlaczego pan od razu nie sprowadził swoich rzeczy? — zapytał Kasprowego.

— Bo dopiero wczoraj otrzymałem formalny przydział. Nie było jeszcze czasu. Wieczorem miałem pojechać po walizki, a meble przywiozą dopiero jutro.

Przedstawiciel władzy zwrócił się do „dzikiej” lokatorki.

— Ten pan ma przydział na mieszkanie, więc pani nie ma prawa tu mieszkać — zaczął sprawiedliwe przemówienie.

— Panie władzo, gdzie ja się teraz biedna z dziećmi podzieję? Wdowa jestem. Na ulicę pójdę? Litość miejcie nad biedną matką!

— Panie milicjancie — rzekł Kasprowy — weźmy się do rzeczy; wyrzucimy ją za drzwi razem z tymi bachorami i beta-mi!

— Nie, proszę pana, tak nie można. Ostatecznie, gdzie ona się z tymi dziećmi podzieję? My musimy sprawę rozpatrzyć w Urzędzie Mieszkaniowym i dopiero wtedy... Trzeba być człowiekiem.

— Rzeczywiście: trzeba być człowiekiem, a nie biurokrata! — wykrzyknął Kasprowy błądzący z wściekłości. — Przecież pan widział mój przydział.

— Przydział, owszem, widziałem, ale to trzeba wszystko jeszcze sprawdzić. Może ta obywatelka też ma jakieś prawa do tego mieszkania. Dziś muszą państwo jakoś razem przemieszkać, a jutro się sprawa wyjaśni.

Zasalutował grzecznie i wyszedł.

— No — odsapnęła „dzika” lokatorka — nie taka nasza milicja groźna, jak się wydaje. Zrozumienie dla ludzkiej sprawy posiada, nie tak jak inne ludzie, co to tylko ordynarne potrafią być.

— Milcz, cholero! — ryknął Kasprowy podchodząc do niej z wyciągniętymi pięściami.

— O, jaki ważny! Milczeć to i pan powinieneś. Niby inteligentny człowiek, a tylko by się wyrażał.

Widząc jednak groźne błyski w oczach Hektora, przezornie wyjęła z tobołka gary, paczkę z owsianką oraz cukier i wyszła do kuchenki, gdzie — zadomowiona już kompletnie — zamierzała ugotować dzieciom kolację.



— Wszystko twoja wina! — Xenia bardzo po babsku zwróciła się w stronę męża. — Trzeba było drzwi zaryglować, zapieczetować i dopiero się wprowadzać.

— Widzę, że chcesz już się klócić! — odpalił Hektor. — Przeczuwam, jakie ja z tobą będę miał życie!

Xenia od razu zmieniła ton.

— Przepraszam cię, najdroższy, nie, to doprawdy niczyja wina. Czasem się o takich historiach czyta w „Ekspresie”, ale człowiek nie przypuszcza, że i jego mogłoby coś podobnego spotkać.

— Ja chyba tę babę zamorduję w nocy! — mruknął Kasprowy.

Xenia zrozumiała, że w ich małżeństwie ona będzie musiała być stroną spokojniejszą i bardziej zrównoważoną, zaczęła go uspokajać.

— Pójdiesz jutro do prokuratora — rzekła — i wszystko się jakoś załatwi.

— Pewnie, że stąd wyleci ta małpa, ta pokraka! — Te ostatnie słowa wykrzyknął głośno, by mogła je w kuchni usłyszeć ta, do której się odnosili. — Ale co my dzisiaj zrobimy? Gdzie się podziejemy? — dodał z goryczą. — Śliczna to mi noc poślubna!

— Pójdziemy gdzieś na kolację — powiedziała uspokajająco Xenia — potem na dansing, a do rana będziemy się chyba włóczyć po mieście.

— Tak jak typowa zakochana para — rzekł z głęboką ironią.

Xenia pomyślała, że mężczyźni są o wiele mniej odporni niż kobiety na cierpienia, zarówno fizyczne, jak moralne, i z czułością mamusi pogładziła go po głowie.

— Przecież jesteśmy jeszcze zakochaną parą — szepnęła czule.

— Ja już sam nie wiem. Wszystko mi obrzydło przez tę wstrętą babę. Chciałbym się upić ze złości i zasnąć!

— Na razie wyjdźmy stąd — rzekła Xenia łagodnie, aby nie drażnić rozżalonego na los mężczyzny i wzięła go czule pod ramię.

Następnego dnia, po nieprzespanej nocy, Xenia poszła jak

zwykle do redakcji, a Kasprowy udał się niezwłocznie do prokuratora.

Zacząto badać personalia „dzikiej” lokatorki.

Okazało się, że była to handlarka z placu Szembeka, znana pijaczka, która sprzedawszy otrzymane na przydział mieszkanie gdzieś w okolicy Żoliborza, postanowiła wpakować się do cudzego.

Po południu przyszło na ulicę Rutkowskiego kilku milicjantów i przy akompaniamencie przekleństw i wyzwisk „dzikiej” lokatorki oraz wrzasku jej pięciorga dzieci wyeksmitowano ją wraz z tobołami i betami.

Koło kamienicy zebrała się garstka lokatorów, żywo komentująca to wydarzenie.

— Widzisz pani, co za czas! matkę z dziećmi wyrzucają z mieszkania, łobuzy!

— Milicję sprowadzily, cholery, żeby się na jej miejsce wpakować!

— Że też żadnej sprawiedliwości już nie ma na tym świecie, paniusiu kochana! Żeby tak matkę z dziećmi na bruk!...

Rozjuszony tłumek napierał na milicjantów, którzy nie zwracali na to najmniejszej uwagi.

— To skandal! To zbrodnia! — zaskrzeczał jakiś staruszek wygrażając im pięściami.

Milicjanci, spokojni i poważni, wynosili toboły jedne za drugimi; na samym końcu wyszedł z bramy milicjant niosąc z godnością w wyciągniętych rękach litrową butelkę wódki, która również wchodziła w skład ruchomości „dzikiej” lokatorki. Na widok tego corpus delicti wrogi nastrój wśród gapiów rozładował się. Odezwały się śmiechy i drwiny pod adresem eksmitowanej.

Kiedy mieszkanie zostało już uwolnione od intruzów, Kasprowy pojechał po rzeczy zostawiwszy żonę przy drzwiach na straży.

Pod wieczór zajechał wóz z meblami i było wiele dźwigania, wnoszenia, bałaganu i wszystkich tych spraw, które nieodłącznie związane są z przeprowadzką.

Gdy w końcu wszystko już jako tako poustawiano, Xenia rzuciła się mężowi na szyję.

— Nareszcie sami! — wykrzyknęła tryumfalnie, przyłgnąwszy do jego marynarki. — Zobaczysz, najdroższy, jacy w tym mieszkaniu będziemy szczęśliwi!

— O ile — odparł rzeczowo mąż — obijemy drzwi blachą, damy zasuwę i przybijemy łańcuch.

— Tak, ale teraz — rzuciła wesolutko Xenia — pójdę do własnej kuchenki i przyrządzę na poczekaniu kolacyjkę. Mamy sardynki, ser, herbatę, wino...

— Jeśli idzie o mnie — rzekł Hektor — to mam tylko jedno marzenie: spać! Położyć się i natychmiast zasnąć! Jestem potwornie zmęczony. — Powiedziawszy to ziewnął przeciągle i szeroko.

Xenia z lekkim zawodem spojrzała na męża. Inaczej sobie wyobrażała ich pierwszą noc w nowym mieszkaniu — światło lampki nocnej, przyciszone dźwięki radia, oni oboje przytuleni do siebie na tapczanie...

Ona w nowej koszuli nylonowej, on w świeżej pidżamie w paski. Nad nimi unoszący się Amor w oparach wody lawendowej (eksportowej), obok na stoliku butelka czerwonego wina węgierskiego...

A tymczasem on powiada: „s p a ć”.

Ach, ci mężczyźni! Nie z nimi nie można zaplanować, nic przewidzieć. A jakie to nieodporne; typowa pleć nie tyle „brzydka”, co „słaba”...

Z pewnym politowaniem spojrzała na ziewającego męża, który w koszuli i krótkich majteczkach rzucił się na tapczan, po czym natychmiast zaczął chrapać. Przecież ona przeszła to samo, co on — też nie spała poprzedniej nocy i razem z nim ustawiała meble, a nie była ani śpiąca, ani zmęczona...

Wzruszyła ramionami i przeszła do kuchni. Nalała sobie wina do szklanki, zjadła całe pudełko sardynek, chleb i ser. Ten posiłek uspokoił ją i rozproszył krytyczne nastawienie do młodego męża.

Niech się wyspi, biedaczek — pomyślała z jakimś macierzyńskim rozczuleniem. — Ostatecznie czeka nas jeszcze tyle wspólnych nocy, nocy słodkich jak włoska piosenka, burzliwych, wietrznych, gorących i chłodnych... Wiele różnych nocy... Więc

dzisiaj niech śpi spokojnie mój mąż i... mój synek, w krótkich gatkach i z rozburzoną czupryną... Niech dziś spoczywa w spokoju..

